

HORROR

HARRY ADAM KNIGHT

GEN



FANTOM  PRESS

HARRY ADAM KNIGHT
GEN

Przetłumaczył
Jerzy Śmigiel

Wydawnictwo Fantom Press Gdańsk 1990

Tytuł oryginału angielskiego
„Slimer”

Opracowanie graficzne: Krzysztof Izdebski
Opieka redakcyjna: Artur Kawiński

© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Fantom Press”.

PROLOG

Oni powstrzymywali go od jedzenia.

Gdyby' był silniejszy staliby się bezsilni. Przepłószyliby ich, jak stado natrętnych płotek. Lecz w tej chwili był zdezorientowany i szarpiąca go wściekłość przygasła. Gdyby mógł powrócić do morza...

Nie wiedział, gdzie się obecnie znajduje. Czasami czuł czyjąś obecność i był świadomy nacisku, jaki na niego wywierali. Ale nawet wtedy wyczuwał ich przerażenie. Byliby łatwą ofiarą, gdyby tylko potrafił ich odnaleźć. Nie było to jednak teraz możliwe.

Instynktownie wiedział, że w tym obcym środowisku nie może już polegać na własnych zmysłach. Wszystko było inne. Bez wysiłku poruszał się jedynie w środowisku płynnym, które zastąpiono teraz niewygodnym, suchym pomieszczeniem, w którym czuł się obco i nieswojo. Dźwięki brzmiały tu niewyraźnie, a światło było boleśnie jaskrawe.

Czasami zastanawiał się, dlaczego wszystko tak nagle uległo zmianie. Nie pozbawiony elementarnych umiejętności rozumowania wkrótce odkrył, że sam także się zmienił. W świadomości, która jak do tej pory nie znała innych potrzeb oprócz zaspokojania głodu i prymitywnej chęci parzenia się, przepływały teraz obce myśli i nowe skojarzenia.

Lecz jedna potrzeba pozostała nadal dominującą, tak jak było to jeszcze w morzu. Głód stopniowo zmieniał się w potworną, bezrozumną żądzę. Pchał go przez niekończące się białe korytarze, gnał wizją rozdzieranego na strzępy, krwawego mięsa...

Jednak od długiego czasu nie mógł znaleźć żadnego pożywienia. Skończyło się. A nie był w stanie dostać się do morza, gdzie pożywienia było w bród. Lecz oni stawali się coraz słabsi. Czuł to. Wkrótce będą tak sła-

bi, że nie powstrzymają go przed powrotem do własnego świata. A wtedy zapanuje nad nimi zupełnie.

Będzie wolny, by jeść bez końca.

I rosnać...

1.

„Chryste, jak zimno!” — pomyślał Paul Latham. Jego twarz była zaczerwieniona od wiatru. Bielały jedynie fałdy skóry na zaciśniętych kurczowo szczękach. Ostatkiem woli powstrzymywał się przed gwałtownym szczekaniem zębami. Nagle przypomniała mu się idiotyczna zabawka w kształcie sztucznej szczęki, która tak bawiła Marka, gdy byli jeszcze na jachcie. Wtedy rzeczywiście było to zabawne, pomyślał.

Paul wiedział, że już wkrótce pogoda go pokona, lecz jednocześnie chciał być ostatnim, który się podda. Cztery z sześciu osób w niewielkiej łodzi okrywały się szczelnie najmnijszym nawet skrawkiem odzieży. Przytulały się mocno do siebie ogrzewając się ciepłem własnych ciał. Mark i Chris wyglądali jak sklejeni w jedną, nieruchomą statwę. Poruszały się jedynie długie, rude włosy dziewczyny, szarpane krótkimi podmuchami wiatru. Linda wtuliła się w Paula, chroniąc twarz przed mokrymi bryzgami. Podobną parę stanowili Alex i Rochelle.

Alex, podobnie jak Paul, próbował udawać bohatera. Obaj siedzieli wyprostowani, z rozpiętymi kołnierzykami koszul, udając, że nie zważają na zimno. Paul nie patrzył w oczy Alexa, czekał jednak czujnie na jakąkolwiek oznakę słabości u swego przeciwnika. Ze swej strony wiedział, że Alex czeka dokładnie na to samo.

Paul doskonale wiedział, że gra, którą obydwaj prowadzili była głupia i dziecinna. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek zwycięzcy, być może za wyjątkiem samej pogody. Ale przynajmniej pozwalała zająć czymś umysł i chronić przed popadnięciem w ponure przygnębienie, co stało się udziałem pozostałych.

Mieli ku temu, co prawda, wystarczający powód. Tratwa dryfowała już od trzech dni, a zapasy wody i

pożywienia były już na wyczerpaniu. Początkowo byli przekonani, że odnajdą ich stosunkowo szybko; w końcu ich jacht zatonął pośrodku najbardziej ruchliwego akwenu Morza Północnego. Mark, do którego ojca należał jacht, powiedział, że sprawa ratunku jest kwestią godzin. Lecz z nadejściem świtu nadciągnęła mgła, zmniejszając widoczność do stu stóp. Kilka razy słyszeli łoskot przelatujących nad nimi śmigłowców z licznie rozmieszczonych w tym rejonie platform wiertniczych. Raz usłyszeli nawet róg mgłowy przepływającego w pobliżu statku. Lecz chociaż zdarli sobie gardła od rozpaczliwych okrzyków, pozostali niezauważeni.

Jedyna rzecz, jaka im do tej pory sprzyjała, to morze. Był środek lata, ale Morze Północne znane było ze swych zmiennych warunków atmosferycznych. Jednak od czasu zatonięcia jachtu morze pozostawało zaskakująco spokojne. Nawet zimny wiatr, który parę godzin temu zerwał się nie wiadomo skąd, powodował jedynie niewielkie kołysanie.

Nagle Linda zadrzała lekko. Podniosła głowę i zbliżyła usta do ucha Paula.

— Chce mi się siusiu — szepnęła.

— Znowu? — odparł z lekką irytacją w głosie. — Przecież robiłaś zaledwie parę godzin temu. Skąd to się u ciebie bierze? Wypiłaś dzisiaj zaledwie filiżankę wody.

— Nie mogę się powstrzymać — zaprotestowała, tym razem odrobinę głośniej. — Może to z powodu zimna.

Paul spojrział w kierunku Alexa. Ten z pewnością nie uronił ani słowa z ich prowadzonej szeptem rozmowy.

— Postaraj się wytrzymać jeszcze trochę — szepnął. — Musi być już późne popołudnie. Niedługo się ściemni.

— Dobrze — westchnęła. — Spróbuję. Ale nie ręczę za sukces.

Powodem tak cichej wymiany zdań był właśnie Alex. Gdy ktokolwiek z obecnych na małej dinghy zgłaszał naturalną potrzebę fizjologiczną, wszyscy pozostali odwracali dyskretnie wzrok. Za wyjątkiem Alexa. On uważał to za świetną zabawę, szczególnie, gdy potrzebę taką deklarowała jedna z kobiet. Przypatrywał się wtedy bez skrpułów, czyniąc obłeśne komentarze. Rankiem, gdy w takiej wstydlivej sytuacji znalazła się Linda, Paul usiłował nawet uderzyć Alexa chociaż wiedział, że wszystkie gwałtowne ruchy mogą wyrzucić niewielką łódeczkę. Na szczęście Linda powstrzymała go w samą porę.

Alex. Paul nawet nie przypuszczał, że można tak bardzo znienawidzić drugiego człowieka. A jeszcze przed tą nieszczęsną podróżą nie miał nic przeciwko niemu. Wręcz przeciwnie, podziwiał nawet tego amerykańskiego Meksykanina za chłodne, ujmujące maniery i pełne ekspresji opowieści o przerzutach narkotyków z Kolumbii na Florydę. Lecz podczas tej podróży, żyjąc wspólnie przez parę dni na niewielkiej, zamkniętej przestrzeni szybko zdał sobie sprawę, że Alex jest nieprzyjemnym, aroganckim łajdakiem. A gdy w dodatku rozpoczął tę swoją zabawę z Lindą...

Od czasu zatonięcia jachtu stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Zaczepny i wulgarny, denerwował wszystkich zachowując się jak super-macho. To dziwne, rozmyślał Paul, że ten wypadek wpłynął na każde z nich inaczej. Reakcją Marka na wzrastające napięcie stały się nerwowe dowcipy, podczas gdy jego dziewczyna, Chris, nie przestawała uważać się nad sobą. Dziewczyna Alexa, Rochelle, radziła sobie z sytuacją popadając w stan tępego odrętwienia. On sam przyjął na siebie rolę chłodnego, trzeźwo myślącego przywódcy. Zastanawiał

się, jak długo jeszcze ten kamuflaż będzie zdawał egzamin.

Jedyną osobą, która się nie zmieniła, była Linda. Co prawda stała się trochę bardziej irytująca niż zwykle, lecz wciąż była tą samą spokojną, ufną dziewczyną. Objął ją mocniej nie dbając, jak Alex zinterpretuje ten gest. Czując, jak lekko drży w jego objęciach, Paul poczuł, że zalewa go fala poczucia winy. To przez niego Linda znalazła się w takiej sytuacji. Od początku była przeciwna tej podróży lecz on nawet jej nie słuchał. Pomysł Alexa, polegający na zarobieniu dwustu tysięcy funtów płynąc po narkotyki do Maroka, zupełnie go zaślepił. A teraz stracili wszystko. Narkotyki leżały na dnie Morza Północnego razem z jachtem, tak jak i cztery tysiące funtów, które on i Linda zainwestowali w tę podróż. A w dodatku mogą stracić życie...

Jak długo może to jeszcze potrwać — zastanawiał się Paul w skrytości ducha. Do tej pory wszyscy byli w niezłej formie — być może za wyjątkiem Marka. Prawdziwe problemy zaczną się dopiero w nocy, gdy ostatecznie skończy się żywność i woda. A co potem? Co prędzej da im się we znaki? Zimno? Być może, jeżeli w dalszym ciągu wiatr będzie się wzmagał. Lecz po paru godzinach najważniejszym problemem stanie się pragnienie. Śmierć z głodu była najmniej prawdopodobnym scenariuszem. W łodzi mieli żyłkę, zawsze mogli więc złapać jakąś rybę. Jednak Paul nienawidził ryb. Ich zapach, smak a nawet samo wyobrażenie zawsze wywoływały u niego mdłości. A myśl o zjedzeniu surowej ryby nieomal odbierała zmysły.

— Boże, jaka jestem głodna — przerwała te ponure rozmyślenia Chris.

Jej czysty i dźwięczny głos wyrwał ich ze stanu chwilowego otępienia. Przypominali teraz grupę robotów, które podłączono nagle do źródła zasilania. Alex,

spoglądając na nią znacząco uśmiechnął się nieprzyjemnie i położył dłoń na kroczu.

— Mam tutaj coś dla ciebie, kochanie. Możesz sobie trochę pożyć, pod warunkiem, że nie będziesz gryzła zbyt mocno.

Chris zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Mark udał, że niczego nie słyszał.

— Nie mów o jedzeniu, Chrissie — powiedział miękko. — Pogarszasz jedynie sprawę.

Rochelle mruknęła coś niecierpliwie i poruszyła się lekko.

— Chyba zaraz zamarznę — powiedziała sennie. — Która godzina?

— Zbliża się pora kolacji — wtrącił Alex. — Gdy spałaś, ciągnęliśmy zapałki i wypadło na ciebie, skarbie. Ty jesteś naszą kolacją. Zamawiam piersi. A więc rozbieraj się i zaczynamy.

— Dupek — mruknęła Rochelle i ponownie zamknęła oczy. Wydawało się że nic, co mówi Alex, nigdy nie zdoła jej dotknąć. Nie po raz pierwszy Paul zastanawiał się, co ona u licha widzi w takim obleśnym facecie.

Alex uśmiechnął się szeroko.

— A więc co robimy, chłopaki — spojrzął na Paula. — I jak, szefie? Masz jakiś pomysł?

Paul nie cierpiał rozwlekłego, kalifornijskiego akcentu Alexa. Uśmiechnął się szyderczo w jego kierunku. Doskonale zdawał sobie sprawę z gry, jaką tamten z nim prowadził. Próbował pomniejszyć jego znaczenie, zdominować i narzucić swoje zdanie pozostałym. Obaj wiedzieli, że Paul został liderem jeszcze na początku podróży, mając za sobą poparcie reszty grupy. Alex nigdy nie potrafił się z tym pogodzić.

— A może ty masz coś do zaproponowania, Rinaldo — rzucił wojowniczo Paul, zdumiony chropawą

barwą własnego głosu. Od paru godzin nie miał w ustach ani kropli wody.

— Jasne. Proponuję, abyśmy ponownie wszyscy wzięli się za wiosła. Takie siedzenie i powolne zamrażanie jest zupełnie bez sensu.

— A w którym kierunku zamierzasz wiosłować? Nie mamy nawet kompasu.

— Przynajmniej rozgrzالیbyśmy się.

Paul pokręcił przecząco głową.

— Niewiele to pomoże, za wyjątkiem niepotrzebnej straty energii. Musimy zachować siły. Ale jeżeli chcesz płynąć, Rinaldo, to proszę bardzo. Jeżeli chciałbym zobaczyć kogoś, jak tonie w morzu, to właśnie ciebie...

Linda ostrzegawczo ścisnęła go za rękę. Jak zwykle miała rację. Taka dyskusja nikomu nie pomoże. A Paul powinien raczej uspakajać, a nie wzmacniać napięcia.

Alex spoglądał na niego zmrużonymi lekko oczyma.

— Sądysz, że jak będziemy tak siedzieć to po prostu przypłyną i nas uratują, tak? Daj spokój, człowieku. Spójrz wreszcie faktom w oczy. Nikt nas nawet nie szuka. Nikt nawet nie wie, że tutaj jesteśmy.

Była to prawda. Gdy wybuchł pożar, nie wezwali pomocy przez radio. Jak zresztą mieli to zrobić mając na pokładzie przeszło ćwierć tony marihuany?

Paul nic nie odpowiedział.

— Możemy tak czekać miesiącami — ciągnął rozdrażniony Alex. — Aż ktoś nas wreszcie łaskawie odnajdzie. Ale do tej pory staniemy się już pokarmem dla tych pieprzonych mew.

— Mgła wkrótce opadnie — wtrącił Patii z pewnością, której wcale nie czuł.

— Naprawdę? A mogę to mieć na piśmie? — warknął Alex.

— Posłuchaj, cwaniaku. Wydaje ci się przecież, że

jesteś prawdziwym mężczyzną. Ty nas w to wszystko wpakowałeś, a więc dlaczego nas teraz z tego nie wyciągniesz?

— Nie podpaliłem przecież tego cholernego jachtu. — Alex spojrział oskarżycielsko w stronę Marka. — To on.

Mark wyglądał na urażonego.

— Mówiłem już wcześniej, że to nie była moja wina. W ładowni musiały gromadzić się opary benzyny. Są cięższe niż powietrze, więc osiadały w zęzie...

— A kto zszedł na dół z zapaloną świecą, aby sprawdzić pompę? — przerwał mu Alex.

Mark pokręcił jedynie ponuro głową.

— Mój stary mnie zabije. Kochał tę cholerną łajbę.

— I będzie miał rację, ty przekłety głupku — nie miał nad nim litości Alex. — Byliśmy już o krok od zdobycia fortuny, ale ty musiałeś wysadzić wszystko w powietrze.

— Zamknij się — wtrąciła Chris. — To był wypadek.

— Pewnie. Jego narodziny też były wypadkiem. Ten gość jest urodzonym pechowcem. V

Paul westchnął ciężko. Miał im właśnie powiedzieć aby się zamknęli, lecz zanim zdążył otworzyć usta, siedząca spokojnie do tej pory Linda zaczęła się podnosić. Złapał ją za ramię i posadził siłą z powrotem.

— Zwariowałaś? Wywrócisz nas!

— Widziałam coś! — wykrzyknęła podniecona, wskazując na coś tuż przed nimi. — Tam! Mgła się na chwilę podniosła!

Wszyscy z napięciem wpatrywali się we wskazany kierunek. Paul, mimo iż wycęzał wzrok aż do bólu, widział jedynie szarą ścianę mgły.

— Co właściwie widziałas? — zapytał.

— Nie wiem. Ale było to duże!

Nagle Paul także to zobaczył. Masywny, górujący

nad nimi kształt. Przypominało to blok mieszkalny ustawiony na czterech, gigantycznych nogach.

— To platforma wiertnicza! — wykrzyknęła Linda.

— A więc dzięki Bogu jesteśmy uratowani — powiedziała z ulgą Chris. Gumowa łódeczka pod wpływem chaotycznych ruchów zaczęła kręcić się w kółko.

— Uspokójcie się! — wybuchnął nagle Alex. — Wywrócimy się, i wtedy nie będzie już miało znaczenia, co to właściwie jest.

— Alex ma rację — poparł go Paul, chwytając się jednej z pęteli, umieszczonych po obu stronach łodzi.

— Przynajmniej na razie. Niech wszyscy się uspokoją. Łapiemy wiosła i płyniemy prosto w kierunku platformy. A za pół godziny będziemy już siedzieć przy jajkach na bekonie i kawie...

Gdy podpłynęli bliżej, Mark dostrzegł, że platforma była o wiele większa, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Wznosiła się około 150 stóp ponad poziom morza i składała się z pięciu różnych segmentów, których pokłady połączone były wieloma schodniami i drabinami. Na szczycie całej konstrukcji dostrzegł cztery potężne dźwigi. Ich ramiona wyglądały jednak kartłowato przy dwóch olbrzymich wieżach, z których jedna, w samym narożniku platformy, przypominała zmniejszoną nieco wersję Blackpool Tower. Z migawek telewizyjnych przypominał sobie, że na samym szczycie takich konstrukcji zawsze widoczny był jezior ognia, który spalał nadmiar gazu, jak przypuszczał. Lecz na wierzchołku tej platformy nie było płomienia.

Nie było także słychać żadnych odgłosów pracujących urządzeń, które powinny się przecież tutaj znajdować. Platforma stała zupełnie cicha.

Marszcząc podejrzliwie czoło, Mark przyjrzał się jej ponownie. Sprawiała wrażenie zupełnie opuszczonej. Przypominała mu pewien stary dom, do którego wśliz-

nał się nocą, gdy był jeszcze dzieckiem. I chociaż wiedział, że dom jest pusty, to jednak głośnym szuraniem i tupaniem starał się zagłuszyć narastający w nim strach. Hałas zbudził starego włóczęgę, który nocował w jednym z pomieszczeń. Z głośnym krzykiem wyskoczył prosto na Marka, który z przeraźliwym wrzaskiem uciekł i miał przez kilka następnych tygodni powtarzające się senne koszmary. Nawet teraz wspomnienie tej sceny przyprawiało go o dreszcz strachu.

— Jest zupełnie opuszczona — powiedziała Linda, myśląc najwidoczniej o tym samym.

— To niemożliwe — odparł Paul.

Przestali wiosłować i przypatrywali się olbrzymiej konstrukcji, która ponurym ogromem wisiała tuż nad ich głowami. Nigdzie nie było jednak śladu życia.

Przez następną minutę krzyczeli aż do ochrypięcia. Wszystko na próżno. Nikt się nie pojawił. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był miarowy łoskot fal uderzających o cylindryczne podpory, na których opierała się platforma. Mark zauważył, że morze staje się coraz bardziej niespokojne. Odnaleźli tę platformę dosłownie w ostatniej chwili.

— Ona jest rzeczywiście opuszczona — zauważył ponuro Alex. — Z pewnością wypompowali złożę do sucha i odpłynęli.

— To niemożliwe — odparł Mark. — Nawet jeżeli złożę zostanie już wyeksploatowane, to na takiej platformie zawsze ktoś pozostaje. Strażnicy, na przykład. Jeżeli pozostanie zupełnie pusta, to zawsze ktoś może ją zająć i zgłaszać później jakieś pretensje co do praw własności.

— No dobrze, mądralo — przerwał Alex. — A więc gdzie są ci twoi strażnicy?

Mark wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Może śpią. Skąd mogę wiedzieć, do diabła?

Paul wskazał na napis, widniejący na jednym z boków platformy.

— Kompania Naftowa Brinkstone'a — odczytał głośno. — Nigdy nie słyszałem o takiej kompanii.

— A ja tak — wtrącił starym zwyczajem Alex. — To jedno z mniejszych przedsiębiorstw amerykańskich. Wydaje mi się, że należy do jednego tylko faceta.

— Nie możemy tutaj tak siedzieć — powiedziała Linda. — Musimy spróbować jakoś się tam dostać...

— Ale jak? — zapytała cierpko Rochelle. — Wiesz jakieś ruchome schody?

Miała rację. Zarówno cztery główne dźwigary, jak i płatanina pomniejszych podpór nie oferowały niczego, co służyć mogło jakąkolwiek pomocą przy wspięciu się na pokład.

— Przecież musi istnieć jakiś sposób dostania się na górę — powiedział Paul. — Przecież przez cały czas nie mogą używać wyłącznie śmigłowców. A w jaki sposób przenoszą sprzęt lub ludzi z łodzi?

Odpowiedź nadeszła z najmniej oczekiwanej strony. Gdzieś pośrodku platformy dał się słyszeć odgłos zapuszczanego silnika i po chwili jeden z dźwigów zaczął się poruszać. Zaskoczeni patrzyli jak znad platformy wynurza się jego ramię zakończone dużą, metalową klatką. Początkowe oszołomienie zamieniło się w wybuch szalonego aplauzu.

Klatka szybko obniżała się i w końcu zawisła tuż nad poziomem wody, niespełna 10 jardów od łodzi. Szybko po wiosło wali w jej kierunku. Klatka miała około ośmiu stóp szerokości i tylko trzy ścianki. Czwarta strona była otwarta, zabezpieczona jedynie przeciągniętym w poprzek łańcuchem.

Przejście z łodzi do klatki było dość niebezpiecznym manewrem. Gdy już znaleźli się w środku, uczeni kurczowo metalowych ścianek, wszyscy przemoczeni byli do suchej nitki.

Nastąpiło krótkie szarpnięcie i klatka zaczęła szybko się podnosić. Mark obserwował jak ich łódka staje się mniejsza i mniejsza, odpływając na bok. Z wysokości wyglądała niezwykle krucho. Zastanawiał się, jak długo jeszcze udałoby się w niej przetrwać.

Nagle poczuł ogarniającą go falę mdłości. Nigdy nie potrafił poradzić sobie z dużymi wysokościami. Przełykając gwałtownie ślinę zamknął oczy i przywarł mocniej do metalowej ścianki, mając nadzieję, że pozostali nie zauważą tej chwilowej niedyspozycji.

— Teraz już wiem co czuje ryba wyciągana z wody w siatce — dotarł jego uszu szept Lindy.

Ponowny wstrząs sprawił, że Mark otworzył oczy. Klatka spoczywała bezpiecznie na najwyższym pokładzie platformy. Tuż obok stały dwa wysokie kominy i niebotyczny masyw dźwigu, ale ani śladu komitetu powitalnego. Całe to miejsce wyglądało na zupełnie wymarłe.

Na drżących nogach wyszli z klatki i przystanąli, rozglądając się niepewnie dookoła.

— Gdzie się wszyscy podziali? — zapytała nerwowo Chris.

Paul wpatrywał się w przeszkloną kabinę dźwigu.

— Dziwne. Nie widzę tam w środku nikogo.

— Ale tam musi ktoś być! — wybuchnął Alex. — Myślisz, że to podniosło nas tak samo z siebie?

— A więc gdzie on jest?

— Zobaczę — rzucił Mark i podbiegł w stronę drabinki, prowadzącej bezpośrednio do kabiny. Sama kabina nie była umieszczona zbyt wysoko, a chciał zatrzeć to niekorzystne wrażenie słabości, jakie wyniósł z klatki. Rozpoczął wspinaczkę, podczas gdy pozostali obserwowali go w milczeniu.

W połowie drogi Mark już wiedział, że popełnił błąd. Znajome uczucie mdłości owładnęło nim z całą mocą. Zatrzymał się i na parę chwil zamknął oczy. W

końcu zmusił się do pokonania ostatnich paru stopni i znalazł się w otwartych drzwiach kabiny.

Był tak uszczęśliwiony pomyslnym zakończeniem wspinaczki, że początkowo nie zauważył nawet, że kabina jest pusta. Gdy wreszcie zdał sobie z tego sprawę, z rosnącym niepokojem rozejrzał się dookoła. Było w tym coś bardzo dziwnego. Za wyjątkiem wąskiej drabinki nie było drogi, którą operator dźwigu mógłby zejść niezauważony. A więc gdzie on się podział?

Nagle Mark dostrzegł kombinezony. Leżały w przeciwnym kącie kabiny. Gdy się schylił, aby im się lepiej przyjrzeć, zmarszczył zaskoczony brwi. Sprawiały wrażenie jakby ktoś spędził tu trochę czasu, pieczołowicie aranżując porządne ułożenie nogawek i rękawów, zamiast rzucić je po prostu na podłogę.

Podniósł jeden z rękawów. Nagle odrzucił go ze wstrętem, gdy z mankietu wyciekła czarna, oleista kropla jakiejś mazi, z nieprzyjemnym plaśnięciem lądując na metalowej podłodze. Zaczął gwałtownie kaszleć;abinę wypełnił nagle obrzydliwy smród. Wiedział, że musi się stąd wynosić. I to szybko.

2.

Mark zbiegał po drabince tak szybko, że omal nie spadł. Gdy pozostali zbliżyli się, dostrzegli, że jest bladej jak ściana i wyraźnie drży.

— Co się stało, Mark? — wykrzyknęła Chris. — Co tam było?

Mark wziął głęboki oddech i przez parę chwil poruszał bezgłośnie ustami.

— Nic się nie stało — wydyszał w końcu. — Było tam tylko parę kombinezonów. Ale śmierdziały po prostu okropnie...

— I z tego powodu cała ta panika? — parsknął Alex. — Kilka śmierzących kombinezonów?

— A więc idź i sam je powąchaj! — warknął Mark, czując narastającą złość — śmierdziało tam tak, jakby coś było martwe i gniło przez parę tygodni.

— Natrafiłeś na jakiś ślad operatora dźwigu? — zapytał Paul.

Mark pokręcił przecząco głową.

— A więc gdzie on się podział? Dlaczego nie dzieliśmy go, jak schodził? — zapytała Linda.

— Dobre pytanie — mruknął Paul, rozglądając się po pustym pokładzie. Hulający pomiędzy wysokimi kominami wiatr wydawał nieprzyjemny, wysoki świst. Zadrżał. Zaczynało mu być zimno. Podniecenie wywołane pomyślnym zakończeniem eskapady z wolna wygasało. Zawładnięty nim niepokój i dezorientacja. Wiedział, że jego towarzysze odczuwają to samo. Linda, wysoka i szczupła, z opadającymi do ramion włosami, rozglądała się wokół jak spłoszona łania. Mark i Chris stali trzymając się za ręce. Nawet wtulona w Alexa Rochelle wyglądała zupełnie bezradnie. Alex także nie starał się zbyt ukryć ogarniającego go coraz bardziej zdenerwowania. Z niejasnych powodów to właśnie wydało się Paulowi najbardziej niepokojące.

— No dobrze — powiedział wreszcie. — To nas do niczego nie doprowadzi. Zejdźmy lepiej na dół i poszukajmy naszych gościnnych gospodarzy, zanim nie zamrzniemy tu na śmierć.

Zamyślony Alex strzelił nagle palcami.

— Mam! — wykrzyknął. — Zdalne sterowanie!

— Co takiego? — spojrzał na niego zaskoczony Paul.

— Zdalne sterowanie. Tak właśnie posługują się tym dźwigiem. Rutyna. I mogę się założyć że cały sprzęt jaki tutaj mają, jest także poruszany zdalnie — powiedział triumfująco i wskazał na coś palcem. — Spójrzcie. A w taki sposób nas widzą.

Paul spojrzał w kierunku wskazanym przez ramię

Alexa. Na kratownicy dźwigu dostrzegł skierowaną w ich stronę niewielką kamerę.

— A tam jest jeszcze jedna! — ponownie krzyknął Alex, wskazując tym razem na okrągłe lądowisko helikopterów.

— Być może masz rację — przyznał niechętnie Paul. — Ale to nie tłumaczy, dlaczego nikt się do tej pory nie pokazał.

Alex wzruszył ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć? Być może na całej platformie jest tylko jeden strażnik i jest w tej chwili czymś zajęty?

— Chodźmy już — wtrąciła Rochelle. — Bo za chwilę zamienię się w sople lodu.

Wzmagający się wciąż wiatr rozwiewał jej włosy, a usta miała prawie takiego samego koloru co niewielki, granatowy pieprzyk po jednej stronie nosa. Paul nie mógł oprzeć się pokusie szybkiego spojrzenia na jej piersi — napięte teraz i sterczące — widoczne doskonale poprzez cienki materiał bluzki. Uśmiechnął się i skinął głową.

— Masz rację. A więc zejdźmy na niższy pokład i spróbujmy dostać się do pomieszczeń mieszkalnych — wskazał na drabinę, która prowadziła na pokład poniżej. — Alex, może ty i Ro poprowadzicie?

Alex nie wydawał się być uszczęśliwiony tym pomysłem.

Otwierał już usta aby zaprotestować, lecz niespodziewanie zmienił zamiar.

— Okay — mruknął jedynie. — Chodź, Ro.

Gdy pierwsza para zniknęła już z pola widzenia, Paul odwrócił się w stronę Marka i Chris.

— Ty idziesz pierwsza, Linda, potem wy, a ja będę zamykał pochód.

Lecz Mark wydawał się nie zwracać na niego żadnej uwagi. Stał z zadartą do góry głową, wpatrując

się w pustą kabinę dźwigu. Dopiero teraz Paul zauważył, że Mark nie wygląda zbyt dobrze. Pod oczami miał ciemnogrnatowe sińce, a policzki były blade i zapadnięte.

— Wszystko w porządku, Mark? — zapytał z troską w głosie.

Zagadnięty drgnął i zamrugał nerwowo oczyma jak człowiek przebudzony nagle z głębokiego snu. Paula ponownie uderzył jego mizerny wygląd. Przez wszystkie te lata, w których się znali i przyjaźnili Mark nigdy nie był okazem zdrowia, ale w tej chwili był po prostu fizycznym wrakiem. Schudł znacznie, a jego cera przybrała nieprzyjemny, żółtawy odcień. Nie było to związane z wypadkami ostatnich paru dni; Mark zaczął tracić na wadze na długo przed zatonięciem jachtu. Paul niejednokrotnie usiłował dowiedzieć się przyczyny tego stanu rzeczy, ale wszystkie uwagi na ten temat Mark zbywał obojętnym wzruszeniem ramion.

— Mark, wszystko w porządku? — powtórzył.

— Tak — odparł, jednak jego spojrzenie ponownie powędrowało w stronę pustej kabiny.

— Paul, muszę ci coś powiedzieć... Tam na górze... Tam było coś w tych kombinezonach... Wewnątrz.

Zaskoczony Paul zmarszczył brwi.

— Wewnątrz? Co masz na myśli?

— Były pełne jakiegoś śluzu. Czarnego śluzu, czy raczej mazi. Potworne. To właśnie tak okropnie śmierdziało...

Chris spojrzała na niego z wyraźnym lękiem w oczach.

— Mark, czy jesteś pewien, że czujesz się zupełnie dobrze?

— Jak myślisz, co to mogło być? — zapytał Mark, ignorując zupełnie pełne niepokoju pytanie dziewczyny.

— Ta maź? Najprawdopodobniej jakiś smar. Po to

właśnie są kombinezony — aby wycierać w nie różne smary. Jesteśmy przecież na platformie wiertniczej...

— Ale wewnątrz?

— Być może przesiąkły smarem na wylot. Mark, dlaczego robisz tak wielki problem z paru upapanych smarem kombinezonów?

— Ty nic nie rozumiesz... — Mark pokręcił bezradnie głową.

— To nie był po prostu...

Dalsze słowa zagłuszył głośny okrzyk Alexa:

— Schodźcie wreszcie! Znaleźliśmy drogę do środka!

— Już idziemy! — odkrzyknął Paul. Odwrócił się w stronę Marka i dodał gniewnie:

— A więc? Chciałeś powiedzieć coś jeszcze?

Mark westchnął cicho.

— Zapomnij o tym. Wydawało mi się. Widocznie mam zbyt wybujałą fantazję — jeszcze raz rzucił szybkie spojrzenie na dźwig i ruszył w stronę drabinki. Chris pośpieszyła za nim.

Gdy Paul znalazł się na pomoście poniżej dostrzegł, że wszyscy skupili się dookoła uchylonych drzwi, spoglądając po sobie wyczekująco.

— Voila! — wykrzyknęła na jego widok Linda, wskazując gestem drzwi. Paul nie tracąc czasu zajrzał do środka. Znajdował się tam krótki korytarz zamknięty kolejnymi drzwiami, wykonanymi tym razem z nieprzezroczystego szkła. Dziwne, przemknęło mu przez głowę. Sam nie wiedział, co właściwie spodziewał się zobaczyć, lecz z całą pewnością nie coś takiego.

— Wciąż ani śladu komitetu powitalnego — mruknął. — Sądzę, że powinniśmy jednak wejść. Wszedł w korytarz i ruszył w kierunku szklanych drzwi. Pozostali podążyli za nim.

Drzwi nie posiadały żadnej klamki czy gałki, za to tuż obok w ścianie widniał czerwony przycisk.

— Naciśnij go — powiedział Mark. — To może być dzwonek.

Paul nacisnął. Drzwi z lekkim sykiem rozsunęły się na boki. Sześć stóp dalej znajdowały się następne, bliźniaczo podobne drzwi. Równocześnie świetlówka pod sufitem rozbłysła intensywnym, fioletowym blaskiem.

— Dziwaczne — mruknął Alex.

Paul wkroczył odważnie do skapanego w świetle pomieszczenia i po chwili stanął przed kolejnymi drzwiami. Podobnie jak poprzednie, nie posiadały żadnej widocznej klamki czy uchwyty. Zamiast tego w ścianie widniał znajomy przycisk. Jednak po naciśnięciu go, drzwi pozostały zamknięte.

Gdy wszyscy stłoczyli się tuż za Paulem, Mark zapytał nerwowo:

— Myślisz, że to światło jest bezpieczne? Czuję je na skórze!

Paul w dalszym ciągu uporczywie naciskał na przycisk.

— Sądzę, że jest to rodzaj urządzenia sterylizującego. Chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego coś takiego znajduje się na platformie wiertniczej.

— Sterylizator? — roześmiał się chrapliwie Alex.

— Cholera, jeżeli zzielenięją mi jaja, to podam tego Brinkstone'a do sądu. Dlaczego nie otworzysz wreszcie tych pieprzonych drzwi?

— One nie chcą się otworzyć — przyznał bezradnie Paul.

— Być może musimy przedtem zamknąć te pierwsze — powiedziała Linda po uważnym obejrzeniu wszystkich ścian. — Tu jest jeszcze jeden przycisk. Mam go nacisnąć?

Paul zawahał się przez chwilę. Nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się w pułapce zamkniętych drzwi, wystawiony w dodatku na działanie tego dziwaczego

światła. On także zaczynał już odczuwać nieprzyjemne mrowienie na skórze. Lecz nie mieli innego wyjścia.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Naciskaj.

Gdy zewnętrzne drzwi zasunęły się za nimi, Paul ponownie spróbował pokonać oporny przycisk. Ku jego niewysłowionej uldze tym razem drzwi otworzyły się, a fioletowe światło zgasło.

Przed nimi rozciągał się długi, biały korytarz jaskrawo oświetlony blaskiem licznych lamp fluorescencyjnych. Paulowi przypominało to szpital. W powietrzu unosił się silny zapach środka dezynfekcyjnego.

Przez dłuższą chwilę wszyscy wpatrywali się w korytarz w niemym zdumieniu. W końcu Mark przerwał przedłużającą się ciszę:

— Zaczynam wątpić, by była to zwykła platforma wiertnicza.

— Moje gratulacje — parsknął Alex. — Musiałeś zużyć na to mnóstwo komórek mózgowych. Prawda, tępaku?

— A więc co to właściwie za miejsce? — zapytała Linda.

— Nie wiem — przyznał szczerze Paul.

Nagle Rochelle wydała z siebie przeraźliwy okrzyk który sprawił, że wszyscy podskoczyli:

— Hej! Jest tam ktoś?

Okrzyk odbił się echem od ścian korytarza i zamilkł w oddali. Lecz nie było żadnej odpowiedzi.

— Chryste, ostrzeż mnie zanim zrobisz coś takiego ponownie, ty suko! — warknął Alex.

— Nie podoba mi się to wszystko — wtrąciła ponuro Chris. — Jest tutaj coś dziwnego. Czuję to.

— Chris, nie chcemy w tej chwili słuchać o twych paranormalnych zdolnościach — zaprotestował słabo Paul. — Już i bez tego jesteśmy wystarczająco zdezorientowani.

Była to właśnie jedna z rzeczy, które go nieustannie

irytowały u Chris. Jeżeli nie rozprawiła o ekologii, zdrowym pożywieniu czy zanieczyszczeniu środowiska, bzdurzyła coś o astrologii lub paranormalnych zdolnościach psycho-fizycznych. Zeszłego lata razem z Markiem spędziła cały miesiąc włóczęgając się po okolicy śladem „żył wodnych” które, jak twierdziła, wyczuwała. Razem z Markiem tworzyli dobraną parę. Oboje byli w pewien sposób zwariowani.

— Chodźmy — rzucił szorstko. — Spróbujmy odnaleźć kogoś kto powie nam, co tu się właściwie dzieje.

Paul zdecydowanym krokiem ruszył w głąb korytarza i zastukał w pierwsze drzwi, jakie napotkał. Ponieważ odpowiedziała mu cisza, nacisnął klamkę. Pod naporem dłoni drzwi ustąpiły lekko i zajrzał ostrożnie do środka.

Ponieważ w całym pomieszczeniu płonęły jaskrawo lampy, od razu dostrzegł, że pokój jest pusty. Wszedł powoli do środka czując się po trosze, jakby wkraczał w obszar zakazany. Podświadomie oczekiwał, że lada moment pojawi się właściciel tego pomieszczenia i gniewnym tonem zażąda wyjaśnień.

Pokój był duży i z całą pewnością było to pewnego rodzaju laboratorium. Wypełniało go mnóstwo instrumentów: mikroskopy, rzędy probówek, autoklawy, lodówki i inne, których nawet nie próbował zidentyfikować. Jediną plamą koloru pośród wszechobecnej bieli były różnokolorowe wykresy, porozwieszane w równych rzędach na ścianach. Pośrodku pokoju stało coś, co przypominało abstrakcyjną rzeźbę wykonaną z sepek różnokolorowych piłeczek ping-pongowych.

— Słuchajcie! — wykrzyknęła Rochelle, gdy już wszyscy znaleźli się w pokoju. — To wygląda jak scena z filmu fantastyczno-naukowego. Brakuje tylko facetów w białych fartuchach.

— Do czego, u diabła, laboratorium takie jak to

może być potrzebne na platformie wiertniczej? — zapytała zaskoczona Linda.

— To proste — odparł Alex. — Używają go do analizowania próbek minerałów, oleju, mułu i tym podobnych dupereli.

Paul w zamyśleniu potrząsnął głową.

— Nie. To laboratorium medyczne. Rozpoznaję parę z tych urządzeń. Po studiach spędziłem rok jako laborant w szpitalu. A to zgadza się z komorą powietrzną w korytarzu. Jest to urządzenie, które zapobiega przedostawaniu się na zewnątrz bakterii...

— O Boże! — przerwała Chris. — Chcesz powiedzieć, że to miejsce może być pełne niebezpiecznych zarazków?

Paul nie mógł ukryć łobuzerskiego uśmiechu. Chris przejawiała chorobliwą obawę przed wszelkiego rodzaju zanieczyszczeniami i manią dbałość o higienę.

— Uspokój się — powiedział. — Nie ma sensu wyśkakiwać z takimi wariackimi teoriami. Komora powietrzna jest tylko środkiem zapobiegawczym. Być może zapobiega jedynie przedostawaniu się zanieczyszczeń z zewnątrz.

— Oby tak było — szepnęła. — Chciałabym, abyśmy wreszcie kogoś znaleźli. Gdzie się wszyscy podzieli? Co się z nimi stało!

— Cokolwiek się stało, opuścili to miejsce w pośpiechu — powiedziała Linda. — Spójrzcie na to — wskazała na filiżankę od kawy stojącą na jednym ze stolików. — Jest do połowy pełna.

— Cholera, zupełnie jak na „Marie Celeste” — mruknęła Rochelle, wzruszając przy tym ramionami. — Na tym statku, z którego wszyscy zniknęli właśnie w trakcie posiłku.

— To była „Mary Celeste”, a nie „Marie” — powiedział Mark. — I wcale nie było takie tajemnicze, jak niektórzy wciąż uważają.

— Naprawdę? — rzuciła wojowniczo Rochelle. — A skąd ty o tym wiesz?

— No właśnie — poparł ją Alex. — Skąd do diabła możesz wiedzieć, co się tam naprawdę stało?

Wszyscy, nie wyłączając Paula, spojrzeli na Marka. Ten westchnął z rezygnacją.

— Gdy byłem jeszcze dzieciakiem, ojciec opowiedział mi historię „Mary Celeste”. Byliśmy wtedy na jachcie, sami i na pełnym morzu. Myślę, że chciał mnie po prostu przestraszyć i muszę przyznać, że doskonale mu się to udało. Od tej pory zawsze, ilekroć zabierał mnie ze sobą na jacht — a czynił to bardzo często — nie mogłem przestać myśleć o tej historii. Gdy tylko traciliśmy z oczu ląd, moja wyobraźnia dostawała obłądu. W każdej chwili oczekiwałem że Bóg wie co wynurzy się spod wody i nas złapie. A więc gdy dorosłem, spróbowałem wyjaśnić zagadkę „Mary Celeste” na własną rękę...

— W jaki sposób? — zapytał Paul.

Mark wzruszył ramionami.

— Bardzo prosty. Wszystkie materiały są wciąż w biurach Lloyd'a, w Londynie. Udało mi się do nich dotrzeć. Okazało się, że cała sprawa „Mary Celeste” została w swym czasie niebywale rozdmuchana przez żądną sensacji prasę. Podawała ona na przykład, że gdy odnaleziono pusty statek, na pokładzie wciąż tkwiły wszystkie łodzie ratunkowe. Nie było to prawdą. Jednej łodzi brakowało. Oficjalna komisja wysnuła więc wniosek, że statek dostał się w obszar silnej burzy a załoga, w błędnym przeświadczeniu, że za chwilę zatona, wsiadła w panice do szalupy i odpłynęła. Było tam jeszcze wiele dowodów wskazujących na to, że statek przeszedł przez niezwykle silny sztorm...

— A więc kolejna morska legenda — mruknął Paul. — Ale potwierdza jedynie to, że nie powinniśmy

zbyt pochopnie wpadać w panikę. Po prostu musimy się dowiedzieć, co się tu właściwie dzieje.

— Jasne, szefie — powiedział z wyraźnym sarkazmem w głosie Alex. — Wszystko, co każesz.

Nagle schylił się gwałtownie i podniósł coś leżącego na podłodze pod jednym z krzesel. Był to biały, laboratoryjny fartuch. Gdy Alex uniósł go w górę, na ziemię spadł biustonosz i para białych, jedwabnych pończoch.

— Cholera, mieli tutaj kobiety — mruknął i ku zdumieniu Paula przytknął podniesioną z ziemi pończochę do nosa udając, że wącha.

— Mmm-mmm. Chciałbym spotkać ich właścicielkę. Myślicie, że odbywali tutaj coś w rodzaju orgii?

— Bardziej prawdopodobne że zdjęła pończochy, ponieważ zostały czymś skażone — powiedział zimno Paul.

Alex rzucił pończochę na ziemię, jakby nagle sparzyła go w palce. Postąpił krok do przodu i spojrzał na Paula rozszerzonymi strachem oczyma.

— Co ty mi tu usiłujesz sprzedać, człowieku? Skażone? Czym?

Paul nie mógł się powstrzymać przed obróceniem noża w ranie:

— Nie wiem. Ale to możliwe. Mogła przypadkowo wejść w kontakt z jakimiś niebezpiecznymi bakteriami. Dlaczego ktoś miałby się rozbierać w takim pośpiechu w samym laboratorium? Może dlatego właśnie to miejsce jest opuszczone.

— Ale sam w to nie wierzysz, prawda, Paul? — zapytała Chris nienaturalnie wysokim głosem.

Paul natychmiast pożałował swych pochopnych słów. Jego dziecinna chęć wystraszenia Alexa pogorszyła jedynie sprawę. Powinien próbować ich uspokajać, a nie dodatkowo przerażać.

— Nie, oczywiście, że nie — odparł uspokajająco.

— Jeżeli rzeczywiście byłoby tu coś w powietrzu to wydaje mi się, że cała ta sekcja zostałaby automatycznie odcięta. Komora powietrzna na zewnątrz służy prawdopodobnie takim właśnie celom.

— Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego właścicielka tego stroju rozbierała się w takim pośpiechu — wtrąciła Linda. — Spójrzcie, tutaj są nawet jej buty.

— Być może rzeczywiście były tu jakieś zarazki — powiedział Mark. — Ale do tej pory zdążyły już zginąć.

— Możliwe — skrzywił się Paul. — Sądzę, że na razie nie powinniśmy niczego dotykać — to ostatnie skierowane było pod adresem Lindy, która pochylała się właśnie nad porzuconą przez Alexa odzieżą.

— Spójrzcie — powtórzyła, wskazując na coś palcem. — Tu jest karta identyfikacyjna z fotografią.

Paul pochylił się nad jej ramieniem i z ciekawością spojrzął na plastikowy prostokąt. Niewielka fotografia przedstawiała młodą, atrakcyjną blondynkę.

— Carol Soames — odczytał głośno nazwisko widniejące w dolnym rogu karty. — Doktor Carol Soames. Ciekawe, gdzie się ona teraz znajduje.

— Jeżeli jeszcze żyje — zauważyła cierpko Chris.

— Słuchajcie, czy ktoś zauważył coś dziwnego w tym ubraniu? — wykrzyknęła nagle Rochelle.

— Co masz na myśli? — zapyta! Paul.

— Ta bielizna była wewnątrz fartucha.

Paul zmarszczył brwi.

— Jesteś tego pewna?

— Tak, ona ma rację — poparła ją Linda. — Biustonosz i pończochy wypadły ze środka fartucha. Dlaczego ktoś miałby je tak układać, jeżeli rozbierał się w takim pośpiechu?

— No właśnie — Alex wciąż spoglądał na swoje palce, jakby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć

na nich ślady infekcji. — Mam tylko nadzieję że ją dopadnę, zanim zdąży ubrać się ponownie.

— Jesteś niemożliwy, Alex — w głosie Chris zabrzmiała wyraźna wymówka. — W życiu są ważniejsze rzeczy, niż seks.

— Naprawdę? — uśmiechnął się nieprzyjemnie Alex. — A ty skąd możesz o tym wiedzieć? Przecież nigdy nie spałeś z prawdziwym mężczyzną — spojrzał wyzywająco w stronę Marka.

— Dajmy już temu spokój — wtrącił pośpiesznie Paul. — W tej chwili mamy na głowie ważniejsze sprawy.

— Właśnie — dodała Linda. — Na przykład, gdzie jest najbliższa łazienka. Jestem cała biała od soli.

— Ja także — poparła ją Rochelle. — A w dodatku umieram z głodu.

— A więc chodźmy stąd. Przeszukamy cały ten poziom, a potem przejdziemy na następny. Przecież ktoś musi tu być.

— A co będzie, jeżeli nie znajdziemy nikogo? — zapytała Chris.

— Wtedy rozgościmy się tu sami i zaczekamy na jakąś pomoc — odparł Paul.

— Jak myślisz, Paul, co to może być? — zapytał nagle Mark, wpatrując się z zaciekawieniem w rzeźbę z różnokolorowych piłeczek. Mierzyła co najmniej osiem stóp wysokości.

— To jasne, głupku — wtrącił Alex, zanim Paul zdążył otworzyć usta. — To model molekułów. Te piłeczki to przypuszczalnie atomy. Pamiętam, że mieliśmy coś takiego w szkole.

Paul pokręcił przecząco głową.

— Nie wydaje mi się.

— A więc co to, mądralo?

— To model chromosomu. Widzisz te dwa rzędy

pięteczek wijących się spiralnie dookoła siebie? To słynna „podwójna helisa”. Każda wyobraża oddzielny gen.

W pokoju zapadła cisza, podczas której wszyscy w skupieniu obserwowali model. Przerwała ją dopiero Chris:

— Inżynieria genetyczna.

— Co takiego? — zapytał zaskoczony Mark.

— Inżynieria genetyczna. To właśnie tutaj robili. I nie podoba mi się to. Bardzo nie podoba.

— Nie rozumiem — powiedziała w zamyśleniu Linda. — Do czego może służyć laboratorium inżynierii genetycznej na platformie wiertniczej?

— No właśnie — ponownie wtrąciła Chris. — Co oni próbują ukryć?

3.

Gdy szli wymarłym korytarzem Linda wskazała na coś, co poprzednio umknęło ich uwadze. Zainstalowane w regularnych odstępach pod sufitem, widniały niewielkie kamery telewizyjne.

— Cokolwiek tu robili, z pewnością mieli bardzo ścisły system zabezpieczeń — zauważył Paul.

— Być może wciąż go mają — powiedział Mark.

— Może po drugiej stronie tych kamer ktoś jednak jest. Czuję się, jakbym był obserwowany.

— A więc dlaczego nikt się nie pokazuje? — zapytała Linda.

— To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów, kochanie — uśmiechnął się Paul.

Sprawdzili kolejny pokój. Tu także było laboratorium, prawie identyczne jak pierwsze. I tak samo opuszczone. Lecz ku własnemu zdumieniu znaleźli tutaj więcej porzuconej odzieży. Ubrania leżały na trzech oddzielnych stosach — tym razem była to odzież wyłącznie męska — i tak jak poprzednio, bielizna umie-

szczona była troskliwie wewnątrz wszystkich ubrań. W butach tkwiły nawet skarpetki.

Paul, przesuwając plastikowym wskaźnikiem jedną z koszul, czuł się coraz bardziej zdezorientowany.

— To jakieś szaleństwo — mruknął.

— Wariactwo. Czyste wariactwo — dorzucił Alex.

Chris rozejrzała się nerwowo dookoła. Paul wyprostował się i rzucił wskaźnik na podłogę.

— To nas do niczego nie doprowadzi. Lepiej chodźmy stąd.

— Nie sądzisz, że byłoby lepiej gdybyśmy się rozdzielili? — zapytał Alex.

— Nie. Nie sądzę, aby był to dobry pomysł.

— A co to właściwie za różnica? — nie ustępował Alex. — Przestraszony?

Paul, z trudem panując nad rosnącym zniecierpliwieniem, odparł:

— Nie. Ale sądzę, że powinniśmy trzymać się razem dopóki nie dowiemy się, co tu się właściwie dzieje.

Alex sięgnął nagle do wewnętrznej kieszeni koszuli. Rozległo się krótkie „klik” i Paul spostrzegł, że spogląda prosto na sześciocalowe ostrze błyszczące dokładnie tuż przed jego nosem.

— Widzisz to, szefie? Nie ma powodu do niepokoju. Ktokolwiek nas tu zaczepi pozna, jak to smakuje. Już ja się o to postaram.

Paul nie potrafił ukryć zaskoczenia. Nie miał pojęcia, że Alex ma przy sobie jakąkolwiek broń. Gdyby o tym wiedział, nie wdawałby się z nim tak pochopnie w niepotrzebne dyskusje. Jedno było pewne — Alex z pewnością byłby w stanie użyć tego noża.

Z całym spokojem na jaki go było stać, powiedział:

— To bardzo przekonujące, Alex. Ale lepiej to odłóż, zanim się skaleczysz. Jestem pewny, że nie będzie potrzeby tego używać.

Oczy Alexa stwardniały.

— Jesteś tego pewien, szefie?

Znaczenie tych słów było zupełnie jasne. Było to bezpośrednie wyzwanie, lecz w tej chwili Paul mógł je jedynie zignorować. Wiedział jednak, że od tej chwili nigdy już nie będzie czuł się bezpiecznie, mając za plecami Alexa.

Na najwyższym poziomie było jeszcze sześć pomieszczeń laboratoryjnych. Niestety, wszystkie były puste. Pięć sal podobnych było do pierwszego, lecz szóste, największe, zapchane było komputerami i innym, niezwykle skomplikowanym sprzętem elektronicznym.

— Do diabła, to wszystko tutaj musi być warte setki tysięcy funtów — zauważył zaskoczony Paul.

— Tak? — sapnął Alex, rozglądając się z nowym zainteresowaniem po pomieszczeniu.

— Zapomnij o tym, Alex. I tak nie zdołasz tego wynieść.

Oprócz laboratoriów było tu także sporo magazynów wypełnionych, sprzętem medycznym i naukowym. Idąc dalej odkryli miniaturową elektrownię, wyposażoną w dwa generatory diesla. Również i to pomieszczenie robiło wrażenie zupełnie opuszczonego.

W końcu znaleźli centralkę łączności. I tu natknęli się na pierwszą z serii niespodzianek.

Centrala była kompletnie zdemolowana. Kosztowna aparatura została porozbijana na drobne kawałki które zaśmiecały podłogę. Robiło to wrażenie, jakby wewnątrz eksplodowała bomba.

— Nie myślę, aby udało nam się stąd z kimkolwiek połączyć — zauważył ponuro Paul.

— Ktoś tu odwalił kawał dobrej roboty — mruknął Alex. — Ciekawy jestem, dlaczego.

— Hej, spójrzcie na to! — wykrzyknęła Rochelle schylając się, aby podnieść coś leżącego na podłodze wśród odłamków szkła.

Gdy się wyprostowała spostrzegli, że trzyma w niepewnym uchwycie karabin automatyczny.

Alex natychmiast wyrwał go dziewczynie.

— Cholera, to przecież M-16! — wykrzyknął podniecony. Zaczął sprawdzać broń krótkimi, fachowymi ruchami. Paul przypomniał sobie, że Alex zanim zwolniono go dyscyplinarnie za handel morfiną jakiś czas spędził w armii amerykańskiej.

— Wszystko z nim w porządku? — zapytał Paul, z trudem opanowując coraz większy niepokój.

— Jasne — odparł Alex, wyjmując szybkim ruchem magazynek. — Nawet załadowany.

— Wygląda na niezwykle lekki.

— Bo jest. Uchwyt i kolba wykonane są ze wzmocnionego włókna szklanego. Nie waży więcej, niż zwykła dwudziestka dwójka — w głosie Alexa brzmiało wyraźne zadowolenie, że może pochwalić się swą wiedzą na ten temat. — Ale wali jak diabli. Amunicja do tego ma kaliber 5.63- i możesz strzelać jak ze zwykłej strzelby, jeden wystrzał za każdym pociągnięciem spustu. Albo przełączyć na strzelanie automatyczne, o tak... — zademonstrował działanie przełącznika. — I w mgnieniu oka wywalić wszystkie pociski. Nie jest to jednak dobra metoda, ponieważ cały magazynek zawiera jedynie dwadzieścia naboii. Najlepsza jest krótka seria, jakieś trzy, cztery pociski... — odbezpieczył broń. — A teraz wystarczy tylko nacisnąć spust i koniec z tym, kto znajduje się po niewłaściwej stronie lufy.

— Pięknie — powiedział miękko Paul i wyciągnął rękę. — A teraz oddaj mi go.

— Żartujesz?

— Nie. Daj mi ten karabin.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

— Gówno! — warknął nagle Alex i wymierzył broń w brzuch Paula. Atmosfera w pokoju wyraźnie zgęstniała.

— Hej! — krzyknął ktoś. — Znalazłem tu jeszcze jeden!

Paul odwrócił się i zobaczył Marka wyjmującego spod jednego z foteli drugi M-16. Wyciągał właśnie broń w stronę Paula, gdy powstrzymał go okrzyk Alexa:

— Nie dawaj mu go!

Mark zamarł.

— Nie słuchaj — polecił spokojnie Paul. — Daj mi ten karabin, Mark.

Wewnątrz był napiętym kłębkim nerwów. Podświadomie oczekiwał serii pocisków, które uderzą w jego ciało i rzucą o ścianę. Mark wolno podał Paulowi broń. Ten wziął ją od niego i zamarł w oczekiwaniu.

Strzał jednak nie padł.

Paul sprawdził czy magazynek jest załadowany, celowo ignorując przy tym Alexa. W końcu odwrócił się do niego i uśmiechnął wyzywająco.

Alex z westchnieniem opuścił lufę swego M-16. Paul odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że kryzys tymczasowo został zażegnany.

Chris parsknęła nerwowym śmiechem.

— No dobrze, twardziele. Macie już te swoje zabawki, więc może przestalibyście już odgrywać bohaterów?

— Zamknij się, głupia krowo! — rzucił jadownicie Alex.

— Na miłość Boską! — wybuchnęła Linda. — Przestańmy walczyć z sobą i skupmy się lepiej na tym, co się tu właściwie wydarzyło. Dlaczego na przykład, tego rodzaju broń znajduje się na zwyczajnej platformie wiertniczej.

— Chyba wiemy już, że nie jest to zwyczajna platforma wiertnicza — powiedział z lekkim uśmiechem Paul.

— Spójrzcie tutaj! Jeszcze więcej ubrań! — wykrzy-

knęta Rochelle podnosząc z ziemi coś, co wyglądało jak kurtka mundurowa. Była ciemnoniebieska i poplamiona paroma plamami koloru starej rdzy.

Wszyscy zgromadzili się dookoła nowego znaleziska. Na klapie kurtki widniała naszywka z napisem „Straż” z przypiętą do niej kolorową fotografią. Przedstawiała ona młodego, energicznego mężczyznę o krótko obciętych włosach.

— Musiała należeć do właściciela jednego z tych karabinów — powiedział Paul. Nagle zauważył coś dziwnego. Pozostali także.

— Chryste! — szepnęła zbielełymi wargami Chris.

— On został przez coś pocięty. Jakieś ostrze...

— Lub szpony — wtrącił Mark. — Ślady są dziwnie równoległe, widzicie...?

Dopiero teraz Paul zorientował się, czym naprawdę były te plamy.

Była to zakrzepła krew.

Na drugim poziomie znaleźli wreszcie toalety. Był to jednak jedyny ślad jakiegokolwiek komfortu. Poziom Drugi, jak głosiły napisy na tabliczkach, nie różnił się zasadniczo od poziomu powyżej. Lśniące, białe korytarze łączyły kompleksy laboratoryjne i magazyny. Nigdzie jednak żadnego śladu życia.

Znaleźli jeszcze parę kawałków odzieży. Niektóre były porozdzierane i okrwawione. Wciąż nie mieli jednak najmniejszego pojęcia, co mogło być tego przyczyną. I niezmiennie wewnątrz wszystkich ubrań tkwiła nietknięta bielizna. Kilka razy natknęli się na ślady walki. W ścianach widniały dziury po pociskach, niektóre drzwi zostały wyłamane, kilka pomieszczeń doszczętnie spłonęło.

Gdy zeszli na kolejny poziom, byli już kompletnie wyczerpani. Poprzestawali na szybkim spojrzeniu do

wnętrza każdej z mijanych kolejno sal, które także były puste.

Ten poziom różnił się od pozostałych dwiema rzeczami. Pierwszą był długi, wąski pokój zapchany aż po sufit pustymi klatkami różnej wielkości. Chociaż w powietrzu unosił się silny zapach środka odkażającego, można było wyczuć woń zwierząt.

— Pfe! — parsknęła Rochelle marszcząc z obrzydzeniem nos. — Co oni do diabła tu trzymali? Śmierdzi, jak skarpetki Alexa.

Paul zaczął odczytywać tabliczki umieszczone w rogu każdej z klatek:

— Rezusy, szympany, orangutany... — schylił się, aby spojrzeć na niższy rząd klatek. — A tu koty domowe, psy, chomiki i szczury. Mnóstwo szczurów. Musieli ich używać do jakichś eksperymentów.

— Dranie — mruknęła Chris, zagorzała przeciwniczka wiwisekcji.

— Ale gdzie są te wszystkie zwierzaki? — zastanawiała się głośno Linda.

— Musieli ewakuować je razem z ludźmi — wyraził przypuszczenie Mark.

— To nie ma sensu. Po co w takim razie zostawiały puste klatki? — zapytał Paul.

— A zauważyliście coś jeszcze dziwniejszego? — odezwała się ponownie Chris. — Wszystkie klatki są zamknięte. Kto do diabła zadawałby sobie tyle trudu, aby zamykać wszystkie klatki po wyjęciu z nich zwierząt?

Na to pytanie nie było odpowiedzi.

W drugim końcu pomieszczenia były obrotowe drzwi, które zamykały pokój zastawiony akwariami. Oświetlony tym samym, fioletowym światłem, co w komorze powietrznej, zawierał dziesiątki różnej wielkości szklanych zbiorników. I podobnie jak klatki, wszystkie akwaria stały puste.

— Niespodzianka goni niespodziankę — mruknęła Linda.

W całym pomieszczeniu panowała niesamowita atmosfera, którą bez wątpienia potęgowało niezwykle światło i lekki poszum bąbelków tlenu, który był nieustannie dostarczany do zbiorników. I to nieokreślone wrażenie pustki...

— Tylko mi nie mówcie — powiedziała Rochelle ze złością w głosie — że ryby ewakuowali także.

— Nie podoba mi się tu. Wyjdźmy stąd. Natychmiast — powiedziała Chris.

— Kolejne wibracje? — zapytał złośliwie Alex.

— Tutaj musieli mieć jakąś naprawdę dużą rybę. Spójrzcie tylko na to — powiedział Mark wskazując na zbiornik, mierzący przeszło 20 stóp długości. Paul zbliżył się i spojrział na tabliczkę:

— „Carcharodon” — przeczytał. — Czy ktoś z was wie, co to znaczy?

— Nie — odparła wzdrgając się Linda. — Ale zgadzam się z Chris. Wyjdźmy już stąd. Dostają dre-szczy.

Kolejną dziwną rzeczą na tym poziomie był pokój wypełniony sprzętem telewizyjnym. Tu właśnie znajdowały się monitory kamer, które spotykali po drodze. W dodatku wszystkie funkcjonowały, ukazując różne części platformy.

— Zupełnie, jakby ktoś wyszedł stąd na chwilę przed naszym przybyciem — wyraziła myśli wszystkich Chris.

— Być może tak właśnie było — powiedział Alex.

— I mogę się założyć, że stąd właśnie nasz tajemniczy operator manewrował dźwigiem.

— To możliwe — mruknął Paul, wpatrując się w dziwaczne urządzenia.

— Chciałabym, aby wreszcie przestali się przed na-

mi ukrywać — powiedziała Linda. — To zwariowane. Dlaczego właściwie to robią?

— Już ci to mówiłem — odpowiedział Mark — Muszą coś ukrywać.

— A więc dlaczego pozwolili nam łązić po całej platformie?

— Nie wiem — przyznał szczerze Mark.

Paul tymczasem dokonał kolejnego odkrycia. Jedną ze ścian zapełniały dziesiątki kaset magnetowidowych. Wszystkie oznakowane były tym samym rodzajem kodu. Paul wyjął jedną z nich i z ciekawością obejrzał.

— Ciekawe, co na tym może być nagrane? — zauważył.

— Możemy to sprawdzić — powiedziała Linda. — Muszą mieć gdzieś tutaj odtwarzacz. Być może przeglądając te taśmy dowiemy się wreszcie, co tu się właściwie stało.

— Ależ przejrzanie tych kaset, choćby pobieżne, zajmie nam dobrych parę dni — zaprotestowała Rochelle. — Odłóżmy to na później. Teraz powinniśmy znaleźć coś do jedzenia i spania.

Ponieważ wszyscy myśleli podobnie, zeszli na najniższy i ostatni już poziom. Poziom Pierwszy, jak się okazało, w całości przeznaczony był na przestrzeń mieszkalną. Znajdowały się tu sypialnie, kuchnie, pomieszczenia rekreacyjne... Paul ze zdumieniem stwierdził, że mogłoby się tu wygodnie pomieścić nawet dwieście osób.

Obeszli szybko cały ten poziom i tak jak się tego spodziewali, nigdzie nie natrafili na żaden ślad życia. Co prawda parę drzwi było zamkniętych od wewnątrz, jednak nikt nie odpowiadał na uporczywe pukanie. W końcu wrócili do jednej z kuchni, aby przygotować posiłek.

Kuchnie zaopatrzone były w bogaty zestaw zarówno mrożonej, jak i puszkowanej żywności. Za radą

Paula, przy przyrządzaniu szybkiego posiłku korzystali wyłącznie z puszek. Podobnie było z wodą. Zadowolili się mineralną, którą znaleźli w szczelnie zamkniętych butelkach i sokami owocowymi.

Gorący posiłek w widoczny sposób poprawił nastrój wszystkich członków grupy. Paul zauważył, że nawet blada do tej pory cera Marka nabrała zdrowszego wyglądu. Sprawilo mu to wyraźną ulgę, bowiem obawiał się, że jego przyjaciel cierpi na coś poważnego.

Gdy skończyli kolację, było już dobrze po dziesiątej wieczorem. Dziewczęta chciały iść już do łóżek lecz Paul nalegał, aby sprawdzić pozostałe pomieszczenia.

Trwało to kolejną godzinę. Nie znaleźli nikogo. Jednak to, na co się natknęli, sprawiło, że pogodny nastrój osiągnięty podczas kolacji ulotnił się bez śladu. We wszystkich zamkniętych pokojach na podłodze znajdowały się porzucone ubrania — i za każdym razem drzwi do pokoju zamknięte były od wewnątrz.

W jednym z pomieszczeń sarta ubrań była szczególnie zastanawiająca. Paul stwierdził że było ich dosyć, dla kilkunastu ludzi. Znaleźli także kolejne dwa M-16 i rewolwer — co podnosiło ilość odnalezionej broni do osiemnastu sztuk — oraz dwa ręczne miotacze ognia.

— Musiały się tu odbywać jakieś orgie — powiedział Alex, uśmiechając się nieprzyjemnie. Paul wiedział jednak, że z trudem panuje nad rosnącym niepokojem. Coś bardzo dziwnego wydarzyło się na tej platformie i dopóki nie dowiedzą się co, nigdy nie uda im się pozbyć uczucia strachu, że wszystko, co się tu stało, może wydarzyć się ponownie — tym razem im.

— Wygląda to tak, jakby grupa ludzi stała plecami do ściany, a potem po prostu wyparowała z własnych ubrań — zauważył Mark.

— Nie mów tak — rzuciła ze złością Rochelle. — Boję się.

— Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób udało im się wyjść — zastanawiała się głośno Linda. — Przecież te wszystkie drzwi zamknięte były od wewnątrz.

— Być może rzeczywiście wszyscy się rozpuścili — zauważyła ponuro Chris. — Może produkowali tu jakiś nowy rodzaj broni biologicznej. Gaz, lub wirusy...

— Och, nie opowiadaj bzdur — przerwał jej Alex.

— O czym ty mówisz, Chris? — zapytał Paul.

— Myślę, że całe to miejsce jest tajnym, rządowym laboratorium biologicznym. Potwierdza to model chromosomów, który znaleźliśmy wyżej. Przy pomocy inżynierii genetycznej pracowali tutaj nad nowym typem broni biologicznej. I widocznie jedna z tych broni wymknęła im się spod kontroli...

— Ale to przecież amerykańska platforma — wtrąciła Linda.

Chris wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— A więc stoi za tym rząd amerykański. To nawet całkiem prawdopodobne — oni zawsze umieszczają niebezpieczną broń na progu innych państw...

— Słuchaj, obrażasz mój kraj — zaprotestował Alex. — Najlepszy kraj pod słońcem.

— Kraj, który potrafi wyprodukować Charlesa Mansona i ciebie, Alex, z całą pewnością nie jest najlepszy — wtrąciła słodko Linda.

— Wiesz, Linda, kiedyś doprowadzisz do tego, że będę zmuszony dać ci po prostu po buzi.

— Uspokójcie się — wtrącił szybko Paul. — Chris ma chyba częściowo rację. To miejsce rzeczywiście może być pewnego rodzaju laboratorium genetycznym. Jedna rzecz jest pewna — od dawna nie przeprowadzano tu żadnych prac wiertniczych. Nigdzie nie ma żadnego sprzętu wiertniczego. Pomp, zbiorników i tym podobnych rzeczy. Cała ta platforma to tylko kamuflaż.

— A to oznacza — powiedziała Linda. — Że prze-

prowadzane tutaj badania musiały być zupełnie nielegalne.

— Właśnie — skinął głową Paul. — I to prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego platforma jest zupełnie opuszczona. Nie chcieli po prostu odpowiadać na żadne niewygodne pytania.

— Pięknie — powiedziała ziewając Rochelle. — A więc skoro już się z tym uporaliśmy, chodźmy wreszcie spać.

— Niezły pomysł — odparł Paul. — Rano możemy rozpocząć poszukiwania od nowa.

— Z pewnością nie zasną wiedząc, że coś może łączyć po korytarzach — powiedziała wzdrygając się Chris.

Alex podrzucił do góry swój M-16.

— Nie obawiaj się, dziecinko. Mamy przecież to, razem z mnóstwem amunicji.

Chris wskazała ręką na stertę pustej odzieży.

— Oni także to mieli.

4.

Wybrali trzy kabiny najbliższe kuchni, w której jedli. Chociaż każda kabina miała po cztery wygodne łóżka, to jednak wspólnie zdecydowali, że wszystkie pary spać będą oddzielnie. Była to pierwsza okazja na odrobinę prywatności, od czasu kiedy wypłynęli z Maroko. Na jachcie zmuszeni byli do dzielenia jednej, wspólnej kabiny, a od czasu katastrofy sytuacja stała się oczywiście jeszcze gorsza.

Myśli Alexa zaprzątnięte były wyłącznie jednym. On i Rochelle nie kochali się już od przeszło dwóch tygodni i jak na niego, był to rekord, którego nie zamierzał już nigdy pobić.

Zamknął drzwi, odwrócił się i objął ją w silnym uścisku, od którego aż jęknęła.

— Mamy dużo do nadrobienia, Ro — powiedział gorącym szeptem. — A więc zaczynamy...

Naparł na nią silnie biodrami i zaczął popychać dziewczynę w stronę najbliższego łóżka. Nagle silny cios kolanem w krocze pozbawił go tchu.

— Suka! — wystękał Alex z wysiłkiem zbielełymi wargami. Puścił ją i osunął się na kolana.

Ro przyjęła to zupełnie obojętnie. Nigdy się go nie bała. Nawet wtedy, gdy stawał się agresywny. Była pewna, że zawsze potrafi go powstrzymać.

— Jestem zmęczona, Alex. Bardzo zmęczona. Chcę po prostu położyć się spać — zaczęła rozpinąć guziki bluzki. — Będziesz musiał poczekać do rana.

— Powiniennem rozwalić ci głowę — stęknął.

— Naprawdę? A więc spróbuj, kolego. Pożałujesz tego do końca życia. Już ja się o to postaram. A więc lepiej zamknij się i idź spać.

Szybko zapomniał o bólu patrząc, jak zdejmuje bluzkę i rozpina zamek dżinsów. Gdy zdejmowała spodnie, jego spojrzenie przesunęło się po jej pełnym, sprężystym ciele — wiedział, że zawdzięczała je uprawianemu intensywnie przez kilka lat łyżwiarstwu. Alex poczuł, jak ponownie ogarnia go podniecenie. Spośród wielu kobiet jedynie Rochelle miała ciało najbardziej zbliżone do jego ideału.

— Słuchaj, Ro... żartowałem tylko — jego głos przybrał nieprzyjemny, płaczliwy ton. — Wiesz przecież, że mam na ciebie ochotę.

— Pewnie — powiedziała, wchodząc do łóżka. Gdy przykrywała się kocem, przez chwilę udało mu się dostrzec jej огоłone krocze. Była to rzecz, na którą należał u wszystkich swych kobiet — sam akt golenia doprowadzał go zawsze na skraj szaleństwa. Przypominał sobie, kiedy po raz ostatni golił Ro: Było to w niewielkim hoteliku w Maroku. Było nieznośnie parne popołudnie, a oni byli już po kolacji, zakończonej spo-

ra dawką haszyszu. Ro leżała wygodnie na łóżku a on pracował nad nią w skupieniu, powoli, za każdym pociągnięciem brzytwy przeżywając chwile niewyobrażalnej rozkoszy. A potem kochali się długo i namiętnie...

Alex wstał z klęczek i zataczając się lekko podszedł do łóżka.

— Daj spokój, Ro. Nie bądź dziwką. Jestem naprawdę napalony.

Spojrzała na niego matowymi, otoczonymi czerwoną obwódką, oczyma.

— Nie żartuję, Alex. Jestem śmiertelnie zmęczona. Muszę się trochę przespać. Rano pozwolę ci na wszystko, na co będziesz miał ochotę. Ale na razie będziesz musiał wytrzymać — odwróciła się do niego plecami.

— I zgasz światło, dobrze?

Klnąc pod nosem pstryknął wyłącznikiem i nie rozbierając się, wyciągnął na sąsiednim łóżku. Miał ochotę wziąć ją nawet siłą, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ta krótka chwila rozkoszy nie będzie warta późniejszych konsekwencji. Za bardzo jej potrzebował, aby ryzykować.

Leżał w ciemnościach przez około piętnaście minut, gdy nagle usłyszał cichutkie stukanie do drzwi. Podniósł się niechętnie i zapalił światło.

— Kto tam, do diabła?

— To ja, Chris. Muszę z tobą porozmawiać.

Na odgłos otwieranych drzwi Rochelle przekręciła się twarzą w ich stronę.

— Co się stało? — zapytała sennie.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam — usprawiedliwiła się głośnym szeptem Chris. — Ale chodzi o Marka. Żle się czuje i tylko Alex może mu pomóc.

Rochelle zmarszczyła brwi.

— Alex ma pomóc Markowi? — zdumienie w jej głosie było zupełnie autentyczne. — Chyba jeszcze śpię.

Chris odwróciła się w stronę Alexa, który zamknął drzwi i opierając się o nie spoglądał na nią z dziwnym, zamyślonym wyrazem twarzy.

— Wiesz o czym mówię, Alex.

— A powinienem? — zapytał chłodno.

— Mark jest w bardzo złym stanie. Sądzi, że być może masz przy sobie trochę towaru. Swoją zgubił podczas zatonięcia jachtu.

Rochelle, już w pełni przebudzona podparła się na łokciu i spojrzała ze zdziwieniem na Chris.

— O czym ty mówisz, dziewczyno?

— Mark jest uzależniony od heroiny — odparła zrezygnowanym głosem Chris. — Jest tak już od paru miesięcy, dzięki obecnemu tutaj Alexowi. Zauważyłaś z pewnością, jak stan Marka zaczął się gwałtownie pogarszać od chwili katastrofy?

— Tak, ale sądziłam, że to pod wpływem szoku...

— Popłynęliśmy do Maroka nie tylko po marihuanę, Ro — kontynuowała ponuro Chris. — Alex przekonał Marka, aby zakupić tam większą partię heroiny. Oczywiście za pieniądze Marka. Paul i Linda nic o tym nie wiedzieli. Alex był pewny, że nigdy by się na coś takiego nie zgodzili. Ale sądziłam, że przynajmniej ty o tym wiesz.

— Czy to prawda? — zapytała Alexa zaskoczona Rochelle.

Stałym zwyczajem wzruszył swymi masywnymi ramionami.

— Tak. Nie powiedziałem ci, ponieważ nigdy nie potrafiłaś utrzymać gęby zamkniętej na kłódkę dłużej, niż przez dziesięć sekund. Ale miałem zamiar odpalić ci część zysków, Ro. Przysięgam...

— Ty cholerny idioto! Czy wiesz, co by się z nami stało, gdyby nas złapali? Wszyscy wiedzieliśmy o ryzyku związanym z marihuaną, ale...

— No więc zostało ci jeszcze trochę? — przerwała

niecierpliwie Chris. — Jeżeli Mark zaraz nie dostanie działki to nie wiem, co się z nim stanie. Boję się, że umrze... Nigdy nie był specjalnie wytrzymały. Może nie przetrzymać głodu bez pomocy medycznej... — jej głos załamał się nagle, a oczy napełniły łzami.

Alex poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

— Uspokój się, Chris. Zawsze mam przy sobie trochę, widzisz... — podciągnął koszulę ukazując szeroki pas z przymocowanymi doń paroma niewielkimi, plastikowymi woreczkami. — Towar wartości stu tysięcy funtów. Czysty i suchy.

Chris spojrzała na pas i westchnęła z ulgą.

— A więc dasz mu trochę? Powiedział, że zapłaci później...

— Jasne — ponownie wzruszył ramionami. — Z przyjemnością pomogę temu biedakowi. Masz igłę?

— Co? — zaskoczona, zamrugała powiekami. Nie oczekiwała, że to okaże się takie proste. Było zupełnie niepodobne do Alexa, że tak szybko zgodził się wyświadczyć komuś przysługę. I to w dodatku za darmo.

— Tak, Mark zabrał parę strzykawek jednorazowego użytku z laboratoriów. — Przerwała na chwilę, a potem powiedziała:

— I dziękuję ci, Alex. Naprawdę.

— Nie bądź taka zaskoczona — odparł. — Wiesz przecież, że zawsze możesz liczyć na starego Alexa. Chodźmy już — otworzył przed nią drzwi. Chris życzyła Rochelle dobrej nocy i wyszła na korytarz.

— Idź spać, kochanie — powiedział jeszcze Alex w kierunku Rochelle. — Gdy będę wracał, postaram się cię nie obudzić.

Zgasił światło i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Rochelle przez dłuższą chwilę leżała nieruchomo. Zdziwiła ją ta nagła gotowość Alexa do udzielenia Markowi pomocy, lecz w tej chwili była już zbyt zmęczona, aby zastanawiać się nad tym głębiej. Prze-

wróciła się na bok i już w następnej chwili pograżyła w głębokim śnie...

Zanim Chris zdążyła nacisnąć klamkę u drzwi do pokoju Marka, Alex złapał ją za rękę i gestem nakazał, aby szła za nim. Zaskoczona, posłusznie ruszyła korytarzem i weszła do pustego pokoju, znajdującego się cztery pomieszczenia dalej.

— Co się stało? — zapytała, gdy zamknął drzwi i odwrócił się do niej z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy. — Po co mnie tu przyprowadziłeś?

Alex nie mówiąc ani słowa, powoli przesunął po niej łakomym spojrzeniem. Czuła się, jakby rozbierał ją wzrokiem. Z nagłym obrzydzeniem domyśliła się, o co mu naprawdę chodzi.

— Ściągaj bluzkę — polecił zmienionym, chrapliwym głosem.

Zawahała się na chwilę. Wiedziała, że nie było innego sposobu, aby zdobyć heroinę dla Marka. Była tak naiwna przypuszczając, że Alex zgodzi się oddać jej trochę za darmo...

— Ładne piersi — powiedział, gdy zdjęła już bluzkę. — Nie duże, ale mogą być — jego uśmiech stał się jeszcze paskudniejszy. — A teraz wszystko pozostałe.

Gdy stała już przed nim kompletnie naga, zapytał:

— Dobra w tym jesteś?

— Nie — odpowiedziała szybko.

— A więc po tym będziesz, obiecuję — roześmiał się chrapliwie.

— Proszę cię, Alex...

— Klękaj. I lepiej pośpiesz się, zanim zmienię zamiar co do Marka.

Posłusznie upadła przed nim na kolana. Gdy rozsuwała zamek u spodni, w jakiś sposób udało się jej nie krzyczeć...

Paul i Linda leżeli razem na wspólnym łóżku, mrużąc coś do siebie cichutko i dotykając się czule. Paul, po raz pierwszy od paru dni, czuł się zupełnie zrelaksowany. Żadnych myśli. Pozostały jedynie emocje wynikające z pieśczoć tak dobrze mu już znanego ciała. Nagle Linda westchnęła i wyswobodziła się z jego objęć.

— Posłuchaj — szepnęła. — Słyszysz coś?

— Och nie, nie teraz — jęknął. Początkowo rozpraszały ich odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, a potem ciche kroki wzdłuż korytarza. Paul nie miał pojęcia, co oni tam robili. Ale wcale o to nie dbał.

— Brzmi to tak, jakby coś dużego ciągnięte było korytarzem — powiedziała Linda. — Jakby worek...

Paul westchnął i podniósł głowę, aby lepiej słyszeć. Miała rację. To rzeczywiście brzmiało, jakby na zewnątrz pokoju wleczono coś ciężkiego.

Odgłos zamarł tuż pod ich drzwiami i po chwili zastąpiony został dziwnym, piszczącym dźwiękiem. Zupełnie jakby jakieś małe zwierzątko drapało pazurkami o drzwi.

— Co to jest? — zapytała nerwowo wystraszona Linda.

— Prawdopodobnie Alex próbuje być zabawny — odparł Paul. Zsunął się z łóżka i cicho, na palcach, podszedł w kierunku drzwi. Nagle zadrżał. Przemknęło mu przez głowę, że to przecież wcale nie musi być Alex. Równie dobrze może to być jedno z zaginionych z laboratoriów zwierząt.

— Nie otwieraj drzwi! — krzyknęła Linda niskim, napiętym głosem.

— Nie obawiaj się, nie mam zamiaru — uspokoił ją Paul, przykładając ucho do drewna.

W tej samej chwili całe drzwi zatrzęsły się pod potężnym uderzeniem, które nieomal wysadziło je z futryny. Przerażony Paul odskoczył do tyłu.

Korytarzem wstrząsnęło przeraźliwe, nieludzkie wy-

cie, niepodobne do niczego, co Paul do tej pory słyszał.

Pod wpływem następnych gwałtownych uderzeń drzwi zaczęły pękać do wewnątrz...

5.

Paul, chociaż częściowo oszołomiony, zareagował natychmiast. Rzucił się szczupakiem po leżącą obok łóżka broń, odbezpieczył, odwrócił się i wycelował w stronę drzwi. W górnej ich części pojawiło się pięć równoległych pęknięć, które zaczęły się szybko powiększać. Przerazające wycie nie ustawało, nieomal zagłuszając wysoki, histeryczny krzyk Lindy.

Nacisnął spust. Broń ustawiona była na ogień ciągły, więc w ciągu paru sekund opróżnił cały magazynek. Kule przeszły przez drzwi jakby te wykonane były z papieru, a gniewny ryk zamienił się we wrzask bólu.

Drzwi przestały wreszcie drżeć. Paula dobiegł odgłos ciężkiego uderzenia o przeciwległą ścianę. Po chwili wrzaski bólu zaczęły cichnąć gdy zwierzę, lub cokolwiek to było, oddalało się w głąb korytarza.

Słyszał jeszcze, jak to coś wspina się po schodach prowadzących na wyższy poziom. Ścianami wstrząsnęło kilka odległych uderzeń, a potem zapadła cisza.

Paul spojrzął na Lindę. Skulona, z kolanami pod brodą, wcisnęła się w najodleglejszy kąt łóżka. Jej twarz była biała jak kreda. Paul nigdy nie widział kogoś tak przerażonego. Podejrzewał, że jego twarz musi prezentować się podobnie.

— Paul... — wyszeptała słabo.

Spróbował uśmiechnąć się uspokajająco. Wiedział jednak, że wypadło to mizernie.

— Już dobrze. To odeszło.

Odłożył bezużyteczny M-16 i zaczął wciągać spodnie.

— Ubierz się — polecił. — Musimy sprawdzić, co z pozostałymi. A potem musimy odszukać i dobić to zwierzę.

— Dobić...? — zapytała półprzytomnie. — Paul... co to było?

— Nie wiem. Może niedźwiedź — rzucił jej ubranie i sprawdził rewolwer, który przyniósł do kabiny razem z M-16. Podszedł do pogruchotanych drzwi i przez parę chwil uważnie nasłuchiwał. W końcu otworzył. Trzydziestka ósemka w jego dłoni wyglądała śmiesznie i Paul wiedział, że byłaby bezużyteczna przeciwko czemuś, co z taką siłą usiłowało się włamać.

Ale na zewnątrz nie było nikogo.

Westchnął z ulgą i wyszedł na korytarz.

— Korytarz jest pusty! — krzyknął. — Czy u was wszystko w porządku?

Jedne z drzwi uchyliły się ostrożnie i ukazała się w nich Rochelle. Trzymała w dłoniach M-16 Alexa. Wyglądała na kompletnie zszokowaną.

Następny wyszedł Mark, także sam, cały drżący i spocony. Wyglądał, jakby miał runąć na podłogę. Po chwili, ku zaskoczeniu Paula, otworzyły się drzwi kabiny leżącej parę pomieszczeń dalej i wyszli z niej Alex i Chris. Chris z pośpiechem poprawiała bluzkę. Twarz miała zaczerwienioną i mokrą od łez...

— Chryste! — szepnęła Rochelle. — Co to było? Co robiło tak piekielny hałas? Nigdy czegoś takiego nie słyszałam...

Paul potrząsnął bezradnie głową.

— Nie wiem. To musiało być jakieś zwierzę. Wdzieliście coś?

— Żartujesz? — zapytał Alex, zabierając z rąk Rochelle broń. Dziewczyna wydawała się rozstawać z nią bardzo niechętnie.

— Naprawdę sądzisz, że ktoś odważyłby się wyj-

rzeń na korytarz? To coś szalało jak rozwścieczony słoń.

— Paul, spójrz na te drzwi — powiedziała nagle Linda, wskazując na drzwi do ich kabiny. Drewno naznaczone było głębokimi, równoległymi szramami. Wyglądały, jak ślad po gigantycznych szponach.

— Kto właściwie strzelał? — zapytał Alex.

— Ja — odparł Paul. — Opróżniłem przez drzwi cały magazynek. Musiałem trafić co najmniej parę razy. Słyszeliście przecież te wrzaski bólu.

— Trafiłeś więcej, niż tylko parę razy — powiedział Alex, spoglądając na ścianę po drugiej stronie korytarza. — Zobacz sam. Tylko pięć dziur. A więc musiałeś w to władować piętnaście pocisków.

Paul wpatrywał się martwo w dziury po kulach. Wyglądem przypominały niewielkie kratery. Piętnaście podobnych dziur powinno być w tym czymś — a jednak uciekło. A więc co to było, do cholery?

Głośne uderzenie sprawiło, że wszyscy podskoczyli. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła i parę dalszych, stłumionych uderzeń czymś ciężkim o ścianę.

Bez słowa, z poszarzałymi twarzami, wpatrywali się w sufit.

— To jest na wyższym poziomie. Dokładnie nad nami — szepnęła ze zgrozą Chris.

Pierwszą myślą Paula była paniczna chęć natychmiastowego zabarykadowania się w jednej z kabin. Potrzebował całego wysiłku woli, aby zmusić rozdygotane nerwy do spokoju.

— No dobrze — powiedział wreszcie siłąc się na beztroski ton. — Ja i Alex pójdziemy za tym. Niech ktoś mi przyniesie naładowany karabin. Mark, razem z dziewczętami zamknij się w jednej z kabin i nie wychodź, dopóki ci nie powiem, że wszystko w porządku.

Alex posłał mu zdumione spojrzenie.

— O czym ty gadasz, człowieku? Jeżeli chcesz się

bawić w Wielkiego Białego Myśliwego, to proszę bardzo. Ja się nigdzie stąd nie ruszam. To coś i tak prawdopodobnie zdycha — nic nie przeżyje ognia M-16 z takiej odległości. Poczekajmy, aż padnie...

— Idę z tobą — powiedziała zdecydowanie Linda.

— Ja także — wtrąciła Rochelle. — Potrafię strzelać równie dobrze, jak ty, Paul. I prawdopodobnie lepiej, niż on — wskazała kciukiem na Alexa.

Z góry dobiegł ponowny łoskot silnego uderzenia.

— No cóż, nie powstrzymam nikogo na siłę — powiedział ponuro Paul. — Chodźmy więc. Cokolwiek to jest, tam na górze, z pewnością wyjaśni nam cały ten bałagan.

Ostatecznie poszli wszyscy. Z Paulem jako czujką, cicho i ostrożnie wspięli się na wyższy poziom. W oddali od czasu do czasu wciąż słyszeli donośne uderzenia. Mając w sobie piętnaście kul czy też nie, stwór nie wydawał się wcale słabszy. I był jeszcze problem krwi...

Rochelle pierwsza zwróciła na ten fakt uwagę. Idąc w górę schodów, powiedziała nagle:

— Słuchajcie, zauważyłam dziwną rzecz. Nigdzie nie ma żadnych śladów krwi. Ani tutaj, ani na podłodze korytarza.

— Tak, Ro ma rację — poparł ją Alex.

— Być może Paul wcale tego nie trafił — rzuciła nerwowo Chris.

— Nawet o tym nie myśl — powiedziała wrzeszcząc ramionami Linda.

— Jeżeli chybiłem, gdzie jest tych piętnaście pocisków? — zapytał Paul.

U szczytu schodów zatrzymali się na chwilę. Odgłosy uderzeń zamarły. Przed nimi rozciągał się długi, jasno oświetlony korytarz. Żadnego śladu zwierzęcia, dużego czy małego. Żadnego śladu czegokolwiek.

Nagle wszyscy podskoczyli gdy coś ciężkiego, naj-

prawdopodobniej półka, przewróciło się z hukiem na podłogę. Odgłos ten dobiegł ich z pomieszczenia, leżącego jakieś dwieście jardów dalej.

Paul upewnił się, że jego karabin jest odbezpieczony i gotowy do strzału. Dostrzegł, że grzbiety dłoni pokryte miał potem. Ścisnął broń mocniej.

— Idziemy — szepnął.

Gdy krok za krokiem zbliżali się w stronę drzwi Paul podświadomie oczekiwał, że te otworzą się w każdej chwili i pojawi się w nich to coś. Nie opuszczało go wspomnienie głębokich śladów po szponach...

Ale drzwi pozostały zamknięte. Bez słowa nakazał Alexowi, aby ten zajął pozycję po przeciwnej stronie. Alex niechętnie zastosował się do tego polecenia. Twarz miał napiętą i bladą. Paul nigdy go jeszcze takim nie widział.

Gdy wszyscy przygotowali broń, Paul westchnął głęboko i sięgnął powoli w stronę klamki, modląc się jednocześnie w duchu, by drzwi pozostały zamknięte. W tej chwili dałby za to wszystko...

Jego modlitwy zostały wysłuchane, ale nie w sposób, jakiego oczekiwał.

Gdy palce Paula dotykały już okrągłej, lśniącej gałki, drzwi otworzyły się nagle od wewnątrz.

Paul nieomal nacisnął spust M-16. Zdumiony wpatrywał się w stojącą na progu postać, z całej siły powstrzymując narastającą w nim chęć parsknięcia głośnym, nerwowym śmiechem.

Mężczyzna był mały, okrągły i łysy. W białym fartuchu i okularach wyglądał jak zwariowany naukowiec z Muppet Show. Wpatrywał się w nich z wyrazem uprzejmego wyczekiwania, zupełnie jakby nagłe spotkanie oko w oko z sześcioma uzbrojonymi osobami było na porządku dziennym.

— Halo — powiedział wreszcie cienkim, piskliwym głosem. — Właśnie wychodziłem, aby się z wami zoba-

czyć. Przepraszam, że nie byłem w stanie zrobić tego wcześniej, ale byłem nieprawdopodobnie zajęty — posłał im słaby uśmiech.

Paul spróbował zajrzeć przez jego ramię do wnętrza pomieszczenia. Było to jakiegoś rodzaju laboratorium. Zaśmieczone porozbijanym sprzętem, ale oprócz tego puste. Gdzie się podziało to zwierzę?

— Kim pan jest, do diabła? — zapytał oschle Paul.
— I gdzie jest ta rzecz, która narobiła tutaj takiego hałasu?

— Moje nazwisko? — zapytał marszcząc czoło. Po chwili jego twarz rozjaśniła się.

— Jestem dr. Shelley. Dr. Gordon Shelley — fakt, że pamięta własne nazwisko wydawał się sprawiać mu wyraźne zadowolenie. — A jeśli chodzi o tę r z e c z , to sądzę, że chodzi panu o Charliego. Ale proszę się tym nie martwić, mamy go już pod pełną kontrolą. Dzisiejszego wieczoru nie będzie państwa niepokoił, mogę to obiecać.

— Ale kto to jest ten Charlie, do jasnej cholery! — warknął Alex podnosząc się z kłęczek po drugiej stronie drzwi.

— Charlie? No cóż, w tej chwili jest to raczej dość trudne do wyjaśnienia. Proponuję, abyście wrócili teraz do swoich kabin i spróbowali zasnąć. Porozmawiam z wami rano... Tak, rano... — ponownie zmarszczył czoło. — Powiedzcie mi, proszę, jaki jest dzisiaj dzień tygodnia?

— Wydaje mi się, że środa — odparł Paul, spoglądając w zdumieniu na Lindę. Odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

— A miesiąc? — zapytał z niepokojem Shelley.

— Czerwiec, oczywiście — odpowiedział wzruszając ramionami Paul.

— Wciąż czerwiec — Shelley sprawiał wrażenie zaskoczonego. — A więc to już tak długo, od czasu... —

zamilkł, rozmyślając nad czymś z ponurym wyrazem twarzy. Nagle uśmiechnął się i powiedział:

— Wybaczcie mi, proszę. Ostatnio zupełnie nie jestem sobą. Tak, rzeczywiście nie jestem sobą... — roześmiał się niespodziewanie. — To zadziwiające, że na przekór wszystkiemu wciąż zachować można poczucie humoru. A przynajmniej wydaje mi się, że to wciąż moje poczucie humoru... — ponownie przerwał i spojrzał zaskoczony, jakby dostrzegając ich po raz pierwszy.

— Musimy wydostać was z tej platformy. I to jak najprędzej. Dla waszego własnego bezpieczeństwa.

Alex postąpił krok do przodu i złapał Shelley'a za kłapy fartucha.

— Posłuchaj no, profesorku. Niech pan da spokój z tym głównem i wreszcie powie, co tu się naprawdę wyrabia. I gdzie jest ten pieprzony zwierzak, który narobił takiego bigosu?

Shelley beznamiętnie schwycił Alexa za nadgarstki i bez większego wysiłku uwolnił się z jego uchwytu.

— To zwierzę jest tam, gdzie już nie będzie mogło was niepokoić, przyrzekam. A teraz proszę powrócić do swoich kabin. Wyjaśnię wszystko jutro. Dobranoc.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, zniknął w laboratorium zamykając za sobą drzwi. Alex uderzył w nie wściekle pięścią.

— Jeszcze nie skończyliśmy, profesorze! Niech pan otworzy te pieprzone drzwi!

— Odpowiedziała mu cisza.

— I co teraz? — mruknął pod adresem Paula.

Paul spojrzał w zamyśleniu na drzwi.

— Najlepiej zróbmy, co powiedział — zaproponował.

— Ale skąd możemy być pewni, że to zwierzę rzeczywiście nie wróci? — zaproponował Chris.

— Nie mamy wyjścia. Musimy mu zaufać. Do ra-

na i tak nic nie możemy zrobić. Ale proponuję wystawić strażę.

— Ja nie ufam temu profesorkowi za grosz — powiedział Alex. — To kompletny świr. Co to za naukowiec który nie wie, jaki jest dzisiaj dzień tygodnia?

— Było w nim coś bardzo dziwnego — wtrąciła grobowym tonem Chris. — Czuliście? Wibracje były bardzo wyraźne. Jeszcze nigdy nie czułam tak silnych.

— Pieprzyć twoje wibracje! — warknął Alex. — Powiem wam jedno o tym gościu. Jest cholernie silny — odruchowo pomasował nadgarstki. — O mało nie złamał mi ręki.

Następnego ranka dr. Shelley zniknął. Wejście do laboratorium było otwarte, ale ani śladu ich wczorajszego rozmówcy. Przez parę minut błakali się po korytarzach nawołując głośno, lecz w końcu zeszli niżej i zasiedli do śniadania.

Tej nocy nikt nie spał dobrze. Wszyscy wyglądali na zmęczonych, lecz Paul z ulgą dostrzegł, że Mark wykazuje pewne symptomy poprawy. Przestał drzeć a jego twarz straciła ten nieprzyjemny, ziemisty wygląd.

— A więc kto ma jakiś pomysł? — zapytała Rochelle, gdy skończyli już posiłek.

— Musimy odnaleźć tego Shelley'a — powiedział Paul.

— Nie ufam mu — powtórzył uparcie Alex. — Z nim jest coś nie tak.

— Ale nie kłamał mówiąc o tym zwierzęciu, tym „Charlie” — wtrąciła Linda. — Rzeczywiście nie pojawiło się w nocy.

— Ale wciąż nie wiemy, co to naprawdę jest — powiedział Paul. — To musi być jakieś zwierzę doświadczalne, tylko jakiego rodzaju? A ten dźwięk, jaki wydawał — nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego, a jako dzieciak mieszkałem niedaleko zoo.

— Być może to n o w y rodzaj zwierzęcia — powiedziała w zamyśleniu Chris.

Wszystkie spojrzenia powędrowały w jej kierunku.

— Co masz na myśli? — zapytała Linda.

— To miejsce jest tajnym laboratorium, prawda? A więc myślę, że przeprowadzali tutaj tajne eksperymenty genetyczne. A to zwierzę, które usiłowało się wczoraj włamać do waszej kabiny było właśnie płodem jednego z tych eksperymentów.

— A więc uważasz, że to zmutowany szczur lub gigantyczna świnka morska? Daj spokój, Chris, to szaleństwo. Naczytałaś się zbyt wiele science-fiction — powiedział sceptycznie Mark.

— Być może Chris ma jednak trochę racji — powiedział ostrożnie Paul. — Sądzę, że tutaj rzeczywiście przeprowadzane były jakieś eksperymenty genetyczne. I to takie o których nie chcieli, aby ktokolwiek się dowiedział. I cokolwiek stworzyli, wymknęło im się to spod kontroli.

— Ale co? — zapytał Mark. — Co oni próbowali tu stworzyć?

— Na to pytanie odpowiedzieć może jedynie dr. Shelley.

— Myślę, że powinniśmy się stąd jak najszybciej wynosić — zauważyła Linda. — Dajmy sobie spokój z tym doktorem i uciekajmy stąd — w jej głosie brzmiała desperacja. Paul uspokajająco poklepał ją po dłoni.

— A jak masz zamiar tego dokonać? — rzucił Alex z wyraźnym sarkazmem w głosie. — Stąd do Szkocji to nielichy maraton pływakcki.

— Są tu łodzie ratunkowe — powiedziała Linda, spoglądając na niego z pogardą. — Zauważyłam je, gdy tylko tu przybyliśmy.

— Ale to zaprowadzi nas z powrotem do punktu wyjścia — zaprotestowała Rochelle. — Nie uśmiecha

mi się ponowna podróż łodzią. Tutaj jest przynajmniej sucho i ciepło, mamy żywność i wodę. I toalety.

— Te łodzie są większe, niż nasza. Są zakryte i prawdopodobnie wyposażone w silniki. Możemy przecież zabrać zapasy żywności — odwróciła się w stronę Paula. — Co o tym myślisz?

— Z pewnością warto to rozważyć — powiedział w zamyśleniu. — Jeżeli nie znajdziemy Shelley'a do południa, to być może będzie to najrozsądniejszym wyjściem. Nie chciałbym spędzać kolejnej nocy na tej platformie. Ten „Charlie” może ponownie wpaść w szarą.

— A czy wiesz, jak obsługiwać taką łódź? — zapytała z powątpiewaniem Chris.

— Nie — przyznał. Ale zaraz pójdę i sprawdzę. Właśnie przyszło mi do głowy, że być może wyposażone są w radia awaryjne. Może uda nam się wysłać wiadomość. Czy ktoś chce iść razem ze mną?

— Ja — powiedział podnosząc się Mark. — Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

— Dwa koguty idą się zabawić — wtrącił Alex. — Ja zostanę i będę ochraniał kobiety.

— Jasne. A kto nas ochroni przed tobą? — zapytała Linda.

Jedynie pozornie zabrzmiało to jak żart.

Alex przybrał zbolałą minę.

— Zawsze byłem przez wszystkich źle rozumiany. To cała historia mojego życia.

— Lepiej uważaj, aby ta historia nie dobiegła do rychłego końca — wtrąciła zimno Chris.

— Mocno powiedziane, dziewczyno. Ale nie powinnaś mówić w ten sposób do faceta, który wyświadczył ci przysługę. W końcu coś mi zawdzięczasz, skarbie.

— Zawdzięczam? Jak diabli... — jej twarz poczer-

wieniała z wściekłości. — Zapłacisz mi za to, ty dra-
niu...

— Och, przestańcie już wreszcie! — wykrzyknął
Mark i ruszył w stronę drzwi. Zaskoczony Paul ruszył
pośpiesznie za nim. Dopiero na korytarzu domyślił się,
że ten nagły wybuch spowodowany został widokiem
Alexa i Chris, wychodzących wczoraj wieczorem ze
wspólnej kabiny. Jednak nie miał teraz czasu, aby się
tym martwić.

Gdy wyszli na pomost stwierdzili, że pogoda od
wczorajszego dnia pogorszyła się znacznie. Z niepokojem
patrzyli na szare, rozkołtysane morze smagane sil-
nymi podmuchami wiatru.

— Nie chciałybym znaleźć się na morzu w taką
pogodę — zauważył Mark.

— Ja także — powiedział zatroskany Paul. — Mo-
że do jutra pogoda się poprawi.

Lecz gdy doszli do pierwszej łodzi stwierdzili, że
ewentualna poprawa pogody nie będzie już miała żad-
nego znaczenia. Kadłub łodzi został doszczętnie
strzaskany.

W paru miejscach platformy wisiało jeszcze pięć
podobnych łodzi lecz wszystkie, tak jak przypuszczali,
zostały zniszczone.

— Jesteśmy w pułapce — powiedział Mark gdy
sprawdzili szóstą, i ostatnią, łódź.

Paul podniósł pozostałości zniszczonego radia.

— Masz rację — westchnął. — Komuś na tej plat-
formie tak bardzo podoba się nasze towarzystwo, że
nie chce, abyśmy go opuszczali — wrzucił resztki radia
z powrotem do łodzi. — Ale musimy się stąd jakoś
wydostać.

Mark pokręcił ze smutkiem głową.

— Nie wydaje mi się. Nie wydaje mi się, abyśmy
uszliz z tej platformy z życiem.

Zadecydowali, że na razie nie powiedzą pozostałym o tym odkryciu — złe wiadomości poczekać mogą na później. Zamiast tego postanowili odszukać Shelley'a na drugim poziomie. Jednak godzinne poszukiwania zakończyły się fiaskiem. W końcu Paul zasugerował aby ponownie sprawdzili pokój kontrolny, który poprzedniej nocy przeszukali jedynie pobieżnie.

Gdy znaleźli się już wewnątrz przestronnego pomieszczenia, Paul zasiadł za pulpitem kontrolnym obserwując monitory w nadziei, że kogoś wreszcie zobaczy. Lecz ekrany ukazywały jedynie puste korytarze i laboratoria.

W końcu na jednym z ekranów pojawiła się pozostała czwórka. Opuścili już kuchnię i siedzieli teraz w jednym z pomieszczeń rekreacyjnych. Dziewczeta grały w karty, podczas gdy Alex siedział przed telewizorem, obłożony stertą kaset video.

— Obserwowanie kogoś bez jego wiedzy daje dziwne poczucie władzy, prawda? — zauważył Mark.

— Chyba tak — odparł Paul, nie odrywając wzroku od ekranów. — Chciałbym, aby był tu jakiś przycisk, za pomocą którego moglibyśmy pozbyć się z tego pokoju Alexa.

— Nienawidzisz tego faceta, prawda?

— Jasne. A ty nie?

— Gdyby istniała Światowa Księga Sukinsynów, to on byłby tam Numerem Pierwszym. Czasami żałuję, że go spotkaliśmy.

— Tak, to był błąd — zgodził się z nim Paul. — Jedyne Linda poznała się na nim od razu. Ostrzegała mnie nawet przed nim.

— On ma na nią ochotę. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę? — zapytał spokojnie Mark.

Paul skinął głową.

— Tak. I zabiję go, jeżeli tylko ją dotknie.
— Chciałbym mieć twoje nerwy. Ale jestem za słaby. Zawsze byłem do niczego, ale teraz czuję się słabszy, niż kiedykolwiek.

Paul spojrzął na niego ze zdumieniem.

— Daj spokój, Mark. Nie bądź dla siebie taki surowy. Wcale nie jesteś taki słaby.

— Jestem — roześmiał się gorzko. — A ty nic o tym nie wiesz.

Nagle jego twarz wykrzywił bolesny grymas. Aby nie upaść, uchwycił się kurczowo konsoli.

— Co się stało? Wszystko w porządku? — zapytał zaniepokojony Paul.

— Tak — odparł słabo Mark. — To tylko dreszcze. Zaraz przejdą.

— Gdy wrócimy do domu, powinieneś natychmiast pójść do lekarza. Wydaje mi się, że jednak coś ci dolega.

Mark roześmiał się ponownie.

— Nie martw się o mnie. Wiem, co mi jest i potrafię to zwalczyć. Ale nie prosz mnie o żadne wyjaśnienia. I tak nic nie mógłbyś na to poradzić.

— Dobrze — powiedział niechętnie Paul. — Przy najmniej wyglądasz lepiej, niż wczoraj.

— Tak, czuję się już lepiej. I przestałem widywać różne rzeczy. Przez chwilę myślałem, że zaczynam wariować.

— Co masz na myśli? — zapytał Paul spoglądając na niego uważnie.

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci co znalazłem w tych kombinezonach w kabinie dźwigu? Tę czarną maź?

— Tak.

— Nie dokończyłem ci wtedy. To się poruszało, Paul. Wyciekło z jednego z rękawów, przelazło przez

podłogę kabiny i wspięło się po ścianie w stronę wentylatora. Wyglądało to jak śliska, płynna glista...

Paul wpatrywał się w niego w osłupieniu.

— Żartujesz?

— Nie, Paul, przysięgam. Widziałem to. Albo wtedy wydawało mi się, że widzę. Ale oczywiście musiała to być halucynacja. Teraz jestem tego pewny, ale wtedy to mną rzeczywiście wstrząsnęło.

— Tak... — odparł Paul przypominając sobie wygląd jego twarzy, gdy zszedł z dźwigu. — Ale z jakiego powodu miałbyś mieć halucynacje? Czy tego także możesz mi powiedzieć?

— Właśnie — skinął głową Mark.

— Jak uważasz — wzruszył ramionami Paul i powrócił do monitorów. Dziewczęta wciąż grały w karty, a Alex z uwagą wpatrywał się w ekran telewizora. Najwidoczniej znalazł jakąś pornografię, pomyślał gorzko Paul.

Przypomniało mu to półki z kasetami video, które zauważył wczoraj. Wstał i przyjrzał się im ponownie.

— Moglibyśmy przejrzeć te kasety — rzucił pod adresem Marka. — Mam tylko nadzieję, że zawarte w nich informacje nie są zakodowane.

— Weź po jednej z każdej półki — zasugerował Mark. — Może będziemy mieli szczęście.

Paul wyjął ogółem dziewięć kaset. Jedną z nich włożył do odtwarzacza wbudowanego w konsolę kontrolną. Pstryknął na próbę paroma przełącznikami i nagle jeden z ekranów zgasł, a po chwili pojawiły się na nim słowa: „Projekt Feniks — Symbol Kodowy: 22/AX/G898/2”. W chwilę później pojawiło się kilka symboli, których Paul nie potrafił zrozumieć. Jednak parę słów takich jak: „rekombinat DNA” czy „nukleotydy” przekonały go, że platforma wiertnicza istotnie była zakamuflowanym laboratorium.

— A więc to prawda, że przeprowadzali tutaj eksperymenty genetyczne — zauważył Mark.

— Tak, ale wciąż nie wiemy, jakiego rodzaju eksperymenty. Być może próbowali jedynie na pożywczej ropopochodnej wychodować jakiś nowy typ bakterii. W końcu cała ta platforma należy do kampanii nalfowej.

— A więc po co zadawaliby sobie trud tak głębokiej konspiracji, jeżeli przeprowadzane tu prace byłyby rzeczywiście niewinne?

— Być może nie chcieli, aby dowiedziała się o nich konkurencja — wyraził przypuszczenie Paul. — Może obawiali się szpiegostwa przemysłowego, albo czegoś w tym stylu. Sądzę, że w grę wchodziły naprawdę duże pieniądze. Być może chcieli opatentować te bakterie tak samo, jak patentuje się wynalazki. To właśnie może wyjaśniać obecność tak wielu uzbrojonych strażników...

— Może — powiedział powątpiewająco Mark, wpatrując się w ekran. Nagle wskazał na coś palcem. — Spójrz. Ponownie to słowo: „Feniks”. To chyba nazwa kodowa tego, co tutaj robili...

— Feniks. Mityczny ognisty ptak, który odradza się z własnych popiołów — uśmiechnął się Paul. — A może pracowali nad nową rasą drobiu? No wiesz, kury, które składają kwadratowe jajka. Albo kurczaki, polane od razu gorącym masłem i zapakowane w kartonowe pudełka...

— Bardzo zabawne — mruknął Mark. Paul nacisnął przycisk szybkiego przewijania i przesunął taśmę do końca. Po chwili spróbował z następną. Jednak na ekranie ponownie pojawiły się typowo techniczne dane, zupełnie dla nich niezrozumiałe.

Dopiero piąta kasetka okazała się inna.

— Popatrz, to przecież Shelley! — wykrzyknął z podnieceniem Mark.

Istotnie, z ekranu monitora rzeczywiście spoglądał na nich Shelley. Mówił coś właśnie wprost do kamery.

— Zrób głośniej — ponaglił Mark. — Ciekawe, o czym mówi.

Paul znalazł odpowiedni potencjometr i po chwili głos Shelley'a wypełnił pokój:

— „...i muszę przyznać, że mój początkowy optymizm związany z całkowitą kontrolą nad sytuacją, okazał się przedwczesny. Dalszy rozwój wypadków w pełni usprawiedliwia obawy dr. Soames, Jamesona i Engelfielda co do naszych możliwości całkowitego opanowania „Charliego”. A może raczej należałoby powiedzieć: „Feniksa”? — potrząsnął w zamyśleniu głową. — „W pewnym sensie jednostka Feniks jest już poza wszystkimi...”

Przerwał i skrzywił się, jakby pod wpływem nagłego bólu. Zamknął oczy i nerwowym ruchem potarł kostki obu dłoni. W końcu westchnął i kontynuował dalej:

— „Jestem taki zmęczony. Pozostali także. Nikt z nas nie odważył się spać przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. T o może poruszać się tak szybko... Od tego pierwszego, feralnego poranka straciliśmy już jedenastu ludzi. Darkins oczywiście wciąż żąda, abyśmy wezwali pomoc. Lecz ja w tej kwestii zdecydowanie zgadzam się z pozostałymi — to musi pozostać odizolowane za wszelką cenę. Nie możemy ryzykować, że wydostanie się na zewnątrz. Nie chcę nawet myśleć co się stanie, gdy to pokona już wszystkich...”

Jednak, jak na razie wszystkie użyte przez nas środki zawiodły. Dzięki nam stało się odporne na wszystko — ogień, broń palna, elektryczność, trucizna, kwas — nie robią już na tym żadnego wrażenia. Udało nam się zbyt dobrze. Stworzyliśmy organizm o nieograniczonych, możliwościach adaptacyjnych. Lecz teraz to, co miało być dobrodziejstwem dla całej ludz-

kości, stało się przerażającą groźbą. Jest to najprawdopodobniej największy horror, jaki grozi dosłownie wszystkim. Musimy to przezwyciężyć."

Ekran zgasł.

Paul i Mark spojrzeli na siebie ze zgrozą.

— I co powiesz na to? — zapytał Mark.

— Sądzę — powiedział powoli Paul. — Ze możemy zapomnieć o bakteriach. Cokolwiek udało im się stworzyć, należy do zupełnie innej ligi — uderzył pięścią w szczyt konsoli. — Gdyby chociaż powiedział, co to właściwie jest!

— Przesuń trochę dalej. Tam może być coś jeszcze.

I było. Po paru sekundach Shelley ponownie pojawił się na ekranie. Wyglądał, jakby od czasu ostatniego nagrania postarzał się o całe lata. Twarz była zszarzała i ściągnięta, a pod oczami wyraźnie widniały duże, ciemne sińce. Wyglądał zupełnie inaczej niż mężczyzna, którego spotkali wczoraj w laboratorium. Zdziwiło to Paula, który zaczął się zastanawiać, ile czasu upłynęło od omawianych przez Shelley'a wydarzeń.

Tym razem głos doktora był wyraźnie słabszy:

— „Być może jest to już ostatnia okazja, kiedy mogę skorzystać z magnetowidu. Zostało nas już zaledwie paru. Dr. Soames, Durkins, paru strażników i jest już jedynie kwestią czasu, aby to osiągnęło kompletne zwycięstwo. Durkins miał jednak rację. Powinniśmy byli wysłać ostrzeżenie. Lecz teraz jest już za późno — nadajnik został zniszczony. To staje się coraz bardziej inteligentne, ale w końcu nie należy się temu dziwić, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności...” — urwał gwałtownie i spojrzął z przestachem w stronę drzwi. Najwidoczniej coś usłyszał. Gdy odwracał się, dostrzegli błysk trzymanego przez niego pistoletu.

Po chwili odprężył się wyraźnie i ponownie spojrzął w stronę kamery:

— „Jestem zdecydowany nie dopuścić, aby to wzięło mnie żywcem. Jeśli będzie trzeba, użyję tego — zademonstrował przed kamerą trzymany w dłoni pistolet — ale obawiam się, że nawet śmierć może nie być wystarczającą ochroną przed... przed...” — urwał ponownie i załkał. Na moment żelazna obręcz samokontroli rozluźniła się i zobaczyli przed sobą bladego, przerażonego na śmierć człowieka. Patrząc na jego twarz Paul wzdrygnął się. Czym było to, co potrafiło przerażać w aż tak potworny sposób.

W końcu Shelley z widocznym wysiłkiem wziął się w garść.

— „Mam jedynie nadzieję” — kontynuował. — „Że ktoś znajdzie te taśmy, zanim nie będzie za późno. Muszę je ukryć. I muszę je ukryć tak by nie odnalazło ich to, lecz jedynie ktoś, kto tu przybędzie. Ale gdzie?”

Spoza ekranu dobiegł jakiś dźwięk i Shelley odwrócił się ponownie. Najwidoczniej otwierały się drzwi. Dostrzegli, jak podnosi bron a potem mówi:

— „Och, to tylko ty, Bogu dzięki... przez moment myślałem...”

Obraz na ekranie zgasł.

Taśma pozostała już pusta, chociaż Paul przewinął ją do samego końca.

— Myślisz, że mamy jakąś szansę na zreperowanie którejkolwiek z tych łodzi? — zapytał spokojnie Mark.

— Nie wpadaj w panikę. Widzieliśmy Shelley'a wczoraj, a więc najwidoczniej przeżył. I z pewnością jest w lepszej formie, niż widzieliśmy go na kasecie. Cokolwiek to było, lub jest, musiało jednak zostać opanowane przez tych naukowców.

— Chcesz się założyć? — odparł kwaśno Mark. — A co to było za gadanie, że śmierć nie jest ochroną? Ochroną przed, czym?

Paul gestem wskazał w stronę sterty kaset.

— Odpowiedź musi być gdzieś na tych taśmach. Musimy poszukać.

— Spójrz tutaj! — wykrzyknął nagle Mark, wpatrując się z napięciem w jeden z monitorów.

Paul odwrócił się i dostrzegł idącą korytarzem kobietę, która odwrócona była do kamery plecami. Spojrzał na monitor ukazujący wnętrze pomieszczenia rekreacyjnego, ale wszystkie dziewczęta w dalszym ciągu siedziały przy stoliku, grając w karty. Czując przyspieszone bicie pulsu pomyślał, że oprócz Shelley'a na platformie musi znajdować się ktoś jeszcze.

— Na którym poziomie znajduje się ta kamera? — zapytał.

— Nie wiem — Mark bezradnie rozłożył ręce. — Te wszystkie korytarze wydają mi się takie same.

Idąc szybkim, zdecydowanym krokiem kobieta zniknęła właśnie za zakrętem korytarza. Paul zaklął pod nosem i zaczął gorączkowo naciskać przyciski na pulpicie mając nadzieję, że jej obraz pojawi się wreszcie na jakimś monitorze. Po chwili rzeczywiście mu się udało, ale kobieta w dalszym ciągu odwrócona była do nich plecami i w dodatku oddalała się szybko. Tym razem zauważył jednak napis „Poziom Drugi” umieszczony na jednej ze ścian.

— Ona jest na poziomie drugim! — wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. — Muszę ją odnaleźć. Spróbuj utrzymać ją bez przerwy na monitorach!

Wybiegł z pokoju. Mark otwierał już usta aby wołać go z powrotem, lecz nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, co ma mu właściwie powiedzieć. Wiedział jedynie, że boi się pozostać w tym pokoju sam...

Usiadł za pulpitem kontrolnym. Wszystkie monitory były puste, zaczął więc naciskać kolejne przyciski. W końcu kobieta pojawiła się ponownie. Tym razem szła w stronę kamery. Ubrana była w białe fartuch la-

boratoryjny. Nosiła krótkie, jasne włosy, nie mógł jednak dostrzec jej twarzy.

Mark zmarszczył brwi, wpatrując się z uwagą w ekran. Chociaż kobieta zbliżała się, jej twarz wciąż pozostawała niewidoczna. Jakby trochę rozmyta. Czyżby było coś nie w porządku z tą kamerą? Na przykład odrobina smaru na obiektywie?

Kobieta wciąż zbliżała się w stronę kamery. W końcu znalazła się bezpośrednio pod nią...

Mark krzyknął.

Kobieta, przechodząc tuż pod kamerą, odruchowo spojrzała w górę. Prosto na Marka...

Kobieta nie miała twarzy.

Miała za to oczy. Okrągłe, wybałuszone oczy ryby. Oczy prosto z nocnego koszmaru. I to wszystko. Reszta jej twarzy była gładka i pusta.

Paul dostrzegł ją, gdy zniknęła za zakrętem korytarza. Krzyknął coś i zaczął iść szybciej. Gdy skręcił za nią zorientował się, że ubrana na białą postać znajduje się dziesięć jardów przed nim. Krzyknął ponownie, ale kobieta wydawała się go nie słyszeć. Szła dalej wciąż tym samym, szybkim krokiem.

Paul dogonił ją, gdy zamierzała skręcić w kolejny zakręt.

— Chwileczkę, chciałem z panią porozmawiać — powiedział, chwytając kobietę za ramię.

Gdy odwróciła się, jęknął.

7.

Mark wzdrygnął się nerwowo. Ktoś potrząsał go brutalnie za ramię. Niechętnie otworzył oczy. Gdzie się właściwie znajdował? Ach tak, leżał na podłodze w pokoju kontrolnym. Ale dlaczego? Co się właściwie stało?

Zdołał skupić z wysiłkiem wzrok i dostrzegł pochyl-

łającego się nad nim Paula. Ale za nim stał ktoś jeszcze. Kobieta w białym fartuchu. Miała krótkie, jasne włosy...

Nagle przypomniał sobie wszystko i krzyknął ponownie. Chaotycznymi ruchami próbował odczołgać się na bok. Za wszelką cenę musiał od niej uciec — od Kobiety Bez Twarzy. Od Kobiety Z Okrągłymi Oczami...

Poczuł mocne uderzenie w twarz. Przestał wreszcie krzyżeć i znieruchomiał bezwładnie na podłodze. Wpatrywał się z osłupieniem na kobietę, którą widział wreszcie wyraźnie. Miała atrakcyjne, zielone oczy, prosty nos i szerokie, zmysłowe wargi...

— Co się stało, Mark? — dopytywał się zaniepokojony Paul.

Mark nie odpowiedział. Po prostu gapił się bez słowa na kobietę, która spoglądała na niego z troską w oczach.

— To szok — powiedziała wreszcie. — Spotkałam się już z czymś takim. Musimy okryć go czymś ciepłym.

— Kto to jest...? — wychrypiał wreszcie Mark.

— To doktor Carol Soames. To ją właśnie widzieliśmy na ekranie monitora. Ona chce nam pomóc, Mark. Ale co z tobą? Co się stało?

Oszołomiony Mark wolno pokręcił głową.

— Widziałem... widziałem coś. Ale to musiała być kolejna halucynacja. Już wszystko w porządku. Pomóż mi wstać, dobrze?

Gdy Paul podniósł go już na nogi, zapytał:

— I co widziałeś tym razem? Jeszcze więcej czarnej mazi?

— Nie. Ja... ja nie potrafię tego opisać. Nawet nie pytaj — spojrzął na kobietę i wzdrygnął się.

— Musiało to być coś rzeczywiście koszmarnego, skoro zastałem cię w takim stanie — powiedział Paul

i odwrócił się w stronę kobiety. — Powiedziała pani, że wyjaśni nam wszystko, jeżeli tylko pomożemy się pani stąd wydostać. W imieniu całej naszej grupy mogę panią zapewnić, że z przyjemnością powitamy panią w naszym niewielkim gronie. A teraz proszę o wyjaśnienie, co tu się do diabła dzieje.

Posłała nerwowe spojrzenie w kierunku drzwi, westchnęła ciężko i usiadła wreszcie na jednym z trzech obrotowych foteli.

— Nie mamy dużo czasu, a więc spróbuję się streścić. Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej. Charlie jest chwilowo pod kontrolą, ale nie wiem, na jak długo...

— Kto to jest Charlie? — przerwał jej Paul.

— Charlie to przezwisko, które... Ale zacznę lepiej od samego początku. Czy słyszeliście o Lloyd'zie J. Brinkstone?

— Nie — zmarszczył czoło Paul. — Ale wiemy, że ta platforma należy do Kompanii Brinkstone'a.

— Kompania Brinkstone'a to właśnie Lloyd J. Brinkstone. Jest nieprawdopodobnie bogaty — to prawdziwy bilioner. Parę lat temu osiągnął wiek, w którym stwierdził, że część pieniędzy przeznaczyć należy na cele, służące całej ludzkości. Właściwie, to postanowił ocalić ludzkość. Jako urodzony Teksańczyk, myślał takimi właśnie kategoriami — uśmiechnęła się i Mark pomyślał, że jego pierwsze wrażenie nie było mylne. Rzeczywiście była bardzo piękna. Lecz nagle przypomniał sobie to, co widział na ekranie i poczuł, że żołądek ponownie odmawia mu posłuszeństwa. To było tak przerażająco prawdziwe...

— Przez parę ostatnich lat prawdziwą obsesją pana Brinkstone'a stała się myśl, że cała ludzkość może zginąć w wyniku nuklearnej zagłady — kontynuowała. — Zebrał więc grupę mikrobiologów — byłam jednym z nich — i polecił nam, abyśmy przy pomocy inżynierii

genetycznej spróbowali stworzyć coś, co ochroni organizm ludzki przed skutkami promieniowania radioaktywnego. Pieniądze nie grały roli. Mieliśmy natychmiast wszystko, czego zażądaliśmy: sprzęt, laboratoria i tak dalej. Rezultatem było to właśnie miejsce... — wskazała gestem dookoła. — Miliony dolarów kosztowało przekształcenie starej platformy wiertniczej w zamulowany kompleks naukowo-badawczy. Musiało to być tajne, ponieważ większość krajów uważa doświadczenia z zakresu inżynierii genetycznej za niemożliwe i zakazuje ich prowadzenia. Platforma zapewniała jednocześnie możliwość całkowitej izolacji, gdyby coś wyszło źle.

— I coś wyszło źle — wtrącił Paul.

— Już do tego dochodzę. Projekt otrzymał kodywaną nazwę Feniks i początkowo prace przebiegały pomyślnie. Dokonaliśmy paru znaczących odkryć i wkrótce przekonaliśmy się, że w stosunkowo krótkim czasie będziemy mogli uzyskać to, czego oczekuje od nas Brinkstone. Mówiąc zupełnie szczerze, początkowo większość naukowców traktowała tę pracę jako niezbyt wymyślny żart, a w przebywaniu tutaj upatrywała możliwość przeprowadzania eksperymentów, które we wszystkich krajach byłyby z pewnością zabronione.

Pracowaliśmy nad sztucznym genem — stworzonym inżynieryjnie uniwersalnym pakietem DNA zdolnym do niesłychanie szybkich zmian kodu genetycznego organizmu gospodarza, co umożliwiłoby mu przetrwanie w zmieniających się warunkach klimatycznych lub środowiskowych. Nazwaliśmy ten gen jednostką Feniks. Generalnie, mogłabym go określić jako genetyczny zestaw pierwszej pomocy. Idea była następująca: ludzie, mający w swych komórkach Feniksa przeżyją śmiertelną nawet dawkę promieniowania, ponieważ jednostka ta natychmiast zmieni cały ich metabo-

lizm. W pewnym sensie, byłyby to natychmiastowa ewolucja...

— A więc udało wam się stworzyć ten sztuczny gen? — zapytał Mark.

— Tak. To była najłatwiejsza część. Na problemy natknęliśmy się dopiero wtedy, gdy próbowaliśmy podać tę jednostkę organizmom gospodarzy. W zamyśle, jednostka Feniks miała rozprzestrzeniać się od komórki do komórki, choć oczywiście zawsze istniało niebezpieczeństwo odrzucenia jej przez organizm. Jak każdy wirus, jednostka Feniks uaktywniała obronny system immunologiczny organizmu. W jakiś sposób musieliśmy wbudować w Feniksa taki system adaptacyjnych antygenów, które powodowałyby zamierzone przez nas zmiany, a jednocześnie nie pozwalały, aby antyciała organizmu gospodarza zniszczyły go.

Nie podziwialiśmy się w związku z tym większych problemów, ponieważ niektóre ze znanych nam wirusów rozwinęły już taką zdolność samoistnie. Jednak początkowo nie byliśmy w stanie sobie z tym poradzić. Tworzyliśmy wciąż nowe wersje Feniksa i testowaliśmy go na organizmach zwierzęcych. Niestety, w każdym kolejnym przypadku Feniks był albo odrzucany, albo reakcja obronna organizmu była tak gwałtowna, że zwierzę zdychało, zanim gen zdążył pozmienić jądra komórek w wystarczającym stopniu...

Wyglądało na to, że cały projekt zakończy się niepowodzeniem, gdy zupełnie niespodziewanie udało nam się stworzyć jednostkę, która rokowała nadzieję na sukces. Jednostka ta była w stanie przełamać prosty system immunologiczny zwierzęcia i dokonać odpowiednich zmian w chromosomach. Oznaczało to przejście do kolejnego etapu, którym było wychodowanie takiej wersji Feniksa, który byłby zdolny do adaptacji wewnątrz organizmu człowieka. Ale wtedy... wtedy...

— zachmurzyła się i przerwała. Markowi przypominała teraz Shelley'a, którego widzieli zeszłej nocy.

— Więc coś poszło źle? — nalegał Paul.

— Źle? — powtórzyła bezbarwnie. — Tak. Źle. Bardzo źle.

— A to zwierzę, które przyjęło Feniksa. Co to było?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego odwróciła się i spojrzała z przestachem na drzwi.

— Nadchodzi — wyszeptwała.

Obaj mężczyźni automatycznie spojrzeli na drzwi. Mark nic nie słyszał lecz ton jej głosu sprawił, że oblała go zimna fala atawistycznego strachu.

— Co nadchodzi? — zapytał niecierpliwie Paul.

Gwałtownym ruchem zerwała się na równe nogi.

— Muszę już iść. Zostańcie tutaj. Tu jesteście bezpieczni. To przyszło po mnie... — ruszyła w stronę drzwi. Paul wstał, podniósł M-16 i poszedł za nią.

— Nie wychodź! — krzyknął, chwytając ją za ramię. To, co nastąpiło później, było zupełnie nieoczekiwane. Kobieta okręciła się dookoła własnej osi, wyrwała z rąk Paula karabin i uderzyła go nim w pierś. Dla obserwującego całą tę scenę Marka nie wyglądało to na specjalnie mocne uderzenie, ale ku jego zdumieniu Paul przeleciał przez cały pokój, z głośnym łomotem lądując pośrodku sterty kaset video. Mark rzucił się w jego kierunku lecz odetchnął z ulgą widząc, że przyjaciel jest wciąż żywy. Gdy pomagał mu wstać, Paul wy stękał z wysiłkiem:

— Ta kobieta... Zatrzymaj ją...

Lecz było już za późno. Gdy Mark odwrócił się, drzwi już się zamykały. Usłyszał jeszcze cichy zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Podbiegł do drzwi i zaczął z furją szarpać za klamkę.

— Do diabła! — wrzasnął. — Ona nas tu zamknęła!

Krzywiąc się z bólu, Paul wstał i ruszył chwiejnie w stronę drzwi.

— Musimy się stąd wydostać... Jeżeli ta rzecz, ten Charlie, czy jak oni to tam nazywają... Jeżeli to wścieknie się ponownie... Musimy ostrzec dziewczyny.

Mark kopnął z wściekłością drzwi. Nawet nie zadrzały.

— A jak chcesz tego dokonać? — zapytał z rozdrażnieniem. — Jesteśmy w pułapce.

Ba-Ba-Ba-Barbara Ann, Ba-Ba-Ba-Barbara Ann!

Linda namacała rękojeść niewielkiego rewolweru, który przezornie ukryła z tyłu, wpychając go za pasek od dzinsów. Sytuacja stawała się po prostu okropna. Alex z minuty na minutę był coraz bardziej pijany. Instynktownie czuła, że w każdej chwili może spróbować zaatakować ją, lub Chris.

Leżał rozwalony na kanapie mierząc je obie nieprzyjemnym, jednoznacznym spojrzeniem. Butelka whisky, którą na nieszczęście znalazł w jednej z szuflad, była już prawie pusta. Nie zwracał także uwagi na ekran, na którym dobiegał swego finału niezwykle brutalny film pornograficzny.

Alex pociągnął z butelki kolejny łyk i kontynuował monotnym, pijackim bełkotem:

— Ba-Ba-Ba-Barbara Ann, Ba-Ba-Ba-Barbara Ann!

Ponownie spojrzął na Lindę, powoli przesuwając wygłodniałym spojrzeniem po całej postaci siedzącej dziewczyny. Czuła się, jakby rozbierał ją wzrokiem, penetrując jednocześnie najtajniejsze zakamarki jej ciała. Wyczuwała emanującą od niego brutalność, połączoną ze zwierzęcą żądzą. Gdyby wyciągnął po nią swe brudne łapy, z pewnością nie zadowoliliby go sam gwałt. Musiałby ją skrzywdzić. I to bardzo. Zadrzała lekko mając nadzieję, że Alex tego nie zauważył. Gdzie, u li-

cha podziwiali się Paul i Mark? Nie było ich cały ranek...

Nawet powrót Rochelle mógłby rozładować to nieznośne napięcie, które w każdej chwili mogło eksplodować przykrym incydentem. Lecz wiedziała, że Rochelle nie wróci. Wypadła z pokoju wściekła i cała we łzach przeszło pół godziny temu, po tym jak Alex uderzył ją, kiedy próbowała odebrać mu butelkę. Powinny wyjść wtedy razem z Rochelle. Ale teraz było już na to za późno. Alex z pewnością powstrzymałby je, gdyby tylko spróbowały podejść w stronę drzwi.

Linda spojrzała na siedzącą tuż obok Chris. Była blada i spięta, myśląc najwidoczniej o tym samym, co ona. Linda zastanawiała się gorączkowo co zrobi, gdy Alex wreszcie się zdecyduje. Zastrzeli go? Chciałaby, lecz jednocześnie nie wiedziała, czy będzie do tego zdolna. Ale jeżeli nie będzie miała innego wyboru...

— Ty. Chodź tutaj — zachrypnięty głos Alexa przerwał te ponure rozmyślania. Wskazywał w jej stronę butelkę.

Linda instynktownie napięła mięśnie brzucha. A więc stało się.

— Czego chcesz? — zapytała, siłąc się na spokój.

— Dupki. Twojej dupki. Oto, czego chcę — niepewnie zwałókł się z kanapy i stanął, chwiejąc się na nogach. Przez chwilę miała nadzieję, że upadnie...

— Linda... — rzuciła ostrzegawczo Chris.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała wstając. Odwróciła się w kierunku Alexa.

— Pewnie, że ci dam, Alex — powiedziała słodko.

— Ale musisz mi coś obiecać. Obiecaj, że nie zrobisz mi żadnej krzywdy. Że nie będziesz brutalny. Obiecujesz?

— Co? — mruknął zaskoczony. Nie spodziewał się po niej takiej postawy. Spojrzał na nią podejrzliwie za-

mroczonymi alkoholem oczkami, a następnie wykrzywił twarz w nieprzyjemnej parodii uśmiechu.

— Jasne... jasne, obiecuję.

Brzmiały w jego głosie fałsz był tak wyraźny, że w innej sytuacji byłoby to zabawne.

— Dobrze. Mam się rozebrać? — wciąż usiłowała się uśmiechać.

— Co? — zamrugał półprzytomnie oczami. — A tak. Zdejmuj to. Wszystko.

Rozpięta bluzkę i wolnymi ruchami zaczęła wyciągać ją ze spodni. Sięgając za siebie, wyciągnęła zza paska rewolwer...

Butelka z głośnym brzękiem rozbiła się na podłodze gdy Alex rzucił się na nią, wyciągając przed siebie ręce. W momencie, w którym ją dotknął, Linda zdzieliła go silnie w głowę kolbą rewolweru. Odskoczył chwiejnie do tyłu, spoglądając na dziewczynę mętными, szeroko otwartymi oczyma.

Uderzyła ponownie, tym razem w sam środek czoła. Ryknął z bólu i upadł na kolana. Jedną ręką złapał się za głowę, podczas gdy drugą usiłował pochwycić ją za kostkę.

Linda zamierzyła się ponownie, lecz tym razem Alexowi udało się schwycić ją za nadgarstek.

— Uciekaj, Chris! — wrzasnęła próbując uwolnić rękę. W końcu kopnęła go w żołądek. Jęknął z bólu i zgiął się wpół. Linda wyrwała rękę wściekłym szarpnięciem, rewolwer jednak ostrym łukiem poszybował w przeciwny kąt pokoju.

Rzuciła się w kierunku drzwi. Chris już tam była i zderzyły się, próbując obie jednocześnie przejść przez próg.

— Tędy! — krzyknęła, ciągnąc za sobą oszołomioną Chris. Pobiegly korytarzem w kierunku kuchni, w której jedli śniadanie. Nie miała sprecyzowanego planu

ucieczki — po prostu chciała znaleźć się jak najdalej od miejsca, w którym przebywał Alex.

Gdy Linda odwróciła się, aby spojrzeć za siebie, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Alex wychodził właśnie z pokoju na korytarz, trzymając w dłoni swój sprężynowy nóż. Był zakrwawiony lecz nie wyglądało, aby odniósł jakiś poważniejszy uraz.

„Cholera!” — pomyślała na pograniczu paniki — „Jednak powinnam go była zastrzelić...”

Gdy znalazły się w kuchni, Linda przez krótką chwilę rozważała możliwość znalezienia tu jakiegoś noża, lecz szybko zarzuciła ten pomysł. Wiedziała, że w takiej walce nie ma żadnych szans. Jeżeli tylko połowa z jego opowieści była prawdziwa, to z pewnością miał spore doświadczenie w tego typu bijatykach.

Pociągnęła Chris za kolejny zakręt korytarza. Gdzieś tutaj powinny być ich kabiny. Jedyne, co mogły zrobić to wejść do jednej z nich i spróbować zabarykadować drzwi.

Wepchnęła Chris w pierwsze otwarte drzwi, jakie napotkała. Na szczęście w zamku tkwił klucz. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Wiedziała, że Alex nie może być daleko. Słyszała odgłos stóp gdy biegł zataczając się po korytarzu. Nagle zapadła cisza, przerywana jedynie spazmatycznymi oddechami obydwu dziewcząt.

Gdy usłyszały ten nieprzyjemny dźwięk Linda pierwsza zorientowała się, co to było. Ostrze noża, którym Alex wściekle drapał o drzwi. Nagle zaczął mówić. I jego głos nie był już głosem pijanego gdy precyzyjnie, z klinicznymi detalami opisywał im, co im obu robi, gdy je wreszcie dopadnie...

Chris odwróciła się i zwymiotowała śniadanie na lśniąca podłogę kabiny.

Rochelle nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd właś-

ciwie idzie. I mówiąc szczerze, niewiele o to dbała. Prawa strona jej twarzy wciąż pulsowała od policzka, jakiego wymierzył jej Alex. Jednak płynące wciąż z oczu łzy spowodowane były bardziej gniewem, niż bólem. Jak ten sukinsyn śmiał ją uderzyć? Co on sobie właściwie wyobraża, że kim on jest? Czy naprawdę sądzi, że może ją traktować jak prywatną własność? Jeszcze tego pożałuje...

Nie chodziło tu wyłącznie o sam policzek. Raczej o sposób, w jaki upokorzył ją przed Lindą. Było jasne, że ma na nią ochotę. A poprzedniej nocy miał Chris. Wiedziała o tym. Nie zaprzeczył, ani nie potwierdził — po prostu wyszczerzył zęby w tym swoim idiotycznym uśmiechu. No cóż, tym razem posunął się zdecydowanie za daleko. Gdy tylko uda im się zejść na brzeg, zerwie z nim ostatecznie...

Nagle zdała sobie sprawę, że się zgubiła. Nie była pewna, na którym jest właściwie poziomie. Wiedziała, że wspinała się po schodach i przeszła przez przynajmniej jeden zestaw automatycznych drzwi lecz nie była pewna, jak daleko zaszła. Wszystkie te korytarze wyglądały tak samo. Wydawało się jej, że znalazła się w jakiejś gigantycznej, trójwymiarowej białej mgle.

Ro westchnęła i poszła dalej. Musi odnaleźć schody i zejść na dół. Zaczęła odczuwać lekki niepokój, wróciła więc myślami do Alexa. Nigdy nie widziała, aby był aż tak pijany. Było to troszeczkę przerażające. Ale czasami bywał przerażający nawet wtedy, gdy nie pił. Było w nim coś z maniaka, lecz być może właśnie dzięki temu wydawał się jej tak pociągający...

Skręciła w zakręt i zorientowała się, że korytarz ponownie kończy się parą drzwi. Po chwili wahania pchnęła je i weszła do pomieszczenia pełnego pustych klatek i akwariów. Bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, na którym właściwie poziomie to pomieszczenie się znajdowało.

Szła powoli pomiędzy rzędami klatek mając nadzieję, że znajdzie jakieś wyjście w drugim końcu pomieszczenia. Od unoszącego się wkoło zapachu zrobiło jej się zdecydowanie niedobrze. Taka samotna wędrówka z pewnością nie była najmądrzejszym pomysłem. Z nagłą precyzją przypomniała sobie wszystkie wydarzenia poprzedniej nocy. Przeróżający dźwięk, gdy to coś próbowało dostać się do pokoju Lindy i Paula...

Rochelle instynktownie przyspieszyła kroku. Nagle zapragnęła znaleźć się daleko od tego miejsca. I to szybko.

Spoglądając przypadkowo w bok zatrzymała się jak wmurowana i aż jęknęła z wrażenia.

W jednym ze zbiorników pływało ciało.

Martwe ciało.

Z bijącym mocno sercem Rochelle podeszła parę kroków bliżej. Ciało znajdowało się w największym zbiorniku — tym, na którym widniała tabliczka z tajemniczym napisem „Carcharodon”.

To była kobieta. Unosiła się twarzą w dół tuż nad dnem zbiornika. Ubrana była w biały, laboratoryjny fartuch, miała krótko obcięte blond włosy. Wyglądała na całkiem młodą.

Zaskoczona Rochelle nachyliła się, aby zobaczyć twarz kobiety. Nagle krzyknęła z przerażenia i odskokczyła do tyłu. Usta kobiety były otwarte i wystawała z nich masa jakichś czarnych wąsów. Wyglądało to, jakby wyrastała z niej jakaś potworna roślina. Długie nitki wąsów poruszały się w nieruchomej wodzie.

Gdy Rochelle bez tchu wpatrywała się w ten koszmarny widok, kobieta w zbiorniku wolno odwróciła głowę i spojrzała prosto na nią.

8.

— Jak się czujesz?

— Boli mnie przy oddychaniu — odparł Paul, krzywiąc się z bólu. — Wydaje mi się, że mam złamane żebro.

Zrezygnowali już z próby wyłamania drzwi. Paul stał opierając się biodrem o konsolę, a Mark pstrykał przełącznikami kamer telewizyjnych. Próbował odnaleźć pozostałych, lecz jak do tej pory nie dopisywało mu szczęście. Pokój rekreacyjny był pusty. Przez krótką chwilę na jednym z ekranów gościła Rochelle lecz wyglądało na to, że pozostała trójka rozplynęła się w powietrzu. Nigdzie nie było także śladu dr. Soames. Ani czegokolwiek innego.

— Wciąż nie mogę się nadziwić jej sile — powiedział z niedowierzaniem w głosie Paul. — To niesamowite. Rzuciła mną przez pokój jakbym ważył niewiele więcej, niż plażowa piłka.

— Shelley był także niezwykle silny. Pamiętasz, z jaką łatwością uwolnił się od Alexa? Czymkolwiek są zarażeni, wydaje się, że to ma jakiś wpływ na ich siłę. A może po prostu zwariowali. Gdzieś czytałem, że czubki są czasami niesamowicie silni...

— Ona wyglądała na najzwyklejniej normalną — wtrącił Paul.

— Tak. Dopóki nie przerzuciła cię przez cały pokój.

— Może masz rację — przyznał Paul, pocierając nerwowo kostki dłoni. — Lecz początkowo byłem tak zaskoczony, że widzę ją ponownie...

— Chcesz przez to powiedzieć, że widziałeś już ją przedtem?

— Nie. Mówię o jej fotografii. Pamiętasz ten fartuch z kartą identyfikacyjną? To była ona.

— No tak — skinął głową Mark. — A zastanawia-

lem się, dlaczego to nazwisko brzmiało tak dziwnie znajomo. Przypuszczam, że nie powiedziała ci, dlaczego rozbrajała się w takim pośpiechu? Ani co stało się z właścicielami pozostałych ubrań?

— Nie — przyznał niechętnie Paul.

— Szkoda. Tak, to chyba właściwe słowo — powiedział Mark, marszcząc w zamyśleniu brwi. — Gdy znaleźliśmy ten fartuch zeszłej nocy, jej karta identyfikacyjna była do niego przypięta, prawda?

— Tak. Przecież już ci powiedziałem, że rozpoznałem ją po tej właśnie fotografii.

— Dziś także miała przypiętą tę kartę. Jak to możliwe?

Paul wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Może ma ich więcej, niż tylko jedną. Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

— Sam właściwie nie wiem. Po prostu uderżyło mnie to. Dziwne — potrząsnął bezradnie głową. — A może ty masz jakieś teorie?

— Trudno to nazwać teorią, ale z tego co nam powiedziała możemy wywnioskować, że ten sztuczny gen musiał w jakiś sposób zarazić tutaj parę osób. Powiedziała przecież, że to coś w rodzaju wirusa. Może doprowadził ich do szaleństwa i w amoku pozabijali się nawzajem...

— To możliwe — mruknął Mark.

Paul stuknął nagle palcem w jeden z monitorów.

— Spójrz, znaleźliśmy Alexa! Postaraj się utrzymać ten obraz.

Mark spojrzął na ekran. Alex nie znajdował się daleko od kamery. Z wściekłością kopał i walił pięściami w zamknięte drzwi, wyglądając przy tym na zupełnie pijanego. Nagle Mark dostrzegł błysk trzymanego przez niego w dłoni noża. Z przyprawiającą o mdłości pewnością wiedział już, co się stało.

— Chryste, tam muszą być dziewczyny!

Paul grzmotnął wściekle pięścią o konsolę.

— Tak. A my nic nie możemy zrobić, aby im pomóc.

Rochelle cofała się powoli do tyłu, wpatrując się z przerażeniem w zbiornik. „To niemożliwe! Muszę mieć halucynacje! To przez te tanie świństwo, które paliliśmy w Maroku... Za moment z pewnością obudzę się w hotelu...”

Lecz to nie był sen. Zafascynowana niepojętą grozą! wpatrywała się w kobietę, która wynurzyła się wolno z wody i wspinała się właśnie po ścianie zbiornika. Ma-1 sa oleistych, czarnych macek wystających z jej ust wyglądała jak koszmar na broda. I wciąż poruszały się, wyraźnie drgając swym własnym, wewnętrznym życiem.

Rochelle krzyknęła przeraźliwie. Zawsze myślała o sobie jako o kimś, kto pozbawiony jest zupełnie uczucia strachu. Ale tego było już stanowczo zbyt dużo. I Nie mogła znieść widoku tego...

Krzyknęła ponownie i rzuciła się do ucieczki. Za-1 mierzała jak najszybciej do drzwi, którymi tuł weszła. Lecz gdy Ro przebiegła zaledwie parę kroków, I udało jej się zrobić coś, co zawsze ją irytowało u głu-1 pich kobiet w głupich komediach filmowych — pośliznęła się i upadła.

Na podłodze rozlana była niewielka kałuża wody, której nie zauważyła. Gdy trafiła na nią jej prawa stopa, kostka eksplodowała wybuchem obezwładniającego bólu. Poleciała twarzą na podłogę, uderzając się boleśnie w podbródek. Przez parę sekund Rochelle czuła się kompletnie oszołomiona. Z wysiłkiem podniosła się na kolana, zerkając jednocześnie przez ramię do tyłu.

Kobieta wyszła już ze zbiornika i zbliżała się wolno w jej kierunku. Była już nie dalej, niż dwa jardy. Scie-1 kająca z fartucha woda opadała na ziemię dużymi kroplami, a mokre włosy przyklejone były płasko do I

głowy. Pomimo ogarniającego ją zwierzęcego przerażenia, jakaś cząstka umysłu Rochelle zarejestrowała jeszcze fakt, że ta kobieta ma bardzo atrakcyjne, zielone oczy. Smutne oczy...

Czarna masa wylewająca się z jej ust była już zdecydowanie dłuższa. Na oczach Rochelle wysunęło się jej jeszcze więcej. Wyglądała jak monstualny, czarny język.

Załkała histerycznie i nie powstając z klęczek zaczęła posuwać się do przodu. Po paru metrach podniosła się na nogi i pobiegła w kierunku drzwi. Panika skutecznie pozwalała jej zapomnieć o bólu w skręconej kostce.

Była już zaledwie parę metrów od drzwi, gdy nadwierzona kostka ostatecznie odmówiła posłuszeństwa. Ponownie poleciała twarzą na podłogę. Półprzymtomna z bólu, za sobą słyszała mlaszczące kroki zbliżającej się coraz bardziej kobiety.

Echo odległego krzyku dotarło wreszcie do zamroczonego wódką umysłu Alexa. Zmarszczył brwi. Brzmiało to, jak głos Rochelle. Tak, Rochelle. Co się stało z tą głupią dziwką? Stał chwiejąc się lekko na nogach, usiłując zebrać rozproszone myśli.

„Co się ze mną dzieje?” — pomyślał — „Czyżbym był pijany?”

Kopnął ze złością pocięte nożem drzwi i zataczając się poszedł w kierunku źródła głosu. Te suki za drzwiami mogą jeszcze poczekać. Teraz powinien odnaleźć Rochelle. „Ale właściwie po co?” Ponownie zmarszczył brwi, ale już po chwili jego twarz rozjaśniła się złym uśmiechem. „Oczywiście, aby dać tej krowie nauczkę. Dam jej nauczkę, a potem wrócę po te dwie...”

Idąc korytarzem, był świadom obecności kamer, spoglądających na niego w regularnych odstępach ze

ścian. Wydawały się mu grozić, machnął więc w ich kierunku nożem. Nagle zapragnał je porozbijać, wydłubać te nieruchome, szklane oczy...

Był tak zaabsorbowany kamerami, że wpadł nieomal na opartą o ścianę kobietę. Miała zamknięte oczy i wyglądała na chorą. Była zupełnie przemoczona. Woda skapująca z białego fartucha utworzyła już dookoła jej stóp niewielką kałużę.

— Coś ty właściwie za jedna? — rzucił arogancko, wyciągając w jej kierunku nóż.

Wolno otworzyła oczy. Natychmiast zorientowała się, że była niezwykle piękna. Poczul gwałtowny przypływ starej, dobrze znanej potrzeby. Uśmiechnął się szeroko.

— Pomóż mi — wyszeptła z trudem. — Nie czuję się zbyt dobrze. Pomóż mi dostać się do mojej kabiny. To niedaleko stąd.

Złożył ostrze i schował nóż do kieszeni.

— Oczywiście, że ci pomogę, kochanie. Gdzie jest ta twoja kabina?

— Tam — szczupłą dłonią wskazała na drzwi w głębi korytarza.

— A więc chodźmy — powiedział starając się, aby język nie plątał mu się zbyt. — Daj mi ramię, złotko. Pomogę ci...

Oparła się o niego, nieomal przewracając go na podłogę.

„Cholera, ależ ta suka jest ciężka” — pomyślał zaskoczony. Dopiero gdy otoczył ją ramieniem w talii, był w stanie utrzymać nieznaną prosto. Ruszyli, zataczając się razem od ściany do ściany. Alex miał nadzieję, że jej kabina rzeczywiście nie jest daleko.

Wydało mu się, że dopiero po godzinach wolnego marszu oświadczyła, że dotarli na miejsce. Wniósł ją przez otwarte drzwi i położył na łóżku. Zajęło mu to

dobrą minutę, zanim uspokoił oddech. Pochylił się nad leżącą nieruchomo kobietą.

— Jak się czujesz?

Otworzyła oczy i obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

— Kim ty właściwie jesteś? — zapytała słabo.

— Ja? Nazywam się Alex Rinaldo. Posłuchaj, dziecko, powinnaś zdjąć to mokre ubranie. Przeziębisz się.

— Przeziębę? — skrzywiła się lekko. — A tak... rzeczywiście. Bardzo się przeziębę.

— Jak to się właściwie stało, że jesteś taka mokra? Wpadłaś do basenu, czy co? — jednak ton jego głosu sugerował, że niewiele go to obchodzi. Przesuwał spojrzeniem po leżącej nieruchomo postaci.

Kobieta nie odpowiedziała na to pytanie. Zamiast tego, spojrziała na niego i powiedziała:

— Lepiej uciekaj stąd, Alex. Opuść to miejsce. Uciekaj. Szybko!

Myśląc, że kobieta go po prostu odprawia, Alex natychmiast stał się bardziej agresywny.

— Posłuchaj, skarbie. Nigdy nie mów tak do faceta, który właśnie wyświadcza ci przysługę. Powinnaś wykazać jakąś wdzięczność.

Westchnęła i zamknęła oczy.

— Uciekaj. Szybko. Natychmiast.

— Nigdzie nie idę, kochanie. A wiesz, co mam zamiar teraz zrobić? Po pierwsze, wyłuskam cię z tego mokrego ubranka... — chwycił ją za klapy fartucha i spróbował go rozdrzeć.

I przeżył największy szok w swoim życiu.

Biały fartuch wydawał się być częścią jej ciała. Gdy szarpnął go w dół miał wrażenie, że ściąga z niej skórę — pod spodem drżało czerwone, wilgotne mięso.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie i usiadła wyprostowana. Alex wrzasnął także. Nie tracąc przytomności

umysłu wyjął z kieszeni nóż, zwolnił ostrze i wbił je prosto w widoczne wyraźnie serce.

Jej ciało zadrgało spazmatycznie i opadło na poduszkę. Krzyk zmienił się w nieprzyjemny, bulgoczący odgłos a potem zapadła cisza.

Będąc już przy drzwiach, Alex zawahał się. Zastanawiał się, czy nie warto by było wrócić po nóż. Jednak gdy odwrócił się i spojrzał na ciało, dostrzegł, że z klatki piersiowej kobiety wycieka coś, owijając się wokół rękojeści noża. Nie krew lecz coś, co wyglądało jak czarna, drgająca maź. Kabinę wypełnił nagle obrzydliwy smród.

Odwrócił się i uciekł.

Mark potrzebował działki. I to natychmiast. Od paru już godzin tkwili zamknięci w pokoju kontrolnym, a jego stan pogarszał się z minuty na minutę. Wydawało mu się, że napierają na niego ściany i miał trudności z oddychaniem. Chociaż całe ubranie przesiąknięte było potem, było mu zimno i miał dreszcze. Wiedział, że to pierwsze objawy narastającego głodu.

Przerwał nerwowe krążenie po pokoju i podszedł w stronę drzwi. Paul obserwował go z niepokojem.

— Co się z tobą dzieje, Mark? Żle się czujesz?

— Nie, wszystko w porządku — uśmiechnął się z wysiłkiem Mark. — Po prostu chcę się stąd wydostać.

— Ja także, ale nic nie możemy zrobić, dopóki ktoś nas nie odnajdzie — powiedział Paul, odwracając się w stronę monitorów. Dziewczęta wciąż ukrywały się w kabinie przekonane, że na zewnątrz czai się Alex. Ale Alex poszedł gdzieś godzinę temu i zniknął. Gdyby Linda i Chris odważyły się wreszcie stamtąd wyjść i zaczęły ich szukać...

Z zamyślenia wyrwało go donośne uderzenie o drzwi. Spojrzał na Marka, który odpowiedział mu podobnie zdziwionym spojrzeniem. Kto to do diabła

mógł być, zastanawiał się gorączkowo Paul. Rochelle, czy ktoś inny? A może ten tajemniczy „Charlie”? Usłyszeli zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i drzwi pozwoli otworzyć się na oścież.

W progu stał Alex. Spojrzał na nich i uśmiechnął się z widoczną ulgą.

— Szukałem was wszędzie, chłopcy. Chodźcie, musicie coś...

Nie dokończył, bowiem pięść Paula trafiła go prosto w usta. Alex nie oczekiwał tego ciosu. Przewrócił się na plecy i leżał nieruchomo, wpatrując się w Paula z rosnącym zdumieniem.

— Co, do cholery...? — mruknął i otarł krew, ściekającą z rozciętej dolnej wargi.

— Widzieliśmy cię — powiedział spokojnie Paul, stając tuż nad nim z zaciśniętymi kurczowo pięściami.

— Widzieliśmy, jak chciałeś dobrać się do Lindy i Chris, ty draniu. Rozwałę ci łeb...

— Na litość Boską, zapomnij o tym, chłopie. To jest ważniejsze. Właśnie zabiłem kobietę.

— Co takiego? — zaskoczony Paul cofnął się o krok. — Chyba nie Ro...?

— Nie, nie ją. Jakąś sukę w białym fartuchu. Musicie na nią spojrzeć — z wysiłkiem podniósł się na nogi. — Albo ja zwariowałem, albo ona nie jest człowiekiem. Chodźcie.

Paul nie miał wyboru. Zdławił narastający gniew i ruszył za nim. Na poważniejszą rozmowę przyjdzie czas później.

Alex sprowadził ich piętro niżej, a potem poprowadził wzdłuż korytarza. W końcu zatrzymał się przed otwartymi drzwiami.

— To tutaj — powiedział i wzdrygnął się. — Ona jest tam w środku, na łóżku.

Paul zajrzał do środka. Kabina, a także łóżko, były puste.

— Nikogo tu nie ma — powiedział, spoglądając na niego nieufnie. — Jesteś pewien, że to właściwa kabina?

Alex bez słowa odepchnął go na bok i wszedł. Nagle schylił się i podniósł coś z podłogi. Paul dostrzegł, że był to jego sprężynowiec.

— To jest ta kabina — warknął Alex. — Ona leżała na tym łóżku a to coś wyłaziło jej prosto z brzucha.

— I mówisz, że odniosłeś wrażenie, że ten jej fartuch był częścią jej ciała, jak druga skóra? — w głosie Paula pobrzmiwał wyraźny sceptycyzm. Opisane przez Alexa w drodze tutaj wydarzenia wydały mu się trudne do zaakceptowania. Był przekonany, że zamroczony alkoholem umysł Alexa sam wytworzył ten koszmar.

Mark krążył po całej kabinie, pociągając zagadkowo nosem.

— Śmierdzi — skomentował wreszcie.

— Ale już nie tak, gdy ona tu była — odparł Alex.

— Powinieneś być tu wtedy, gdy ta czarna maź zaczęła wyłazić z jej brzucha. Odór był taki, że...

— Czarna maź? — przerwał Mark, spoglądając na niego badawczo. Po chwili spojrzął na Paula.

— Ten zapach. Taki sam jak w kabinie dźwigu kiedy myślałem, że widzę tę czarną maź wyłazącą z jednego z kombinezonów. A więc to jednak może być prawda, Paul.

— O czym ty do diabła gadasz? — rzucił Alex. Zaczynał wracać już do siebie.

Gdy Mark ze szczegółami opisał mu to, co widział w kabinie dźwigu, Alex wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Czarna maź, która sama się porusza? Wiedziałem, że jesteś stuknięty.

— W takim razie ty także, bowiem widziałeś ko-

bietę, której fartuch przyrośnięty był do skóry i która poruszała się po tym, jak pchnąłeś ją nożem.

— Ktoś musiał zabrać jej ciało — mruknął Alex.
— Mówię wam, że była martwa — podniósł w górę trzymany wciąż w dłoni nóż. — Wsadziłem jej to prosto w serce. Nie chciałem, ale to wszystko wydarzyło się tak nagle...

— Tak, wiemy, że nie skrzywdziłbyś nawet muchy — skrzywił się Paul spoglądając na nóż. — Ostrze jest czyste. Ani śladu krwi, czy tej czarnej mazi. Na podłodze ani na łóżku także nie widać krwi.

— Myślisz, że to ta sama kobieta, którą widzieliśmy wcześniej? — zapytał Mark.

— To możliwe — odparł Paul rozglądając się po kabynie. Otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej zmięty kłęb kobiecej odzieży.

— Powiedziała, że to jej kabina? — zapytał Alexa.

— Tak. Chodźmy stąd i poszukajmy tego, kto zabrał jej ciało. Nie mógł odejść z nim zbyt daleko. Ważyła chyba z pół tony.

Brwi Paula powędrowały w górę.

— Taka ciężka? — zapytał ze zdziwieniem.

— Jakby była wyładowana cementem.

— A więc to musiała być ona — opowiedział Alexowi, jak został rzucony przez cały pokój przez tajemniczą dr Soames.

— Nic już nie rozumiem — przyznał bezradnie Alex. — Co się do diabła wyrabia na tej pieprzonej platformie?

— Być może będę mógł wam parę spraw wyjaśnić, chłopcy — dobiegł ich głos o wyraźnym, amerykańskim akcencie. Jak na komendę odwrócili się w stronę drzwi. W progu stał młody, wysoki mężczyzna, dzieląc w dłoniach odbezpieczony M-16.

9.

— On wciąż czeka tam na zewnątrz. Czuję to.

— Nie sędzę — odparła Linda. — Już od dłuższego czasu nie słyszałyśmy żadnego dźwięku. A jest zbyt pijany, aby próbować podstępów. Z pewnością dawno już poszedł. Otwieram drzwi.

— Nie! — wykrzyknęła Chris łapiąc ją za rękę. — On tam jest. Wciąż wyczuwam wibracje.

— Przestań wreszcie, Chris — skrzywiła się Linda. — Ludzie przestali wyczuwać „wibracje” już pod koniec lat sześćdziesiątych. Nie możemy przecież tkwić tu bez końca. Wychodzę. A zresztą Paul i Mark z pewnością nas już szukają.

Z pewnym trudem uwolniła się od uchwytu zdenerwowanej Chris i sięgnęła po klucz. Tak cicho, jak było to możliwe przekreśliła go w zamku i odemknęła drzwi. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Pusto. Ani śladu Alexa. Otworzyła drzwi szerzej i rozejrzała się po obu stronach korytarza.

— Chodźmy — szepnęła do Chris. — Korytarz jest pusty.

Chris niechętnie wyszła wreszcie z kabiny.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała z wyraźną obawą w głosie.

— Z powrotem do pokoju rekreacyjnego.

— Ale przecież tam może być Alex!

— Musimy zaryzykować. Zostały tam karabiny i nie będę się czuła bezpieczna, dopóki nie będę miała jednego z nich w rękach. A zresztą tam właśnie z pewnością udali się chłopcy. A więc idziesz, czy zostajesz?

— Idę — powiedziała zrezygnowanym tonem Chris.

Pokój rekreacyjny był pusty. Lub wydawał się takim na początku. Gdy bowiem Linda schyliła się by pod-

nieść upuszczony w czasie szarpaniny z Alexem rewolwer, usłyszała jakiś niewyraźny dźwięk. Dochodził z szafy.

Ktoś musiał być w środku.

Linda poczuła, jak żołądek ponownie podchodzi jej do gardła. Resztką sił zmusiła się do zachowania spokoju i ruszyła ostrożnie w stronę szafy, trzymając w dłoni gotowy do strzału rewolwer. Tym razem nie będzie miała żadnych skrpułów przed zastrzeleniem tego drania, jeżeli spróbuje rzucić się na nią ponownie. Jeżeli to jest Alex...

Gdy Linda szarpnięciem otworzyła drzwi, z wnętrza szafy wypadło coś prosto na nią, krzycząc przeraźliwie. Odruchowo zasłoniła twarz przed sunącymi w kierunku jej oczu paznokciami. Odskokczyła do tyłu, naciskając przypadkowo spust, kula utkwiała jednak niegroźnie w suficie.

Bliski huk wystrzału oszołomił na chwilę napastnika. Linda wreszcie mogła dostrzec, kto nim właściwie jest.

— Rochelle! — wykrzyknęła zdumiona.

Rochelle spojrzała prosto na nią. Była zmieniona prawie nie do poznania. Oczy miały dziki wyraz schwytanego w pułapkę zwierzęcia, a ściągnięte wargi odsłaniały zaciśnięte kurczowo zęby. Po chwili zaczęła się uspokajać.

— Linda — wyszeptwała. — Myślałam, że to ona...

— objęła Lindę ramionami i rozpłakała się gwałtownie. Linda czuła, jak drży. Była zaskoczona. Nigdy jeszcze nie widziała Rochelle w tak opłakanym stanie. Nic nie było w stanie jej zdenerwować. Jeżeli potrafiła znieść Alexa, potrafiła znieść wszystko. Nagle dostrzegła na przedzie dżinsów Ro mokrą plamę i zorientowała się, że to mocz. Co przeraziło ją tak bardzo, że doprowadziła się do takiego stanu?

— Co się stało, Rochelle? — zapytała z niepoko-

jem, trzymając szlochającą wciąż dziewczynę w mocnym objęciu. — I kto to miał być ta ona?

Rochelle wysunęła się z jej objęć i spojrzała na Lindę ze ściągniętą przerażeniem twarzą.

— Ta kobieta w ... zbiorniku — powiedziała niewyraźnie, pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem nosem. — Prawie mnie złapała... czułam... moja kostka... dotknęła mnie... ale uciekłam... czołgałam się a potem biegłam i biegłam... przewróciłam się... ale ona wciąż mnie goniła...!

— Cicho, posłuchaj — przerwała jej gwałtownie Chris, ściskając Lindę za ramię. — Ktoś idzie.

— Kim pan jest? — zapytał zaskoczony Paul.

Młody mężczyzna uśmiechnął się szeroko i opuścił lufę M-16.

— Nazywam się Ed Buckley. I naprawdę cieszę się, że was widzę, chłopcy. Nawet nie wiecie jakie to uczucie, móc ponownie znaleźć się pośród normalnych ludzi.

Paul spojrzał na niego podejrzliwie.

— No cóż, w tej chwili nie powiedziałbym, że jesteśmy tak całkiem normalni. Ale skąd możemy wiedzieć, że ty jesteś normalny?

— Spokojnie. Nie jestem żadnym z nich. Jeszcze nie jestem hmm... zainfekowany. Ukrywałem się do tej pory. To pierwsza okazja jaką miałem, aby się do was dostać.

— I tylko ty jeden uniknąłeś tego zainfekowania? — zapytał Paul, którego wciąż nie opuszczała podejrzliwość.

— Miałem szczęście. Przez jakiś czas było nas dwoje — gestem ręki wskazał w głąb pokoju. — Była ze mną dr Soames, ale w końcu stała się nieostrożna. A więc zostałem sam. Przez dwa tygodnie ukrywałem się przed nimi... i przed Charlie.

Paul westchnął.

— Kto to jest Charlie, Ed? I co się tutaj właściwie stało? Wiemy jedynie, że przeprowadzano tu tajne eksperymenty nad sztucznym genem o nazwie Feniks.

Zaskoczony Buckley spojrział na niego spod oka.

— Wiecie o Feniksie?

— Ja nic nie wiem, do cholery! — warknął Alex.

— Co to jest, ten Feniks?

— Dowiedzieliśmy się o nim przeglądając kasety — wyjaśnił Paul. — Ale wciąż nie wiemy wszystkiego.

— No cóż — powiedział ostrożnie Buckley. — To jest dosyć trudne do wyjaśnienia, a ja nie jestem naukowcem. Byłem tutaj jedynie strażnikiem.

— Ale miałeś chyba jakieś ogólne pojęcie o tym, co tutaj robią?

— Tak, ale...

— Czy wiesz, co to jest Charlie?

— Tak, ale to wszystko jest zupełnie zwariowane. Nawet nie wiem, czy mi uwierzycie...

— Uwierzymy ci, Ed — zapewnił go Paul. — Po tym wszystkim co już tu widzieliśmy, z pewnością ci uwierzymy. A więc mów.

W tej samej chwili zabrzmiał daleki huk wystrzału. Początkowo byli zbyt zaskoczeni, by odpowiednio zareagować.

— Dziewczyny... — rzucił w końcu Paul.

— To dochodziło stamtąd! — wykrzyknął Buckley, wskazując w głąb korytarza. — Chodźmy!

Biegając tuż za Buckley'em Paul czuł, jak ogarnia go coraz większy niepokój. Jeżeli Lindzie coś się stało...

Połączeniu obydwu grup w pokoju rekreacyjnym towarzyszyły głośne okrzyki ulgi. Gdy tylko Paul upewnił się, że z Lindą wszystko w porządku, a przypadkowy strzał nie wyrządził nikomu krzywdy, pokrótce opo-

wiedział dziewczętom wszystko, co wydarzyło się od rana. Potem Linda w dość oględnych słowach opowiedziała o zajściu z Alexem. Gdy skończyła, Paul spojrzął na niego z wściekłością i wstrętem jednocześnie.

— Ty bydlaku! Chciałeś ją zgwałcić!

Alex spojrzął mu bezczelnie prosto w oczy.

— Daj spokój, to była tylko zabawa. Wypiłem trochę i... A potem ona uderzyła mnie pistoletem w głowę, więc się wściekłem.

— I to wszystko? — rzucił Paul, zbliżając się powoli w jego kierunku. — Powiniennem cię za to zabić.

W rękę Alexa błysnął otwarty nóż.

— A więc spróbuj — rzucił szyderczo.

— Zostaw go, Paul! — wykrzyknęła Linda i złapała go za ramię. — Wszystko w porządku, nawet mnie nie dotknął. Raczej powinniśmy zająć się Rochelle. Przytrafiło jej się coś okropnego. Opowiedz im, Ro.

Rochelle siedziała na podłodze, opierając się plecami o szafę. Wydawała się nie zwracać większej uwagi na to, co dzieje się wokół niej. Na jej twarzy wciąż malował się wyraz obłądnego strachu.

Pod wpływem ponagleń Lindy opisała im to, co widziała w akwarium. Gdy skończyła, zapadła napięta cisza.

— To musiała być ta sama suka, którą spotkałem w korytarzu — odezwał się wreszcie Alex. — Ale nie zauważyłem, aby z jej ustami było coś nie w porządku.

— My także natknęliśmy się na kobietę — opowiedział w zamyśleniu Paul. — Dr Carol Soames — odwrócił się w stronę Buckley'a, który przysłuchiwał się wszystkiemu z bardzo niewyraźną miną.

— I co ty na to, Ed?

— Jest zarażona — wzruszył ramionami Buckley. — Feniksem. Tak, jak reszta. To rodzaj pasożyta...

— I wszyscy oprócz ciebie na tej platformie są zarażeni, czyż nie tak? — przerwał mu Paul.

— Właśnie — odparł spokojnie Amerykanin. — Już ci to mówiłem.

— Ed, gdzie oni wszyscy są? To miejsce jest zupełnie wymarłe. Od chwili naszego przybycia jesteś trzecią osobą, jaką tu spotykamy. Gdzie się ukrywają ci wszyscy zakażeni ludzie? I co właściwie mają oznaczać te sterty pustych ubrań?

Zmieszanie Buckley'a stało się jeszcze bardziej widoczne.

— To dość skomplikowane — powiedział. — Spróbuję wam to wyjaśnić, ale jak już powiedziałem, nie jestem naukowcem.

— Zrozumiemy. Zaczynaj — rzucił niecierpliwie Paul.

Lecz w tej właśnie chwili twarz młodego Buckley'a ponownie zmieniła wyraz. Zbladł wyraźnie i rozejrzał się nerwowo dookoła.

— To nadchodzi szepnął. Odwrócił się w stronę otwartych drzwi i uniósł lufę karabinu.

Paul odwrócił się także. Chociaż nie słyszał żadnego dźwięku, to jednak wyraźnie poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

— Niech wszyscy wezmą jakąś broń — polecił nerwowo Buckley. — Jeżeli władujemy w to wystarczającą ilość kul, to być może uda nam się to zabić.

— Zabić co? — zapytał Alex rozglądając się szaleńczo w poszukiwaniu broni. — Co właściwie nadchodzi?

Buckley zignorował to pytanie. Podbiegł do drzwi i sięgnął do wyłącznika światła.

— Czy wszyscy mają już broń? Chcę zgasić światło.

Za wyjątkiem siedzącej wciąż nieruchomo Rochelle wszyscy rozbiegli się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Paul ściskając w dłoniach M-16 kłęknął tuż

obok kanapy, zasłaniając sobą Lindę. Dziewczyna wciąż trzymała w dłoni rewolwer.

Nagle pokój pograżył się w ciemnościach. Skąpa poświata sączyła się jedynie przez otwarte drzwi. Buckley przebiegł przez pokój i skulił się za krzesłem, niedaleko Rochelle.

— Jest blisko, bardzo blisko — szepnął.

Lecz jedynym dźwiękiem jaki Paul słyszał, było przyśpieszone bicie jego własnego serca. Aż do bólu oczu wpatrywał się w otwarte drzwi. W każdej chwili coś miało się tam pojawić...

— Wciąż nic nie słyszę — szepnął ochryple Alex. Leżał rozciągnięty na podłodze, tuż obok przewróconego stolika. Mark i Chris skulili się w rogu pomieszczenia.

— Szszszsz — syknął Paul.

Zapadła cisza. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

— Zbliża się... zbliża się... — szeptał gorączkowo Buckley. — Musicie to zabić. Przysięgnijcie, że cokolwiek się ze mną stanie, zabijecie to. Ja i tak jestem już skończony. Wiem... że...

Paul był zbyt skoncentrowany na obserwowaniu drzwi, aby zwracać uwagę na majaczenia Buckley'a. Cały spięty, gotowy był do otwarcia natychmiastowego ognia gdy Charlie, lub cokolwiek innego, pojawi się wreszcie w oświetlonych drzwiach...

— Jest już coraz bliżej... — mruczał Buckley swym szarpającym nerwy szeptem. — Jest tutaj!

Paul podskoczył, lecz drzwi pozostały puste.

Rochelle krzyknęła.

Paul spojrzął w bok i zdrętwiał z przerażenia. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą kulił się Buckley, tkwił teraz ciemny kształt. I rósł. Miał już przeszło siedem stóp wysokości i wydawał się wciąż powiększać.

Nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Skierował

lufę M-16 w stronę ciemnego, zagadkowego kształtu. Za sobą usłyszał pełne zdumienia westchnienie Lindy gdy zobaczyła to samo, co on. Czarna postać przesunęła się lekko w bok i mdłe światło padające z korytarza oświetliło jej część. Paul w życiu nie widział niczego podobnego.

Twarz, jeżeli można to było nazwać twarzą, była długa i gładka, za wyjątkiem dwóch dużych, okrągłych oczu, które wydawały się przerażająco puste i bez życia. U podstawy „twarzy” kłębiło się rojowisko małych, czarnych macek które rozsunęły się na moment ukazując nieprawdopodobnie szeroką paszczę, pełną ostrych, trójkątnych zębów.

W tej samej chwili Paulem wstrząsnął ten sam przerażająco obcy dźwięk, który słyszał zeszłej nocy pod drzwiami swojej kabiny. A więc to był Charlie.

Miał już przeszło osiem stóp wysokości. Jego głowa nieomal dotykała sufitu. Nie miał widocznej szyi. Głowa wydawała się być osadzona bezpośrednio na maszynnych barkach, które przechodziły w parę niezwykle długich i giętkich ramion, zakończonych mackami, pomiędzy którymi błyskały ostre, zakrzywione szpony.

Rochelle, wciąż krzycząc przeraźliwie, spróbowała odczołgać się na bok. To zauważyło ją natychmiast i jedno z „ramion” wystrzeliło w jej kierunku, rzucając dziewczyną o ścianę. Uderzyła o nią z impetem i bezwładnie, jak szmaciana lalka, osunęła się prawie do stóp stwora.

To właśnie wyrwało Paula ze stanu odrętwienia. Wycelował troskliwie w głowę potwora i nacisnął spust. Gdy pociski dosięgły celu stwór wrzasnął, ale nie upadł. Zamiast tego odwrócił się i z mrozącym krew w żyłach rykiem ruszył prosto w kierunku Paula.

„Zginę!” — przemknęło mu przez głowę, lecz aż do ostatniej chwili nie wstrzymywał ognia. W końcu stwór zatrzymał się, najwidoczniej ranny.

W końcu Linda i Alex także otworzyli ogień. Mark i Chris rozpląszczyli się przy ścianie, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu. Potwór ryknął z bólu i zawrócił w stronę drzwi.

„Nie możemy pozwolić mu się stąd wydostać” — pomyślał Paul. — „To musi zginąć!” Trzymał palec na spuście dopóki nie zorientował się, że magazynek jest pusty.

Alex został zmuszony do przetoczenia się na bok aby zejść z drogi stworowi, który niestrudzenie parł w stronę drzwi. W następnej chwili stolik, pod którym leżał, został rozbity na części wściekłym uderzeniem jednego z wijących się ramion. Stwór pochylił się, przechodząc przez próg i zniknął.

Paul z trudem podniósł się na nogi. Jego całe ciało drżało z napięcia. Gdy upewnił się, że po tajemniczym stworze nie zostało śladu, zapalił światło.

— Jezusie — wyszeptał zbiełałymi wargami Alex. — Co to właściwie było?

— To był Charlie — odparł Paul. Podszedł do miejsca, w którym leżała nieprzytomna Rochelle. Linda już przy niej klęczała, sprawdzając puls.

— Żyje, lecz jest dość poważnie ranna — powiedziała.

Skinął głową. Bluzka Rochelle była cała w strzępach i na jej klatce piersiowej mógł dostrzec parę długich, wyglądających na groźne, zadrapań. Miała szczęście, że jeden z tych szponów nie podciął jej gardła.

Już wiedzieli, co porozcinało na strzępy odzież, którą znaleźli. Ale co stało się z ciałami? A te ubrania, które nie były uszkodzone? Wciąż było mnóstwo pytań, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi.

— Musimy przynieść jakąś apteczkę — powiedział Paul. — Widziałem jedną w łazience.

Podeszli do nich Mark i Chris. Chris rozglądała się nerwowo dookoła.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Gdzie podział się ten Amerykanin?

— Oni byli jednym i tym samym — odparł Paul. — Buckley po prostu stał się tym stworem.

Posłała mu spojrzenie, jakim patrzy się zazwyczaj na wariatów.

— O czym ty mówisz?

— Buckley zmienił się w Charlie'go — próbował wyjaśnić. — Pamiętasz, był kiedyś taki film, na którym dr Jekyll zmienia się w pana Hyde'a... — stracił wątek i zamilkł. Kiedy próbował ubrać to, co widział w słowa, rzeczywiście brzmiało to śmiesznie.

— To niemożliwe — upierała się Chris.

— Masz rację — powiedział i odwrócił się do niej plecami. Nie miał ochoty tracić niezbędnej energii, aby się kłócić.

— To nie jest wcale takie niemożliwe — wtrącił Mark. — To wyjaśnia to, co widziała Rochelle, co widział Alex i co widziałem ja. — Wzdrygnął się. — Przez chwilę widziałem tę kobietę na jednym z monitorów. Przypominała tę rzecz. Miała taką samą, gładką twarz. I takie same oczy. Rybie oczy...

Paul podniósł M-16, upuszczony przez Buckley'a w trakcie transformacji. Było mu zimno. Zauważył, że na podłodze nie było śladu ubrania Buckley'a. Co się z nim stało? Z wysiłkiem wziął się w garść i powiedział:

— A więc mamy tu grupę ludzi, którzy zarażeni są tym syntetycznym genem, zmieniającym ich w ośmiostopowe monstra. Ale dlaczego? — zdawał sobie sprawę, jak dużo jeszcze nie wie. Ale będzie musiał się dowiedzieć. Zależało od tego ich przetrwanie.

Gdy zaczął się zastanawiać, od czego zacząć, nagle zgasło światło.

10.

Umysł Shelley'a był kłębkim rozpacz. Wszystko układało się źle. Tracili kontrolę, a to stawało się coraz silniejsze...

Oni? Roześmiał się gorzko. W tej chwili był już praktycznie sam. Oczywiście, był jeszcze Durkins i paru innych ale wątpił, aby byli w stanie wytrwać jeszcze długo. Carol Soames była jego ostatnim, silnym sojusznikiem, lecz ona także załamała się pod wpływem postępującego stresu. Co ona właściwie chciała osiągnąć, usiłując opuścić tę platformę? Biedna dziewczyna. Nie mogła pogodzić się z faktem, że jest... martwa. A kiedy w dodatku ten głupi szczeniak usiłował ją zgwałcić. To ponownie przejęło kontrolę nad jej umysłem. W końcu umrzeć dwukrotnie, to stanowczo zbyt dużo. Ostatnia iskierka rozsądku, która aż do tej pory utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach, zgasła. Carol Soames dołączyła do pozostałych.

Shelley wciąż wyczuwał obecność innych. Tych szalonych. Tych, których umysły rozsypały się natychmiast gdy tylko zdali sobie sprawę z tego, co się z nimi stało. Ohydna rzeczywistość ich stanu wydała się im zbyt koszmarna, by mogli ją zaakceptować. Błąkali się teraz jak blade, drżące w przeraźliwym strachu duchy.

Czy on także stanie się jednym z nich? To możliwe. Jeżeli straci kontrolę nad ostatnią nicią łączącą go z rzeczywistością, jedyną drogą ucieczki pozostanie szaleństwo. Gdyby tylko mógł utrzymać to w ryzach do czasu, kiedy tym młodym uda się wreszcie opuścić to miejsce. Lecz nagła śmierć Carol skomplikowała wszystko. Shelley wiedział, że to stawało się silniejsze, coraz silniejsze.

A co gorsza, wydawało się być znacznie bardziej inteligentne. Czyżby rzeczywiście zerowało na okrucach uwiecznionych umysłów? Czyżby ci wszyscy obłą-

kani stawali się powoli częścią tego? Jakakolwiek była na to odpowiedź, dotyczyła ich wszystkich.

A szczególnie tę szóstkę młodych intruzów. Obawiał się, że już niedługo będzie w stanie ich chronić.

Paul zasiadł przed ekranem monitora. Linda przycupnęła tuż obok drzwi, trzymając na kolanach odbezpieczony M-16. W pokoju kontrolnym znajdowali się już od paru godzin. Paul był zdecydowany znaleźć tu odpowiedź, jeżeli taka w ogóle istniała, na rozgrywające się tutaj wydarzenia. Wiedział, że najprawdopodobniej nie pozostało im już wiele czasu. Co prawda generator awaryjny natychmiast przejął funkcję nieczynnego generatora głównego, ale całkowity spadek mocy był już kwestią godzin.

Paul westchnął odkładając na bok kolejną taśmę. Pełna była technicznego żargonu, którego nawet nie starał się zrozumieć. Nie miał czasu, aby przedzierać się przez skomplikowane wzory.

— Znalazłeś coś? — zapytała Linda.

— Na razie nic. Ale szukajmy dalej. Nie zostało ich już dużo, kochanie.

Ciepłym uśmiechem spróbowała dodać mu otuchy. Paul wiedział, jak dużo musiało ją to kosztować. Biedna dziewczyna. Tak bardzo potrzebowała snu.

Włożył do odtwarzacza kolejną kasetę i nacisnął przycisk. Nagle zeszywniał i z uwagą spojrzął na ekran, na którym ponownie pojawił się Shelley. Mówił coś z podnieceniem:

— „... oczywiście, to straszne, że straciliśmy troje ludzi, ale implikacje naukowe tego doświadczenia są fantastyczne. Okazało się, że osiągnęliśmy większy sukces, niż odważyliśmy się nawet przypuszczać. Pozostało nam jedynie zaprząć Feniksa do służby w organizmie człowieka...”

Shelley zniknął z ekranu zastąpiony widokiem olb-

rzymiego, pływającego w szklanym akwarium, rekina. Tuż przed zbiornikiem stała doktor Carol Soames. Uśmiechała się promiennie do operatora kamery, wydając się być bardzo z siebie zadowolona.

Ponownie rozległ się głos Shelley'a:

— „Traciliśmy już nadzieję na znalezienie takiego organizmu, który zaadaptowałby Feniksa przez wystarczająco długi okres czasu, zgodnie z naszymi zamierzeniami. W końcu doktor Soames zasugerowała, abyśmy wypróbowali Feniksa na organizmie rekina. I udało się. Feniks trwale połączył się ze strukturą DNA rekina.

Wydaje się, że przyczyna naszego sukcesu leży w unikalnej naturze całego metabolizmu rekina. Niezmieniony od milionów lat, jest zarówno niezwykle efektywny, jak i bardzo prosty. Dlatego właśnie nasz prototyp Feniksa miał mniejszy problem z przeniknięciem do jąder komórek rekina niż w przypadku innego, bardziej skomplikowanego organizmu...”

Kamera zrobiła najazd na krążącego w zbiorniku rekina. Po chwili spłaszczony łeb i uzębiona paszcza wypełniły cały ekran. Okrągłe, czarne oko wpatrywało się bezpośrednio w Paula, który poczuł, jak przenika go zimny dreszcz. Nagle zakiełkowało w nim straszliwe podejrzenie.

— „Podczas badań” — kontynuował podniecony Shelley — „Zawartość tlenu w wodzie zredukowano o około dziesięć procent. W normalnych warunkach rekin powinien już dawno zdechnąć, ale jak państwo to| doskonale widzicie, nasz obiekt nie wykazuje żadnych widocznych oznak niepokoju lub słabnięcia. Po krótkim okresie jego organizm zaadaptował się do zmie-| nionych warunków środowiska... dzięki Feniksowi!”

Kamera odjechała do tyłu, ukazując tabliczkę na jednym z boków zbiornika. Znajomy napis brzmiał: I „Carcharodon”.

Na ekranie ponownie ukazała się twarz Shelley'a.

— „Przez dziewięć dni poddawaliśmy naszego żarłacza serii rygorystycznych testów. Przeżył wszystkie. Jednak dziewiątego dnia rano dokonaliśmy zastanawiającego odkrycia.

Część testu przewidywała wstrzymanie podawania pokarmu Charliemu, jak ktoś go już nazwał. Lecz okazało się, że zupełnie nieświadomie zapoczątkowaliśmy kompletnie nieoczekiwaną linię rozwojową. Charlie wytworzył organ, pozwalający mu na opuszczenie zbiornika...

Organ ten przybrał formę szczątkowych ramion, za pomocą których wspinał się po prostu po ścianie zbiornika. Początkowo żywił się innymi okazami fauny morskiej, jakie udało nam się zgromadzić. Jednak po wyczerpaniu się tego źródła pożywienia i po bezowocnych próbach włamania się do klatek ze zwierzętami, wyruszył na poszukiwanie innych ofiar. I na całe nie szczęście znalazł...”

Kamera ukazała pusty zbiornik, a po chwili jakieś krwawe strzępy, które mogły być zarówno kobietą, jak i mężczyzną. Klatka piersiowa, w większości pozbawiona ciała i częściowo odgryziona noga leżały w kałuży krwi na podłodze jednego z korytarzy.

— Chryste! — szepnęła stojąca obok Linda. Paul był tak zaabsorbowany tym, co dzieje się na ekranie że nawet nie zauważył, kiedy podeszła.

— „Straciliśmy jeszcze trzech ludzi, zanim członkom straży udało się zapędzić Charliego do jednego z magazynów na poziomie trzecim” — kontynuował Shelley. — „Stawiał gwałtowny opór i potrzeba było aż kilkudziesięciu strażów, by go powstrzymać”.

Ekran ukazał grupę uzbrojonych mężczyzn, stojących dookoła ciemnego, rozciągniętego nieruchomo na podłodze, kształtu.

Gdy martwe ciało wypełniło ekran, Linda krzyknę-

ła ponownie. Co prawda to, co widziała różniło się I znacznie od stwora, który pojawił się w pokoju rekreacyjnym, niemniej jednak można było dostrzec pewne podobieństwo. Zresztą i tak widok był wystarczająco okropny. Ciało, które zachowywało jeszcze co prawda kształty rekina, przystosowane było już do walki o przetrwanie na łądzie. Miało dwie masywne nogi, zdolne do podtrzymywania korpusu w pozycji wyprostowanej i dwa ramiona zakończone długimi, ostrymi szponami. Ogon zniknął a głowa zmieniła swój kształt. Doskonale widoczna stała się wysunięta do przodu I dolna szczęka, a ogromne oczy przemieściły się wyżej...

Koszmarny widok zastąpiony został twarzą Shelleya.

— „Jeszcze dzisiaj osobiście przeprowadzę sekcję. Sądzę, że oczekują nas jeszcze większe rewelacje — to I jedynie pierwszy krok prowadzący do prawdziwego przełomu w nauce.”

Ekran zgasł.

Paul spojrzął na Linde.

— Przełom w nauce. Właśnie teraz świat potrzebuje czegoś takiego najbardziej — rekin ludojad, który I wyłazi na ląd, jeżeli nie zdąży załatwić się z tobą w wodzie. Czyż współczesna nauka nie jest czymś wspólnym?

Zbliżyła się do niego, a on objął ją ramionami. I Czuł, jak drży. Robiło się coraz zimniej a nie mieli wy-I starczająco dużo energii, by włączyć system ogrzewania.

Pusta taśma nie przesuwała się długo. Wkrótce na I ekranie ponownie pojawił się Shelley. Jego początkowy I entuzjazm zniknął bez śladu. Wyglądał na kompletnie I wyczerpanego.

— „Czternasty czerwca. Godzina 8.05. Minęły pra-I wie dwie doby od czasu mego ostatniego zapisu, lecz J wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin z całą pewnoś-I

cia potrafią to usprawiedliwić. Wciąż nie mogę uwierzyć, ale wydaje mi się, że przypadkowo stworzyliśmy jedną z najbardziej niebezpiecznych form życia, jakie istniały kiedykolwiek na Ziemi...

Rochelle przebudziła się z nerwowej drzemki i stwierdziła, że leży w kabinie sama. Gdzie był Alex? Miał ją przecież pilnować. Nagle przypomniała sobie — był tutaj Mark i wybuchła kłótnia. Żądał więcej heroiny, której Alex nie chciał mu dać, chyba że Mark zrobi coś w zamian. Wyszli na korytarz, aby wynegocjować warunki. Ale Rochelle doskonale wiedziała, o co tak naprawdę Alexowi chodziło. Chciał Chris.

Po tej kłótni zapadła w niespokojny sen, ale już po chwili obudził ją szybko narastający ból. Linda i Chris zrobiły dobrą robotę myjąc ją i bandażując, ale tabletki kodeiny przestawały już działać i bolało jak diabli. Nawet oddech stawał się męczarnią.

Leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit. Gdy wróci Alex, wyśle go po więcej środków przeciwbólowych. Im więcej o nim myślała, tym bardziej narastał w niej gniew. Co za sukinyń z tego Alexa. Zostawił ją tutaj samą, podczas gdy to... to... szwendać się po całej platformie. To coś, co ją zaatakowało, wciąż pozostawało w jej umyśle ciemną, mglistą plamą. Gdzieś głęboko w podświadomości czaiło się jednak przekonanie, że wszystko, co jej się wydarzyło, okaże się jedynie koszmarnym snem.

Nagle wyczuła lekkie drżenie łóżka. Przed wyjściem Alex powiedział, że na zewnątrz szaleje sztorm i fale uderzają o stalowe podpory, na których umocowana jest platforma. Przez chwilę zastanawiała się, czy są tutaj bezpieczni. Gazety często donosiły o przewróconych przez sztorm platformach na Morzu Północnym...

Ktoś ją obserwował.

Rochelle uniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Jednak w małej, dwuosobowej kabinie z pewnością nie było nikogo. Nie było tu nawet wystarczająco dużo miejsca, aby ktoś mógł się ukryć.

Uspokojona, ponownie upadła na poduszkę. Jej umysł zaczynał już płatać figle. Zresztą nic dziwnego. Nie poczuje się bezpieczna, dopóki nie zejda wreszcie z tej platformy. Zaczynała żałować, że się tu w ogóle znaleźli. Lepiej było dryfować po morzu, niż trafić w tak niegościnnie miejsce.

Zaczęła ją szczypać prawa stopa. Było to nieprzyjemne uczucie, o wiele gorsze niż zwykłe mrowienie spowodowane brakiem krążenia. Z grymasem bólu uniosła się na łokciach i spojrzała w dół.

Coś poruszało się pod kocem, tuż obok jej stóp.

Przerażona, odrzuciła koc i zamarła...

Jej prawa stopa zniknęła. Tuż poniżej nogawki dżinsów nie było nic. Po prostu puste miejsce.

Sparaliżowana grozą obserwowała, jak z wolna zanika jej noga a nogawka spodni zapada się niczym opróżniany stopniowo worek.

„Ja chyba śnię!”

Dziwaczne szczypanie przeniosło się tymczasem na lewą nogę. Dostrzegła, że cała stopa pokryta jest czarną, błyszczącą substancją, a długie pasmo takiej samej substancji wijąc się pełźnie po ścianie, by zniknąć w końcu w niewielkim otworze wentylatora. Przypomniała sobie kobietę z czarnymi, śliskimi robakami zwisającymi z ust...

Spróbowała usiąść, lecz szczypiące mrowienie sparaliżowało już biodra i dostrzegła, że jej ciało nie istnieje już poniżej talii — spodnie leżały płasko na łóżku.

Umysł Rochelle osłepiło nagłe wspomnienie znalezionych wcześniej stert pustych ubrań.

— Dobry Boże! — szepnęła. — A więc to jest prawdziwe...

Spróbowała krzyknąć, ale było już za późno. Korpus także został już zaatakowany. Po chwili bluzka zapadła się, a głowa stoczyła bezwładnie na poduszkę. Rozszerzonymi grozą oczyma wpatrywała się bezsilnie w sufit, rozpaczliwie usiłując wciągnąć powietrze do nieistniejących płuc.

A po chwili czarna substancja nasunęła się jej na oczy i światło przygasło. Szamocząca się rozpaczliwie świadomość czekała na litościwe zapomnienie.

Śmierć jednak nie nadeszła.

— „... po sekcji poszczególne organy umieszczone zostały w oddzielnych pojemnikach, a cały korpus zamknięto w lodówce...” — Shelley przerwał i chusteczką otarł twarz z potu. — „Jednak następnego ranka nie odnaleziono zarówno ciała, jak i żadnego z organów. Początkowo podejrzewałem interwencję człowieka. Może wśród nas ukrywał się szpieg, który zamierzał podać wyniki naszych badań opinii publicznej.

Lecz wkrótce odkryliśmy, że zniknęły także wszystkie zwierzęta doświadczalne. Klatki były nietknięte i puste. Przeprowadziliśmy gruntowne poszukiwania, ale nie odnaleźliśmy żadnego ze zwierząt.

A potem zaczęli zniknąć ludzie...

W przeciągu dwunastu godzin straciliśmy trzydziestu ludzi. Wyglądało na to, że po prostu zniknęli — znaleźliśmy jedynie sterty pustych ubrań, ale ani śladu ciała, jakiegokolwiek wskazówki, co się z nimi stało.

Aż wreszcie, ku naszemu powszechnemu zdumieniu, powtórnie ukazał się Charlie. Był inny niż poprzednio, znacznie większy, ale był to bez wątpienia on. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale w jakiś tajemniczy sposób powrócił do życia. Zaatakował i zabił kilku ludzi, zanim członkom ochrony ponownie udało się go

otoczyć. Tym razem zabicie go okazało się niezwykle trudne — dopiero niezliczona ilość pocisków...

Wtedy właśnie przeżyliśmy nasz największy szok. Gdy członkowie straży sprawdzali ciało, Charlie dosłownie rozpułynał się przybierając postać sporej kałuży lśniącej cieczy, która wydawała się poruszać. Zaatakowała jednego z zaskoczonych strażników i wtedy właśnie przekonaliśmy się, co dzieje się z wszystkimi zaginionymi ludźmi."

Shelley zamknął oczy i pokiwał powoli głową. Wciąż wyglądał na wstrząśniętego. Po chwili podjął dalej:

— „Ten nieszczęsny człowiek po prostu rozpuścił się na naszych oczach... był dosłownie wchłaniany przez tę ciecz. Gdy było już po wszystkim, czarna substancja w niezwykle szybkim tempie wspięła się po ścianie i zniknęła w jednym z wentylatorów."

Paul i Linda jak na komendę oderwali wzrok od ekranu i spojrzeli na wylot pojedynczego wentylatora, umieszczonego tuż pod sufitem. Chociaż miał tylko stopę szerokości nagle to, co do tej pory przypominało niewinnie wyglądającą czarną dziurę, stało się tajemnicze i groźne.

— „Moi koledzy i ja próbowaliśmy wytłumaczyć zjawisko, którego byliśmy świadkami" — mówił dalej Shelley z ekranu monitora. — „I po paru testach wydaje się, że znaleźliśmy wreszcie odpowiedź."

Wygląda na to, że genetyczny materiał Feniksa i struktura DNA rekina połączyły się w pojedynczą jednostkę o właściwościach, których nie byliśmy w stanie przewidzieć. Planowaliśmy, że Feniks umożliwi organizmowi gospodarza szybki rozwój w celu przetrwania, lecz zamiast tego otrzymaliśmy kompleks molekuli DNA i RNA które nie muszą być organizowane w jakiś sztywny system, na przykład kota czy psa, by prze-

żyć. Zamiast tego, ten unikalny system ewoluuje i adaptuje się na poziomie komórkowym.

Innymi słowy, gdy organizm konwencjonalnego zwierzęcia opisać możemy jako kolonię komórek różnych typów, których wysoko wyspecjalizowane funkcje współdziałają dla dobra całego organizmu, wychodowane przez nas stworzenie składa się z komórek w sposób natychmiastowy zmieniających swe funkcje, w zależności od warunków środowiska zewnętrznego. Zmieniają kształt i strukturę kolonii zwierzęcia w celu zapewnienia własnego, indywidualnego przetrwania!"

Shelley przerwał i uśmiechnął się smutno.

— „W tym miejscu przypomina mi się książka „Samolubny Gen”, doktora Richarda Dawkinsa. Jedną z zawartych w niej teorii głosi że wszystkie organizmy, włączając w to człowieka, są jedynie pojemnikami zapewniającymi przetrwanie genów.

A więc przy pomocy Feniksa i DNA rekina stworzyliśmy nasz własny, samolubny gen, który jest jednocześnie najstraszliwszym niebezpieczeństwem wytworzonym kiedykolwiek przez człowieka.”

Paul wcisnął guzik stopu i opadł bezwładnie na fotel.

— Mój Boże — wyszeptał.

— A więc co zrobimy? — zapytała go z niepokojem Linda.

— Sądę, że przede wszystkim powinniśmy ostrzec pozostałych. Lecz w jaki sposób ochronimy się przed czymś takim?

— A może przejrzymy resztę kaset? Być może dowiemy się jeszcze czegoś.

— Racja — mruknął Paul ponownie uruchamiając odtwarzacz. — Ale potem musimy natychmiast dołączyć do pozostałych.

Ponownie rozległ się głos Shelley'a:

— „Wydaje się, że ta jednostka posiada jeszcze in-

ne, trudniejsze nawet do pojęcia, właściwości. Mieliśmy parę potwierdzonych doniesień o osobach, które uważaliśmy za... hm... — przerwał, po raz pierwszy zastanawiając się, co powiedzieć — „Za martwych. Choć to niemożliwe, to jednak wszystko wskazuje na to, że niektóre z ofiar są przez ten organizm w pewnym sensie ponownie przywracane do życia.

Na tym etapie mogę tylko przypuszczać, lecz wydaje mi się że gdy ten stwór je, a raczej absorbuje swe ofiary, absorbuje także niejako ich materiał DNA/RNA. Pobiera go w celu rozszerzenia swych możliwości adaptacyjnych, osiągając natychmiast to, co na drodze naturalnej selekcji zajęło by miliony lat.

Lecz gdy pobiera DNA/RNA z mózgow swych ofiar, to wydaje mi się, że jednocześnie absorbuje i przechowuje ich pamięć. Jest także możliwe, że osobowość ofiary, lub jej część jest także przechowywana w obrębie tego organizmu...”

Alex wrócił do swej kabiny zły i sfrustrowany. Choć Mark desperacko potrzebował narkotyku, to jednak nie zgodził się namówić Chris na powtórne spotkanie. No cóż, już wkrótce zmieni zdanie. Gdy złapią go pierwsze drgawki, poda mu Chris na srebrnym półmisku.

Zapalił światło i oparł M-16 o ścianę. Rochelle leżała odwrócona do niego plecami, najwidoczniej śpiąc.

„Miało być mnóstwo zabawy” — pomyślał gorzko. — „Głupia dziwka. Doprowadzić się do takiego stanu...”

Miał się właśnie położyć na drugim łóżku, gdy dziewczyna nagle drgnęła i odwróciła się twarzą do niego.

— Cześć — powiedziała, odrzucając koc. Była naga za wyjątkiem bandaża, który opasywał ją tuż powyżej piersi. Uśmiechnęła się zmysłowo.

— Czekałam na ciebie.

11.

— Myślałem, że jesteś poważnie ranna — powiedział, ledwie dowierzając własnemu szczęściu.

Rochelle przeciągnęła się na łóżku, rozkładając szeroko nogi.

— Czuję się już o wiele lepiej. O wiele — powiedziała rozmarzonym głosem. — Te zadrapania nie są takie groźne. Ale tak naprawdę to potrzebuję czegoś innego...

W mózgu Alexa rozdźwięczał się nagle dzwonek alarmowy. Niejasno podejrzewał, że coś tu było nie tak. Rochelle nigdy nie zachowywała się w ten sposób, nawet wtedy, gdy chciała iść z nim do łóżka. Lecz już po chwili niepokój zastąpiony został nagłym pożądaniem. Gdy dochodziło do takich sytuacji, Alex zawsze najpierw działał, a dopiero potem zadawał pytania.

Szybkimi ruchami zaczął ściągać koszulę.

— Kochanie, twoje problemy są już skończone. Jest tutaj doktor Alex i raz dwa jego słynny skalpel znajdzie się tam, gdzie powinien.

Lecz gdy ściągał spodnie, wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie.

— Nie... nie... — wyszeptała cichym, przestraszonym głosem. — Nie chcę tego robić.

Stał nieruchomo z otwartymi głupkowato ustami, wpatrując się w nią w zdumieniu.

— Co takiego...? — wyjąkał wreszcie. — O czym ty gadasz, do diabła? — nie miał ochoty na żadne podstępne, kobiece gierki.

Wyglądała na przestraszoną — nawet na przerażoną.

— Nie chcę tego robić. Oni mi to robią, Alex. Ci szaleni. Chcą nas skrzywdzić.

Alex szybko rozejrzał się po kabinie.

— Rochelle, czyś ty kompletnie postradała zmysły? Przecież tutaj nikogo nie ma — powiedział, czując narastającą złość.

Zsunęła się z łóżka i stanęła naprzeciwko niego.

— Alex... uciekaj stąd. Uciekaj, jeżeli masz jeszcze taką szansę! — krzyknęła i ponaglająco popchnęła go w stronę drzwi. Odepchnął ją z powrotem.

— Posłuchaj, ty głupia dziwko! Nigdzie się stąd nie ruszam, rozumiesz? — rzucił ją na łóżko i usiadł na niej okraciem, ściskając boleśnie piersi.

Wyraz twarzy Ro zmienił się ponownie. Oczy nabrały wyrazu, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział. Miękkim chwytem ujęła go za nadgarstki.

— Zostań — wyszeptała.

— Zdecyduj się wreszcie — mruknął Alex, czując nawrót lekkiego niepokoju. Co tu się dzieje? I co to za cholerny smród, który nagle wypełnił kabinę?

Uśmiechnęła się do niego i wtedy zobaczył jej język. Był czarny.

— Ro, co...?

Jej język zaczął wysuwać się spomiędzy warg. Wydawał się nie mieć końca. Chciał się odsunąć, ale trzymała jego nadgarstki w niespodziewanie silnym uścisku. Spojrzał w dół i ze zdumieniem dostrzegł, że krępuje go para męskich dłoni.

Szarpnął się gwałtownie w przypiływie bezrozumnej paniki.

— Ro...? — rzucił z wysiłkiem. Gdy otworzyła usta, jej czarny język wyskoczył nagle do przodu i zanim Alex zdążył zareagować, z niezwykłą siłą wcisnęła się pomiędzy jego zęby. I wpychał się głębiej, w stronę gardła...

Krzyszcząc się, walczył jak szalenciec, lecz nie mógł uwolnić się z uchwytu Rochelle. Czarny język wciskał się coraz głębiej w jego usta. Podobny był do gigan-

tycznego, śliskiego robaka. Alex czuł, jak przesuwają się w dół przełyku, sprężyste i zimny. Taki zimny...

Przez cały ten czas nieruchome oczy Rochelle wpatrywały się w niego z niesamowitą, opętaną radością.

Chris przyłożyła ucho do piersi leżącego nieruchomo Marka. Spodziewała się, że jego serce będzie biło słabo i powoli, lecz zamiast tego szamotało się jak u wystraszonego królika.

Oczy dziewczyny zaczerwienione były od płaczu i zmęczenia. Dlaczego nie była bardziej stanowcza od samego początku? Teraz było już za późno. Nie zdawała sobie sprawy z zachodzących w nim fizycznych zmian aż do momentu, w którym znalazła fotografię przedstawiającą go miesiąc temu. Różnica w wyglądzie była dla niej szokiem.

Westchnęła. Wiedziała, że Mark potrzebuje kolejnej dawki narkotyku. Lecz tym razem Alex odmówił pomocy. I chociaż Mark nic jej nie powiedział to doskonale wiedziała, dlaczego. Po prostu Alex chciał jej ponownie. Zrobiłaby dla Marka wszystko, ale sama myśl o seksualnych perwersjach Alexa przyprawiała ją o dreszcz obrzydzenia...

Z zamyślenia wyrwało ją nagłe stukanie do drzwi. Podskoczyła i sięgnęła po leżący tuż obok łóżka karabin, gdy dobiegł ją zatroskany głos Paula:

— Mark, Chris, wszystko w porządku?

Oddechnęła z ulgą i poszła otworzyć drzwi. Lecz gdy dostrzegła wyraz twarzy stojących na progu Paula i Lindy, zachmurzyła się ponownie.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem. — Czy ten stwór wrócił?

— Nie — odparł Paul i razem z Lindą weszli do środka. — Wiemy już, co tu się właściwie dzieje. Obawiam się jednak, że nic dobrego.

Przebudzony Mark usiadł na łóżku. Wyglądał po

prostu okropnie — granatowe sińce pod oczami, a twarz ściągnięta i mokra od potu.

— Co się stało? — zapytał, gdy Paul podszedł do wentylatora umieszczonego tuż pod sufitem kabiny i wetknął w ciemny otwór końcówkę pochodni.

— Znajdźcie coś, aby to zasłonić — poinstruowała ich Linda.

— Czy dobrze się czujecie? — zapytała zaskoczona Chris.

Paul w paru słowach opowiedział, czego dowiedzieli się przeglądając taśmy video. Gdy skończył, pierwszą reakcją Chris był wybuch gwałtownego śmiechu.

— To zupełnie fantastyczne. Nie wierzę w to. Mówisz, że ta kreatura wchłania ludzi... a potem ich powiela...? — potrząsnęła bezradnie głową.

— Wiem, że to wszystko brzmi zupełnie zwariowanie — powiedział Paul. — Ale przecież widzieliśmy to na własne oczy. Przecież Buckley zamienił się w tego potwora. A gdy szliśmy za stworem, który pierwszej nocy próbował włamać się do naszej kabiny, natknęliśmy się jedynie na Shelley'a. Teraz już wiem, dlaczego. To zmieniło się w Shelley'a.

— A więc Shelley był także tym stworem? — zapytała Chris.

— Tak. I piękna doktor Soames także. Wszyscy są jednym i tym samym. Wygląda na to, że to jest coś w rodzaju genetycznego złodzieja, kradnącego ludzkie wzorce zachowań. Wszystkie są zmieszane razem, lecz od czasu do czasu jednej z ofiar udaje się wydostać na zewnątrz, być może za pomocą samej siły woli, nie wiem. A gdy to się dzieje, w jakiś sposób odtwarza się ciało ofiary. Jednak nie na długo...

— Ponieważ częścią dominującą jest ten „Charlie”? — zapytał Mark.

— Właśnie. Charlie. To chyba skrót od Carcharodon. Wielki biały rekin. Jego DNA i stworzone przez

tych cholernych naukowców geny Feniksa połączyły się, tworząc zupełnie nową kombinację. I jeżeli ona właśnie staje się formą dominującą, to albo przybiera fizyczną formę opartą na tym, czym aktualnie jest — jak ten potwór, w którego zmienił się Buckley — lub swą zwykłą postać rodzaju cieczy, która może poruszać się samodzielnie.

— Ta maź, którą widziałem w kabinie dźwigu — mruknął Mark. — Czarny śluz, który wspiął się po ścianie do... — urwał i spojrzał na wentylator, który Linda zdążyła już zatkać połamaną szafką na pościel.

— A więc to nie była halucynacja. Ale dlaczego w takim razie mnie nie zaatakowała?

— Nie wiem — przyznał Paul. — Ale wiemy już, co przytrafiło się tym wszystkim ludziom i co oznaczają sterty pustej odzieży.

— Ale dlaczego jedna część odzieży była porozdzierana i zakrwawiona, a inna zupełnie nietknięta? — zapytała Chris.

— No cóż — odparł powoli Paul. — Shelley zgadywał, że ten stwór przejawia dwa rodzaje głodu. Jeżeli przybiera swą fizyczną formę, instynkt rekina bierze górę i chce pożywiać się w sposób naturalny — po prostu napełnić brzuch — lecz kiedy przybiera formę cieczy, jest głodne w inny sposób. Wtedy głodne są indywidualne komórki. Nie potrzebują zwykłego pożywienia, lecz nowego materiału genetycznego, tego DNA/RNA, czy jak to się tam nazywa...

Chris przypomniała sobie nagle wszystkie zamknięte kabiny ze stertami ubrań. Spojrzała na szczelinę pod drzwiami jakby oczekując, że w każdej chwili wpełźnie przez nią czarna maź.

— A więc nie ma przed tym obrony, prawda? — powiedziała bezbarwnym tonem. — Kiedy zdecyduje się nas zaatakować, nic tego nie powstrzyma?

— Nie mów tak — odparował ostro Paul. — Z

pewnością możemy to pokonać. W jakiś sposób musi nam się to udać.

— Ale tym naukowcom się nie udało.

— To wzięło ich przez zaskoczenie — powiedziała szybko. — Zanim zorientowali się, co się właściwie dzieje, było już za późno. Musimy po prostu znaleźć takie pomieszczenie, do którego to nie będzie mogło się dostać. A potem będziemy czekać...

— Na co? — wtrącił Mark.

— Na pomoc. Wkrótce ktoś musi tu przybyć. Ktoś od Brinkstonea musi się już zastanawiać, dlaczego od jakiegoś czasu nie otrzymuje z platformy żadnych wiadomości. To już chyba przeszło dwa tygodnie. I muszą być przecież jakieś regularne dostawy zaopatrzenia.

— Lub nie — powiedziała Chris.

— Posłuchaj — odparł Paul, siląc się na spokój. — Nie pozostawia się dwustu ludzi samotnie na środku Morza Północnego nie zapewniając im równocześnie stałych kontaktów z lądem.

— Ale przecież oficjalnie to laboratorium nawet nie istnieje — przypomniał Mark. — Prawdopodobnie pomiędzy dostawami są dość duże przerwy, aby uniknąć ewentualnych podejrzeń.

— Nie sądzę — odparł zirytowany już Paul. — Lecz jeżeli ktoś ma jakiś lepszy pomysł, to proszę.

Jednak nikt się nie odezwał. Paul skinął z rezygnacją głową.

— No dobrze. A więc po pierwsze, musimy jak najprędzej powiadomić pozostałych. Potem spróbujemy w jakiś sposób się zorganizować. I od tej pory uważajcie na w s z y s t k o, co się porusza.

Gdy po natarczywym pukaniu do drzwi kabiny Alexa i Rochelle jedyną odpowiedzią była głucha cisza, Paul zaczął obawiać się najgorszego. Lecz w końcu drzwi otworzyły się. Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyła

Rochelle, w dodatku całkiem naga. Kolejną niespodzianką był fakt, że była sama.

— Ro, gdzie jest do diabła Alex? — zapytał, gdy tylko znalazł się w kabinie. Gdy pozostali wtłoczyli się tuż za nim, natychmiast zamknął drzwi.

— Dlaczego zostawił cię samą?

Rochelle sprawiała wrażenie lekko oszołomionej.

— Alex? — powiedziała marszcząc brwi. — Nie wiem. Wyszedł. Jeszcze nie wrócił.

Linda obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

— Ro, dlaczego jesteś rozebrana? Przecież tu jest piekielnie zimno. Powiedziałam ci, że musisz się ciepło okryć.

— Ciepło? — Rochelle popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

Linda zaczęła zbierać jej rzeczy, które leżały porozrzucone na podłodze.

— Chodź, pomogę ci — powiedziała. — Musisz wracać do łóżka.

Paul krzątał się już przy wentylatorze, blokując jego wylot.

— Wspaniale — mruknął pod nosem. — Alex samotnie szwenda się po platformie. Zasługuje, aby natknąć się na to paskudztwo.

— Życzę mu smacznego — wtrąciła ponuro Linda.

Mark miał jednak nadzieję, że z Alexem jest wszystko w porządku. Nie martwił się o niego, oczywiście, lecz przede wszystkim o heroinę. Jeżeli wkrótce nie dostanie działki...

— Mark, ty i Chris zostańcie tu razem z Ro — powiedział Paul. — A my z Lindą pójdziemy poszukać sprzętu, który może nam się przydać. Gdy wrócimy, spróbujemy zatkać tę szparę pod drzwiami.

— Jakiego sprzętu? — zapytała Chris.

— No wiesz... żywność, puszkowane owoce... i tro-

che więcej broni. Dwa domowej roboty miotacze ognia, które zostawiliśmy w kuchni.

— Czy będzie to miało jakiś sens? — zapytała powątpiewająco.

Paul odwrócił się do niej twarzą, złapał za ramiona i gwałtownie potrząsnął.

— Posłuchaj mnie, Chris! Takie gadanie w niczym nam nie pomoże. Ty być może chcesz się poddać, ale ja z pewnością nie! Zamierzam pozostać przy życiu. Linda także. A nasze szanse zwiększają się, gdy spróbujemy wszystkiego, rozumiesz?

Przestraszona tym nagłym wybuchem, potulnie skinęła głową.

— Dobrze — powiedział, puszczając ją. — A teraz niech wszyscy zostaną tutaj, dopóki nie wrócimy.

Gdy szli ostrożnie korytarzem w stronę kuchni, Linda powiedziała nagle:

— Wiesz, to, co powiedziałeś Chris było zupełnie niezłe. Mnie także prawie udało ci się przekonać. Ale czy naprawdę myślisz, że mamy jakiegokolwiek szansę?

Początkowo zamierzał skłamać, ale potem zmienił zdanie. Był już zmęczony bezustannym odgrywaniem bohatera — człowieka, który zna wszystkie odpowiedzi. Bezustanne napięcie stało się już zbyt duże. Byłoby znaczną ulgą, gdyby mógł podzielić się z Lindą wszystkimi trapiącymi go wątpliwościami. Była wystarczająco silna, aby znieść prawdę.

— Nasze szanse są równe zeru — powiedział wprost. — To coś zostało stworzone, by przetrwać za wszelką cenę. Prawdopodobnie jest niezniszczalne. Zadaptuje się do wszystkiego co napotka. Jak powiedział Shelley, jest w ciągłej ewolucji. Chyba...

— Chyba...? — podchwyciła Linda.

— Chyba, że istnieje sposób by zniszczyć to szybko, niż zdąży się zaadaptować. Dlatego uważam, że

miotacze ognia są naszą najlepszą szansą. Jeżeli spaliemy tę rzecz wystarczająco szybko, to być może nie będzie miało czasu, by wytworzyć odpowiednie środki obrony. Jest jeszcze inna możliwość. Jeżeli zaatakujemy je przy pomocy dwu niezależnych źródeł — na przykład oblejemy kwasem a potem spalimy — to być może zdąży się zaadaptować tylko do jednego źródła. Na przykład ochroni się przed kwasem, ale nie zdąży przed ogniem, lub odwrotnie...

— Może — powiedziała niepewnie. Wiedziała, o czym myśli, więc jej następne pytanie nie było dla niego niespodzianką.

— Ale ta rzecz potrafi poruszać się bardzo szybko, prawda?

— Chyba tak — powiedział szczerze, postanawiając być z nią uczciwy do końca. — Mark powiedział, że wspięła się po ścianie kabiny dźwigu dosłownie w mgnieniu oka.

— A więc wykonywanie przy niej jakichś skomplikowanych ruchów nie będzie takie proste?

— Nie, raczej nie...

W końcu weszli ostrożnie do kuchni. Wydawała się posiadać mnóstwo potencjalnych kryjówek i Paul poczuł się niezwykle odsłonięty, gdy posuwał się ostrożnie na środek pomieszczenia rozglądając się przy tym uważnie w poszukiwaniu najmniejszego choćby ruchu.

Gdy Linda podjęła obserwację, Paul sprawdził jeden z miotaczy ognia. Było to niezręczne urządzenie, składające się z bańki z benzyną połączonej ze zbiornikiem ze sprężonym powietrzem, lub innym gazem. Aparat wyglądał, jakby był w równym stopniu niebezpieczny dla użytkownika, jak i dla tego, w kogo został wycelowany. Paul nie miał jednak wyboru — postanowił jeden z nich wypróbować.

Przytaszczył go pod drzwi i przez chwilę studiował uważnie zawory, umieszczone na obydwu zbiornikach.

Przekreślił je i z długiej dyszy, którą przezornie trzymał w rękę, natychmiast zaczął wydobywać się leciutki syk gazu. Nerwowo zapalił zapałkę i przystawił ją do niewidocznego strumienia. Błysnęło i u wylotu dyszy pojawił się niebiesko-zielony płomień. Biorąc głęboki oddech, wycelował dyszę w głąb korytarza i przesunął niewielką dźwignię na szczycie zbiornika z benzyną. Długi jęzor płonącej cieczy z ogłuszającym rykiem wystrzelił na dwanaście stóp w dół korytarza. Zaskoczony Paul z rosnącą fascynacją obserwował szalejące piekło płomieni. W końcu zorientował się, że traci bezcenne paliwo i zakreślił zawór.

— Potworne — powiedziała Linda ze wstrętem. — Tylko człowiek mógł coś takiego wymyśleć.

Na korytarzu wciąż płonęły niewielkie kałuże benzyny. Gdy Paul upewnił się, że mogą przejść bezpiecznie, odwrócił się i wniósł urządzenie do środka pomieszczenia.

— Nie będziemy tego używać przeciwko ludziom — powiedział. — To, co musimy zabić, nie jest człowiekiem.

— Wiem. Lecz w pewnym sensie jest pełne uwięzionych wewnątrz siebie ludzi. Ludzi, którzy wciąż myślą i czują.

— Sądzę, że jedynie przez pewien czas. Lecz w rzeczywistości są martwi. Chyba... — urwał, nie mając odwagi na dopowiedzenie myśli, która przyszła mu właśnie do głowy.

— Chyba, że oni sami o tym nie wiedzą — dokończyła wzdrygając się Linda. — Albo nie chcą o tym wiedzieć. Są martwi, a jednocześnie w jakiś potworny sposób wciąż żywi. Są jak uwięzieni w koszmarnym czyścucu.

Dostrzegł wyzierający z jej oczu strach.

— Nie myśl o tym — uśmiechnął się słabo.

— Paul, obiecaj mi że nie pozwolisz, aby to mnie dostało.

Nie rozumiejąc początkowo, co naprawdę miała na myśli, Paul odparł szybko:

— Oczywiście. Nie dopuszczę, aby to się nawet do ciebie zbliżyło.

— Nie o to mi chodzi, Paul — potrząsnęła głową.
— Jeżeli okaże się to konieczne to chcę, abyś mnie zabił zanim to zdąży mnie pochłonać. Nie chcę stać się... częścią tego... Obiecujesz?

Spojrzał na nią i z wysiłkiem przełknął ślinę. Wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na taki krok.

— Obiecuję — skłamał, lecz widząc malującą się na jej twarzy ulgę postanowił nie mówić jej o przypuszczeniach Shelleya, że śmierć może nie być wystarczającą ochroną przed tym piekielnym stworem.

W chwilę później, gdy układała puszki na jednym ze stołów, powiedziała nagle:

— Wiesz, jest jeszcze coś, co mnie niepokoi.

— Co takiego?

— Mark. Powiedział, że ta rzecz, ta maź w dźwigu nie zaatakowała go.

— To prawda.

— No właśnie, Paul. A skąd my możemy wiedzieć, że on rzeczywiście mówi prawdę? A jeżeli to go zaatakowało? Jeżeli jest już częścią tego stwora? I przez cały czas...

— To niemożliwe — odparł Paul siląc się na spokój. — Był z nami przez cały ten czas gdy pojawił się Shelley i inni, wliczając w to naszego starego przyjaciela, Charliego.

— Paul, ale skąd my możemy wiedzieć, że ten stwór jest tylko j e d e n ?

Paul popatrzył na nią bez słowa. To było bardzo dobre pytanie.

Chris zaczynała martwić się coraz bardziej stanem Rochelle. Było coś dziwnego w sposobie, w jakim leżała — zupełnie nieruchomo, jedynie niezwykle instensywnym spojrzeniem śledząc każdy ich ruch. Mark nie zwracał na to szczególnej uwagi — był zbyt pochłonięty walką z własnym, odmawiającym posłuszeństwa ciałem — ale ona stawała się coraz bardziej niespokojna.

W końcu wstała i podeszła do łóżka.

— Ro, dlaczego nie spróbujesz troszeczkę zasnąć? Miałaś paskudny dzień. Potrzebny ci odpoczynek. Musisz... — nagle wrzasnęła przeraźliwie i odskoczyła do tyłu.

Mark zerwał się na równe nogi i złapał jeden z leżących na podłodze karabinów.

— Co się stało? Czy to jest tutaj? Gdzie?

Drżąc pod wpływem nagłego szoku, Chris z wolna wracała do siebie.

— Przepraszam — szepnęła. — Nic się nie stało. Jestem po prostu przemęczona. Zwidują mi się różne rzeczy.

— Jakie rzeczy? — Ton Marka był nadspodziewanie poważny.

Potrząsnęła bezradnie głową. Nie mogła mu tego powiedzieć, ale jeszcze przed chwilą mogłaby przysiąc, że z twarzy Rochelle wpatrywały się w nią oczy Alexa...

12.

Skurcze stawały się coraz silniejsze. Miał wrażenie, że wewnątrz jego brzucha znajdują się stalowe haki, rozdzierające wnętrzości na strzępy. Miał ochotę położyć się na podłodze i zwinąć w ciasny, wyjący z bólu kłębek, lecz zamiast tego pozostał na fotelu zgięty w pół, mocnym chwytem ramion obejmując kurczowo żołądek.

Objawy głodu narkotycznego przybierały wciąż na sile. Mark wiedział, że dające mu się we znaki spazmy mięśniowe już niedługo staną się o wiele silniejsze. Wtedy jego ciałem wstrząsać będą niekontrolowane drgawki. W końcu staną się one tak silne, że będą powodować nieświadome orgazmy. Lecz nikt nie będzie już w stanie czerpać z nich jakichkolwiek przyjemności...

Wiedział o tym wszystkim ponieważ kiedyś, jeszcze we wczesnym stadium uzależnienia, uczęszczał na kursy do klubu anonimowego narkomana. Nabyta tam wiedza przeraziła go, lecz nie zmniejszyła chęci zażywania coraz mocniejszych narkotyków. Przypominało to trochę jazdę z góry samochodem pozbawionym hamulców — wiadomo, że w końcu nastąpi nieszczęśliwy wypadek, ale nie ma sposobu, aby temu zapobiec.

Jak długo wytrzyma bez kolejnej działki? Ile czasu upłynie, zanim ostatnie, niekontrolowane konwulsje przejdą w stan głębokiej śpiączki? Nie wiedział. Zażył parę tabletek kofeiny, które, podobnie jak heroina, były pochodną opium. Jednak była to dość mizerna namiastka. Gdyby tylko ta ostatnia, dana mu przez Alexa porcja nie była taka mała. Gdyby mógł dostać jeszcze jedną...

Jęknął głośno.

- Aż tak źle? — zapytała Chris.
- Pewnie, że źle, ty kretynko — wysyczał.
- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?
- Możesz. Przynieś mi działkę. Idź i poproś o nią

Alexa.

To wszystko, co możesz dla mnie zrobić.

— Mark, nie każ mi robić czegoś takiego, proszę! — wykrzyknęła pełnym strachu głosem. — Nie mogę teraz stąd wyjść. Boję się. To coś tam czeka... A nawet gdybym znalazła Alexa, to i tak nie dałby mi więcej heroiny. Chyba że...

Mark spoglądał na nią oszołomionymi bólem oczyma.

— Jezu Chryste, ja tu umieram, dziewczyno! Nie ubędzie cię, jeżeli mu dasz. Już to przecież robiłaś. Do diabła, przecież w głębi duszy najprawdopodobniej to lubisz.

Jej oczy wypełniły się łzami. Przez moment chciała go uderzyć. Czyżby naprawdę wiedział o niej tak mało? Udało jej się jednak powściągnąć gniew. Wiedziała, że on sam nie potrafi sobie pomóc. Przypominał zwierzę, któremu tylne łapy przytrzaśnięto w pułapce. I jak zwierzę rzucał się teraz na wszystko, nawet na nią.

— A więc pójdiesz, czy nie? — zażądał prostej odpowiedzi.

Pokręciła powoli głową.

— Nie mogę, Mark.

— A więc koniec z nami. Wszystko skończone — rzucił wściekle. — Kiedy tylko się stąd wydostaniemy, nie mam już zamiaru więcej cię oglądać.

— Mark, nie możesz... Sam nie wiesz, co mówisz!

— Zamknij się — powiedział zimno. — Twój głos doprowadza mnie do szału. Już sam twój widok doprowadza mnie do szału!

— Mark... — rozpłakała się. — Przecież nie możesz mi tego zrobić...

— Heroina jest tutaj — powiedziała niespodziewanie Rochelle.

Mark i Chris równocześnie odwrócili się w jej kierunku. Siedziała wyprostowana na łóżku wpatrując się w nich tym samym, pustym spojrzeniem, które Chris zauważyła u niej już poprzednio.

— Tutaj? — wyjąkał zaskoczony Mark.

— Pod materacem — wskazała na łóżko, na którym siedziała Chris. Dziewczyna natychmiast wstała i uniosła jedną stronę materaca do góry. Leżał tam szeroki pas Alexa. Mark na jego widok wydał dziki o-

krzyk triumfu i zerwał się z krzesła. Porwał pas i zaczął gwałtownie rozdzierać parę małych, skórzanych kieszonek. W końcu na podłogę wypadło kilka plastikowych torebek zawierających biały proszek. Spoglądał na nie z wyrazem pełnej uszanowania czci, jaki widuje się jedynie na kościelnych obrazach. Chris była wstrząśnięta widząc, w jakim stopniu ten cholerny proszek zdołał nad nim zapanować.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Mark, podnosząc w górę garść torebek. — Nie sądziłem, że Alex nawet na moment spuści je z oczu.

— Weź tyle, ile potrzebujesz, a resztę schowaj lepiej z powrotem w pasie — doradziła Chris, rzucając nerwowe spojrzenie w kierunku drzwi. Jeżeli Alex wróci akurat teraz, to wołała nie myśleć, czym się to wszystko może skończyć.

— Masz rację — odparł szybko Mark. Trzy woreczki włożył do kieszeni, a pozostałe do skórzanych skrytek i ponownie wepchnął pas pod materac. Bez słowa odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

— Dokąd idziesz? — wykrzyknęła zdenerwowana Chris.

— Do naszej kabiny. Zostawiłem tam strzykawkę i całą resztę. A potem do łazienki. To nie potrwa długo — zaczął wyciągać spod drzwi wciśnięte tam koce. — Załóż je, jak tylko wyjdę.

— Mark, nie powinieneś wychodzić sam. Poczekaj, aż wrócą pozostali, wtedy Paul będzie mógł pójść razem z tobą.

— Nie! — uciał ze złością. — Nie chcę, aby Paul o tym wiedział. Ty także nic mu o tym nie mów — otworzył drzwi.

— Nie utrzymasz tego długo w sekrecie — nalegała. — Dowie się o tym prędzej czy później. Bądź rozsądny, Mark. Nie ryzykuj życia z powodu urażonej dumy.

Nawet nie odpowiedział. Cicho szcęknięty zamykane drzwi. Westchnęła i przekręciła klucz. Za wyjątkiem tego cholernego proszku nic już nie miało dla niego znaczenia — było to przerażające.

— Niech cię diabli porwą, Alex! — warknęła, wiedziała bowiem doskonale, że to z winy Alexa Mark stał się heroinistą.

Tuż za nią rozległ się chichot Alexa.

Zaskoczona, odwróciła się gwałtownie spodziewając się, że zobaczy Alexa. Ale drugą osobą w kabinie była oczywiście Rochelle. Siedziała na łóżku wciąż z tym samym, niepokojącym wyrazem twarzy.

— Boże, ale mnie przestraszyłaś — westchnęła z ulgą Chris. — Zabrzmiało to zupełnie jak ten piekielny śmiech Alexa.

Pomyślała, że chyba muszą ją już zawodzić nerwy. Najpierw wydawało się jej, że w twarzy Rochelle widzi oczy Alexa, a teraz to.

Nagle puste spojrzenie Rochelle zmieniło się gwałtownie i wykrzyknęła:

— Wyoń się stąd! Uciekaj! Uciekaj! Och nie... — jej twarz wykrzywiła się, jakby pod wpływem nagłego bólu. Po chwili zawodzić zaczęła cienkim, dziecięcym głosem:

— Nie, proszę, nie chcę wracać do tej ciemności... boję się... Pozwólcie mi zostać tutaj... O no jest tam, w dole...

Jej twarz ponownie przybrała pusty, obojętny wyraz, zupełnie, jakby opadła na nią jakaś niewidzialna maska. Zaczęła zsuwać się z łóżka.

Chris próbowała ją uspokoić.

— Już wszystko dobrze, Ro. Odpocznij. Spróbuj...

Nagle jęknęła zaskoczona, gdy Rochelle z niezwykłą siłą odepchnęła ją do tyłu.

— Ro...! — sapnęła.

Rochelle gwałtownymi ruchami zaczęła zdzierać z

siebie ubranie. Materiał z trzaskiem darł się jak papier i wkrótce została zupełnie naga. Gdy zerwała bandażę, Chris spostrzegła, że jej paskudne rany zupełnie zniknęły. Skóra była zupełnie gładka.

Rochelle spojrzała na nią oczami pełnymi nieopisanego przerażenia. Były to oczy, które wydawały się spoglądać z samego dna piekieł. Po chwili zmieniły swój wyraz. Chris poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, a serce zmienia się w sople lodu.

Tym razem nie było mowy o jakiegokolwiek pomyłce. To były oczy Alexa.

— To całkiem prawdopodobne — powiedział powoli Paul. — Rzeczywiście nie możemy być pewni, że jest tylko jeden.

Znajdowali się w jednym z laboratoriów na poziomie drugim. Paul buszował na półkach szukając odpowiedniego kwasu. Linda stała pośrodku pomieszczenia, z wyraźną niechęcią trzymając miotacz ognia. Leciutki płomień wydobywający się z dyszy w każdej chwili mógł zostać zwiększony, poprzez odpowiednie przesunięcie zaworu.

Paul zamknął kolejną szafkę i odwrócił się. Spoglądał na nią z dziwnym wyrazem twarzy, zupełnie jakby do głowy przyszła mu nagle nieprzyjemna myśl.

— Jeżeli rzeczywiście jest ich więcej niż tylko jeden — powiedział wolno. — To znaczy, że może nim być właściwie każde z nas. Na przykład ty...

— Daj spokój, Paul — rzuciła gniewnie. — Przecież wiesz...

— Wiem? A niby skąd? Nie ma możliwości, aby być tego naprawdę pewnym.

— Przez długi czas byliśmy sami — powiedziała ostrożnie Linda. — Gdybym była częścią tej rzeczy, już dawno bym cię zaatakowała. Miałam przecież mnóstwo okazji.

— Tak — odparł spoglądając na nią chytrze. — Ale przecież możesz nawet nie wiedzieć, że jesteś częścią tej istoty. Ta Soames nie wiedziała tego do samego końca. Do diabła, przecież ja także mogę tym być i nawet o tym nie wiedzieć. To zupełnie zwariowane, prawda? Być może oboje nie jesteśmy prawdziwi i może wcale nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. — Roześmiał się nerwowo.

Linda zdjęła miotacz z pleców i odstawiła go na podłogę. Gdy podeszła do Paula zdała sobie sprawę, że jego śmiech nie jest daleki od zwykłej hysterii. Chwyliła go za ramiona. Wzdrygnął się i cofnął o krok. Z przerażeniem dostrzegła w jego oczach obawę. Obawę o nią.

— Posłuchaj, Paul — powiedziała łagodnie. — To ja, Linda. Jestem prawdziwa — chwyciła go za nadgarstki i przyciągnęła do siebie. — Dotknij mnie — objęła go i pocałowała mocno w usta.

Przez chwilę nie reagował lecz w końcu wyczuła, jak opuszcza go napięcie. Objął ją i przytulił.

— Przepraszam — szepnął. — Zaczynam tracić głowę.

— Nie wolno ci — zaprotestowała zarliwie. — Potrzebujemy cię, Paul. Tylko ty możesz nas stąd wyostać. Bez ciebie bylibyśmy zupełnie bezradni...

Lecz nawet gdy to mówiła — nawet gdy czuła się bezpiecznie w jego ramionach, wciąż nie mogła pozbyć się natrętnego pytania: czy to jest naprawdę Paul?

Ciało Rochelle zmieniało swój kształt. Rozdymało się i puchło. Ramiona i klatka piersiowa stawały się większe i szersze, podczas gdy jej biust kurczył się i zapadał.

Chris nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Wiedziała co się dzieje, co już się stało, ale była dosłownie sparaliżowana grozą. Była jak królik schwy-

tany w pułapkę hipnotyzującego spojrzenia węża. Nie mogła nawet krzyczeć.

Twarz była najgorsza. Rysy roztopiały się i zmieniły jak masło na rozgrzanej patelni. Nos Rochelle stał się cieńszy i ostrzejszy. Na policzkach pojawiły się szerokie pory, a masywna broda pokryła się ciemno-granatowym zarostem. Jej włosy były milionem elektrycznych węgorków — wiły się i skręcały z sykiem, stając się jednocześnie dłuższe i ciemniejsze.

Ciało kontynuowało przemianę. Wyglądało to tak, jakby cała Rochelle drgała konwulsyjnie w jakiejś ohydnej, perwersyjnej trawestacji erotycznego tańca. Skóra drżała i pulsowała, mięśnie targane były konwulsyjnymi wręcz drgawkami — jednak żadne ludzkie mięśnie nie potrafiłyby przybrać takiego kształtu. Towarzyszył temu obrzydliwy, bulgoczący odgłos. Ciało przypominało wór wypełniony oleistą cieczą, która gwałtownie szukała dla siebie nowej formy.

Chris zamknęła oczy.

Gdy wreszcie zapadła cisza, zelektryzował ją znajomy, drwiący głos:

— Cześć Chris. Jak to dobrze, że cię znowu widzę...

Otworzyła oczy. Tak jak się tego obawiała, tuż przed nią stał Alex. Wyglądał na większego, potężniejszego niż poprzednio. Na jego lśniącym, nagim ciele prężyły się węzły mięśni. Nagle jęknęła, gdy spojrzała w dół i zobaczyła jego olbrzymią erekcję. Członek był tak absurdalnie masywny, że mógłby być karykaturą penisa, czymś, co nastolatek o chorym umyśle mógł narysować na ścianie ubikacji w szkole.

Alex posłał jej wrogi uśmiech i postąpił krok do przodu. Chris wciąż nie mogła się poruszyć.

— Alex, nie rób mi krzywdy... proszę, nie rób mi krzywdy — zdołała jedynie wyszeptać.

Odpowiedzią było uderzenie w twarz, które nie-

omal złamało jej szczękę. Upadła na plecy, uderzając głową o podłogę. W chwilę potem potężna dłoń zacisnęła się na jej bluzce i silne szarpnięcie poderwało ją na nogi. Twarz Alexa znalazła się tak blisko, że wyczuwała jego śmierdzący oddech. Spomiędzy warg wysunął się długi, czarny język, który zaczął dotykać jej ust. Szarpnęła się ze wstrętem do tyłu, ale nie była w stanie wyrwać się z uchwytu. Zauważyła jeszcze, że jego paznokcie zastąpione zostały długimi, wyglądającymi na niezwykle ostre, szponami.

Język zniknął i Alex powiedział:

— Oczywiście, że cię skrzywdzę, ty kopnięta dziwko. Rozwałę cię na dwoje tym... — poczuła, jak napiera na nią nieprawdopodobnie masywnym członkiem. — Ale to tylko na początek. Gdy skończę, pozwolę t e m u wziąć to, co jeszcze pozostanie. Skończysz tu razem ze mną. I obiecuję ci, kochanie, że nie będzie to specjalnie zabawne...

Próbowała walczyć wierząc, że dziko nogami, ale on po prostu podniósł ją i rzucił na łóżko. Uderzyła głową o poręcz i oszołomiona, leżała nieruchomo.

Alex zbliżył się do niej z zatrważającą prędkością. Wściekłym szarpnięciem rozerwał jej ubranie od szyi aż do krocza, pozostawiając na ciele długie, krwawiące rany. W następnej chwili z dziecinną łatwością rozsunął jej nogi...

Chris zamknęła oczy i zapragnęła umrzeć.

Życzeniu temu szybko stało się zadość. Pierwsze, brutalne pchnięcie Alexa rozerwało ją nieomal do połowy. W niezwykle krótkim czasie wykrwawiła się na śmierć. Alex nawet tego nie zauważył.

Paul był wściekły i nie ukrywał tego.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wrzeszczał. — A więc mówisz mi, że oni tak po prostu sobie stąd wysz-

li? Zupełnie nieuzbrojeni? I to po tym wszystkim, co im powiedziałem?

— Tak — odparła Rochelle, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Pierwszy wyszedł Mark. A za nim Chris.

— Ale dlaczego? Co mogło być tak ważne, że Mark wyszedł stąd sam?

— Mówił coś o pójściu do łazienki — powiedziała Rochelle swym dziwnym, bezbarwnym głosem.

— Wspaniale! — wykrzyknął Paul. — Od tej pory równie dobrze mogę mówić do siebie. Opowiadam, jak ten cholerny stwór może być niebezpieczny, a Mark spokojnie idzie się wysikać. Poddaję się — usiadł ciężko na łóżku.

— Ostrożnie — ostrzegła go Linda. Sortowała właśnie przyniesione z kuchni zapasy, a butelkę znalezionej przez Paula kwasu postawiła obok jednej z nóg łóżka. Przesunęła ją dalej.

— Jak długo ich już nie ma? — zapytał Rochelle.

— Nie wiem — odpowiedziała marszcząc brwi.

Ale chyba niedługo — położyła się na plecach i zamknęła oczy. Paul spojrzął na nią z troską. Widać było wyraźnie, że jest zupełnie wyczerpana. Spotkanie z tym stworem musiało ją wstrząsnąć na tyle głęboko, że jej umysł wciąż nie potrafił wydobyć się z odrętwienia. Nawet jej nie winił — sam miał ochotę wpełznąć w jakieś bezpieczne miejsce i zwinąć w kłębek oczekiwać na pomoc.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Linda. — Najpierw znika gdzieś Alex, a potem Mark i Chris. A Alex jeszcze nie wrócił...

Paul wziął głęboki oddech.

— Myślę, że możemy skreślić Alexa. Jestem dziwnie pewien, że to coś musiało go już dopaść. — Nagle zeszytniał, słysząc za drzwiami jakiś odgłos. Skinął na Lindę, by podała mu M-16...

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Hej Chris, Ro... to ja. Otwórzcie.

Był to Mark. Paul wstał i nie wypuszczając z dłoni karabinu, poszedł otworzyć drzwi.

Zaledwie wszedł natychmiast stało się jasne, że coś jest z nim nie w porządku. Uśmiechał się głupkowato i sprawiał wrażenie, jakby nie dbał o cały świat.

— Cześć, ludzie — powiedział. Rozejrzał się dookoła i zapytał:

— A gdzie Chris?

— Nie ma jej z tobą? — odpowiedział pytaniem Paul.

— Ze mną? Nie. Nie widziałem jej, odkąd stąd wyszedłem — usiadł na krześle wpatrując się w coś rozmarzonym wzrokiem.

— Widziałeś Alexa?

— Nie.

— A jakiś ślad tego stwora? — nalegał Paul.

— Nie, ani śladu...

Paul podniósł lufę M-16 i skierował jej wylot prosto w głowę Marka.

— Jeżeli w ciągu trzydziestu sekund nie udowodnisz mi, że nie jesteś tym stworem, odstrzelę ci głowę.

Mark uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Przestań pieprzyć, człowieku.

Paul nacisnął spust. W zamkniętym pomieszczeniu terkot karabinu zabrzmiał niezwykle głośno. Mark wrzasnął, gdy kule z gorącym świstem przeleciały tuż obok jego głowy, a jedna z nich oderwała koniuszek prawego ucha.

— Następną serią pójdzie prosto w twoje czoło — zapewnił go spokojnie Paul.

Uśmiech znikł z twarzy Marka jak zdmuchnięty. Złapał się za ranione ucho, z którego krew skapywała zaczęła aż na szyję. Za nim w ścianie widniały trzy niewielkie, dymiące otwory.

— Chryste, zwariowałeś?

— Zostało ci jeszcze piętnaście sekund — warknął Paul a następnie, nie odwracając głowy, rzucił pod adresem Lindy:

— Przygotuj miotacz ognia. Zapal dyszę tak, jak ci to pokazywałem. Gdy go zastrzelę, musisz podpalić ciało zanim zdąży się przemienić.

— Nie jestem tą rzeczą! — wrzasnął przerażony już nie na żarty Mark. — Przysięgam! To ja! Na miłość Boską, uwierz mi, Paul!

— Nie. Nie wierzę ci — odparł zimno Paul. — Prawdziwy Mark nie zachowywałby się tak beztrosko, gdybym mu powiedział, że Chris wyszła stąd sama. Prawdziwy Mark byłby zdenerwowany i zmartwiony. Wyszedłby, aby ją poszukać, a nie siedziałby z przyklejonym do twarzy głupawym uśmiechem.

— Poczekaj! Nie strzelaj! — Mark podniósł w obronnym geście rękę, zasłaniając sobie nimi twarz. — To z powodu tego świństwa, które właśnie wziętem! Ja wziętem właśnie działkę, Paul, kolejną działkę!

Paul miał już nacisnąć spust, lecz w ostatniej chwili zawahał się.

— O czym ty mówisz, u licha? Jaka działka?

Mark podciągnął w górę rękawy koszuli i pokazał mu wewnętrzne strony swych przedramion. Na obu widniało mnóstwo śladów po ukłuciach igły. Niektóre były stare, zabliznione, lecz niektóre całkiem świeże. A z jednego z nich, otoczonego granatowym siniakiem, wciąż sączyła się krew. Paul wpatrywał się w to ze zdumieniem.

— Co, do diabła... — zaczął.

— Heroina, Paul. To heroina. Alex ją miał. Nie strzelaj, na rany Boskie! — powiedział szybko Mark. — Jestem nałogowcem. Właściwie, to byłem nim już od miesięcy. Sam mówiłeś, że wyglądam na chorego. To jest właśnie ten powód. Musisz mi uwierzyć — od-

wrócił się w stronę Rochelle. — Ro, powiedz mi, że mówię prawdę. Proszę cię, Ro.

Paul opuścił lufę karabinu i spojrzął na Rochelle. Leżała bez ruchu i obserwowała całą tę scenę tak beznamiętnym wzrokiem, że równie dobrze mogłaby patrzeć w telewizor.

— Tak. To prawda — przyznała w końcu obojętnie.

Mark opowiedział Paulowi i Lindzie o jego cichej umowie z Alexem, co do przesmuglowania czystej heroiny do Wielkiej Brytanii. Gdy skończył, Paul był więcej, niż wściekły.

— Być może powinienem cię jednak zastrzelić — powiedział drżącym z zimnej pasji głosem. — Ty cholerny idioto. Wiesz, co myślę na temat heroiny. W dodatku wystawiłeś mnie i Lindę na niewyobrażalne wprost ryzyko. Gdyby złapała nas straż graniczna, oboje dostalibyśmy od piętnastu do dwudziestu lat za coś, o czym nie mieliśmy pojęcia. Przypuszczam, że wtedy powiedziałaśbyś przynajmniej, jak bardzo ci przykro.

Mark chrząknął z zakłopotaniem.

— Do diabła, jest mi naprawdę przykro, Paul. Ale ty nie wiesz, co to znaczy być uzależnionym. Nie mogłem mu odmówić. Musiałem robić to, co mi kazał.

— Jasne, musiałeś — odparł cierpko Paul. — Chodźmy poszukać Chris. I możesz mieć jedynie nadzieję, że nie jest już za późno. — Odwrócił się w stronę Lindy. — Zostaniesz razem z Ro?

Linda zawahała się na moment.

— A nie moglibyśmy pójść wszyscy razem?

— Nie sądzę, abym zaszła daleko — wtrąciła cicho Rochelle. — Gdy wstaję, kręci mi się w głowie.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli zostaniesz w łóżku — powiedział Paul. — Postaramy się wrócić jak najszybciej. Zostawiam wam miotacz ognia. Wezmę

drugi, a wy upewnijcie się, że wszystko jest pozamykane. Będziecie tu całkowicie bezpieczne.

— Dobrze — odparła Linda z wyraźnym wahaniem w głosie. Nie chciała być oddzielona od Paula. Miała niejasne przeczucie że gdy nie będą razem, z pewnością wydarzy się coś strasznego.

Paul dostrzegł malujący się na jej twarzy niepokój. Podeszedł do Lindy i pocałował czule.

— Rozchmurz się. Wszystko będzie dobrze.

Nikt nie zauważył dziwnego uśmiechu, jaki wykrzywił wargi Rochelle.

13.

— A niech to wszyscy diabli! — mruknęła ze złością Linda.

Światło, które od paru już minut wyraźnie ciemniało, nagle zgasło. Mogło to oznaczać wyłącznie jedno — wysiadł generator awaryjny. Oznaczało to także, że Paul i Mark błąkają się teraz gdzieś w ciemnościach. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Paul zabrał ze sobą jedną z pochodni...

Zaczęła szukać dookoła w poszukiwaniu własnej pochodni, którą zrobiła, gdy tylko światło zaczęło przygasać. Nagle dobiegł ją dziwny dźwięk, który wydawał się dochodzić od strony łóżka Rochelle. Brzmiało to tak, jakby miała konwulsje.

— Ro! — wykrzyknęła. — Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Jedyną odpowiedzią był nasilający się, bulgocący dźwięk. Odnalazła wreszcie pochodnię i zapaliła ją. Rochelle leżała z twarzą zwróconą w kierunku ściany, lecz całe jej ciało pod kocem gwałtownie drgało. Zaalarmowana Linda wstała i miała już podejść do łóżka, gdy nagle Rochelle odwróciła się i spojrzała prosto na nią.

Linda zamarła. Na łóżku, doskonale widoczny w świetle pochodni, leżał Alex.

Odrzucił koc i wstał. Ubranie Rochelle wisiało na nim w strzępach, lecz już po chwili na jej oczach zaczęło wtapiać się w skórę i w końcu zniknęło, jak kropla wody rzucona na rozpaloną płytę.

Dopiero teraz dostrzegła jego gigantyczny, sterczący członek. Był wielkości dziecięcego ramienia.

— Witaj Lindo. Od dawna czekałem na tę chwilę — jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z wnętrza pustej beczki.

Całą siłą woli zmusiła się do zachowania spokoju. Wiedziała, że jeżeli wpadnie w panikę, zginie.

— Cześć, Alex — odparła lekko drżącym głosem. — Ja nie mogę powiedzieć cię się, że cię widzę. Skąd ty się tutaj właściwie wziąłeś? — zapytała, chociaż doskonale znała odpowiedź. Był tutaj przez cały czas. Jako Rochelle. Przez chwilę zastanawiała się, kiedy ta rzecz ją dopadła. I co się stało z Chris?

Alex wciąż stał, uśmiechając się złośliwie. Zauważyła, że był wyższy niż poprzednio. Masywniejszy. Nie mogła powstrzymać się od spojrzenia na jego masywny członek, zaintrygowana i przerażona jednocześnie.

— Imponujący widok, prawda? — zapytał przewracając dziko oczami.

— Zawsze byłeś dużym kutasem, Alex. Teraz jesteś po prostu jeszcze większym.

— Nie zagaduj mnie — zaczął powoli zbliżać się w jej kierunku. — Wiem przecież, że pod całą tą gadką kryje się jedynie kupa wystraszonego gówna, prawda?

Odskoczyła do tyłu.

— Nie zbliżaj się, Alex. Ostrzegam cię.

— Jasne — uśmiechnął się szeroko. — Ostrzegasz mnie przed czym, ty suko? Jesteś bezradna i doskonale o tym wiesz.

Postąpiła kolejny krok do tyłu próbując trzymać[^]

się od niego najdalej, jak to tylko było możliwe. Co powinna teraz zrobić? Jej umysł był szalonym kłębkim chaotycznych myśli. Rozważała szanse na dopadnięcie drzwi. Czy zdąży przekręcić klucz, zanim ją złapie? Nie. To niemożliwe.

Postanowiła spróbować zachowywać się naturalnie, zyskując w ten sposób na czasie.

— Kiedy właściwie ty... ta rzecz... dostało się do Ro, Alex?

— Było akurat odwrotnie — jego twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas. — To ona dostała mnie — w jego oczach pojawił się wyraźny błysk strachu, jakby rozpamiętywał coś zbyt strasznego, aby o tym pamiętać. Jednak już po chwili na jego usta powrócił szyderczy grymas.

— Chcesz z nią pogadać? Jest gdzieś tutaj. Pieprzona histeryczka... Nie zaadaptowała się tak, jak ja — zachichotał.

— Pewnie, że chciałabym z nią porozmawiać — powiedziała Linda, wciąż przesuając się w bok. Cokolwiek, aby opóźnić to, co nieuniknione.

Nagle usłyszała głos Rochelle:

— Linda? Czy to ty? Pomóż mi, Lindo! POMÓŻ MI! — głos przeszedł w krzyk a po chwili zmienił się w łamiący serce, pełen rozpaczyny szloch który sprawił, że Linda miała ochotę rozpłakać się sama.

— Postaram ci się pomóc, Ro — wyszeptała, chociaż czuła, jak ze zgrozy jeżą jej się włosy. — Zabierzemy cię do szpitala. Wszystko będzie dobrze, Ro. Ale musisz wypuścić stamtąd Alexa. Przynajmniej na chwilę. Czy możesz to zrobić, Ro?

— Nie. Nie może, suka — powiedział Alex. Wrócił.

Linda ponownie oblała się zimnym potem. Musi coś zrobić. I to natychmiast. Krażyli wciąż dookoła siebie, lecz przez cały czas Alex zbliżał się nieznacznie w jej kierunku. Wiedziała, że to już nie potrwa długo...

Nagle przypomniała sobie o miotaczu ognia. Lecz w tej chwili był bezużyteczny. Musiałaby zapalić gaz a wiedziała, że nie ma na to wystarczająco dużo czasu. A może udałoby się złapać jeden z karabinów? Ale gdzie one są? Było tak ciemno...

„Spokojnie, tylko spokojnie” — nakazała sobie w duchu.

— A co z Chris? — zapytała, siląc się na spokój. Gardło miała tak wysuszone, że z ledwością mogła mówić.

— Jest tutaj. A przynajmniej jej część. Jakieś wspomnienia. Myśli. Była już martwa, gdy ją wziąłem. To oznacza, że jej osobowość nie dostała się tutaj bez szwanku. Ale twoja będzie nienaruszona, kochanie. Zamierzam zachować cię przy życiu aż do samego końca...

Zmusiła się do rozpaczliwego uśmiechu.

— Z nikim się nie chcesz dzielić, prawda, Alex? To cały ty — powiedziała, chociaż wszystko wewnątrz jej było jednym, pełnym przerażenia krzykiem.

— Jesteś zadziwiająco spokojna, Lindo. Muszę ci to przyznać — w jego głosie zabrzmiało coś na kształt niechętnego podziwu. — Ale zawsze taka byłaś. Zimna suka. W głębi duszy zawsze uważałaś się za coś lepszego ode mnie, prawda?

Rzucił się na nią, gdy była kompletnie nieprzygotowana. Złapał ją za gardło jedną ze swych ogromnych dłoni i cisnął nią w kąt kabiny.

— Ale już nie jesteś lepsza, prawda? — syknął.

— Nie, Alex... — odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. Spróbowała uderzyć go pochodnią, lecz z niezwyczajną łatwością złapał ją za nadgarstek.

— No właśnie — parsknął. — Spodziewałem się, * zrobisz coś takiego. — Przyniósł się do niej bliżej. Owiał ją jego cuchnący oddech, zrobiło się jej niedobrze. — Wciąż nie zapomniałem, jak uderzyłaś mnie

wczoraj tym rewolwerem — wzmocnił ucisk na jej gardle i zaczął ją wlec w stronę jednego z łóżek. — Teraz moja kolej.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytała, nie starając się już ukryć przeraźliwego strachu.

Przyparł ją do łóżka.

— To ty coś zrobisz, kochanie. Ustaw pochodnię tak, by światło padało prosto na mnie. Nie chcę, abyś cokolwiek straciła z czekającego cię widowiska. A teraz na kolana.

Wiedziała, co mu chodzi po głowie. Przypomniała sobie wszystko' to, co mówiła jej kiedyś Rochelle na temat spaczonych gustów Alexa.

Gdy już uklękła, zapytała:

— Nie wiem, czy uda mi się to zrobić, Alex. Jesteś zbyt duży. Nie wiem, czy uda mi się otworzyć tak szeroko usta... — Lepiej się postaraj. Jak chcesz, mogę ci rozerwać szczękę, aby ci to ułatwić.

Wiedziała, że nie żartuje.

— Spróbuję... — powiedziała drżącym głosem. — Spróbuję...

Dotknęła jego nogi. Skóra była szorstka, sucha i bardzo zimna. Nieludzka. Jednocześnie prawą ręką zaczęła szukać na podłodze czegoś innego.

— Pośpiesz się — polecił.

Gdy otwierała usta, jej dłoń ostrożnie wyjęła z butelki szklany korek. Zerwała się na równe nogi, oblewając mu kwasem twarz. Jedna z kropli trafiła na grzbiet jej dłoni, powodując eksplozję ognistego bólu.

Alex odskoczył do tyłu, obie dłonie przyciskając kurczowo do twarzy. Krzyknął wysoko, przeraźliwie i Linda wiedziała, że trafiła dobrze. Prosto w oczy...

Rzuciła się w kierunku drzwi. Gdy przebiegała obok niego, ostrymi jak brzytwa szponami przejechał jej po plecach. Wrzasnęła z bólu i odskoczyła na bok,

ale było już za późno. Alex pełną garścią złapał ją za bluzkę i ponownie zaczął przyciągać do siebie.

Wrzeszcząc, szamotała się jak złapana na haczyk ryba. Nagle materiał bluzki puścił i wpadła z impetem na ścianę. Cudem uniknęła ciosu, który niewątpliwie złamałby jej kark i opadając na kolana, spróbowała prześliznąć się obok niego po raz drugi.

Tym razem się udało. Podniosła się i pobiegła w stronę drzwi. Zaczęła szukać rozpaczliwie klamki. Wydawało się jej że minęły wieki, zanim ją odnalazła. Przekręciła klucz...

Ponownie krzyknęła z bólu, gdy szpony zatopiły się w jej prawym ramieniu. Poczowała, jak coś z niesamowitą siłą podnosi ją do góry i jak worek ziemniaków ciska przez całą długość kabiny. Gdy uderzyła z impetem o przeciwległą ścianę, w prawym ramieniu poczuła przeszywający ból. Natychmiast zdała sobie sprawę, że ręka jest złamana.

Osunęła się bezwładnie na podłogę i znieruchomiała, oszołomiona i bezbronna. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy Alex podszedł i stanął tuż nad nią. W przyćmionym świetle dostrzegła, że jego twarz jest potwornie poparzona kwasem. Oczy zostały wypalone, lecz nagle na czole Alexa otworzyło się trzecie, szczytkowe oko, które wpatrywało się w nią beznamiętnie.

— Cholerna suka — mruknął. — Zedrę z ciebie pasami skórę i zmuszę, abys ją zjadła — schylił się, wyciągając w jej kierunku swe olbrzymie dłonie. Opowiadała ją ponura rezygnacja. Prawie jej się udało, ale teraz...

Zupełnie nieoczekiwanie targnął się wstecz. Wydawał z siebie dziwny, zawodzący dźwięk, zupełnie jak przestraszone śmiertelnie dziecko. Po chwili upadł tuż przed nią na kolana i wykrzyknął:

— Boże, to wraca! Jest tutaj... to boli... Nie! Zjada mnie! Zjada mój umysł!

Wrzasnął przeraźliwie i zakrył zrujnowaną twarz dłońmi. Linda dostrzegła, że jego ciało zaczyna pulsować, zupełnie jakby coś z wnętrza usiłowało wydostać się na zewnątrz...

Opuścił ręce i jego pojedyncze oko spojrzało na nią ponaglająco.

— Pomóż mi, Linda! Nie pozwól, aby to wciągnęło mnie tam z powrotem! Chcę zostać tutaj! Chryste, to rozdziera mnie na kawałki..!

Jego twarz zaczęła się zmieniać. Usta zamknęły się i znikły, tak samo jak i oko, a głowa stawała się większa i smuklejsza. Czy chciał tego czy nie, Alex odszedł.

Linda spróbowała wykorzystać nadarzającą się okazję. Ta rzecz była teraz ślepa i najprawdopodobniej głucha, więc podniosła się na czworaki i zaczęła pełznąć w kierunku drzwi. Poruszanie się jednak było dla niej torturą — ciało wydawało się zupełnie nie słuchać jej poleceń a prawe ramię pulsowało gorącym, tęnym bólem.

W końcu dotarła do drzwi i wstała. Zakręciło jej się w głowie i odniosła wrażenie, że za chwilę upadnie. „Weź się w garść, albo już jesteś martwa!” — pomyślała ze złością.

Rzuciła szybkie spojrzenie do tyłu i dostrzegła, że nie pozostał już żaden ślad Alexa. Stwór przypominał teraz ogromny zarodek, w kształcie- ryby. Skóra była biała i wyglądała na wilgotną i śliską. Głowa długa, bardzo wąska i kompletnie gładka za wyjątkiem dwóch dużych, okrągłych, rybich oczu...

Oczy. To miało oczy, które patrzyły prosto na nią. Zaczęło się podnosić.

Linda wrzasnęła i naparła desperacko na drzwi. Pod wpływem paniki zapomniała, że otwierają się do wewnątrz.

W końcu wydostała się z kabiny. W ucieczce po życie rzuciła się w ciemność korytarza nie dbając, dokąd

właściwie biegnie, chcąc jedynie jak najszybciej oddalić się od tej istoty.

Wciąż biegła, próbując ignorować eksplozję bólu w prawym ramieniu. Nagle zderzyła się ze ścianą na pierwszym zakręcie korytarza.

Odbiła się od niej i upadła na podłogę. Paraliżujący ból nieomal odbierał zmysły.

„Idiotko!” — warknęła wściekle pod własnym adresem. Podniosła się na nogi zaciskając z bólu zęby, gdy dwie końcówki złamanej kości ocierały się o siebie. Gdzieś za sobą, w ciemnościach usłyszała nagle dziwny, płaszczący dźwięk. Zupełnie, jakby ktoś usiłował biec w kapciach...

Linda wiedziała, że to posuwało się w ślad za nią.

Rzuciła się na oślep przed siebie nie dbając, czy biegnie we właściwym kierunku. Wiedziała jedynie, że to sunie bezpośrednio w jej stronę. Wiedziała także, że gdyby to ją teraz dotknęło, to natychmiast dostałaby pomieszczenia zmysłów.

To jednak wciąż pozostawało z tyłu. Linda słyszała za sobą mokre plaśnięcia o podłogę.

Biegąc, trzymała przed sobą wyciągnięte lewe ramię — nie chciała ponownie zetknąć się boleśnie z jakąś ścianą. Gdyby się teraz przewróciła, to pochwyciłoby ją, zanim udałoby się jej powstać na nogi.

Biegła i biegła. Przy każdym oddechu płuca paliły ją żywym ogniem. W ciemnościach pojawiły się tańczące plamy światła. Jak długo będzie jeszcze w stanie biec, zanim padnie z wyczerpania? Czy kiedykolwiek nastąpi koniec tego koszmaru? A może jest już martwa i biega w kółko po piekle? Być może kiedy jacht zatonał wszyscy zginęli, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

Jedno ze świateł tańczących tuż przed jej oczami stało się nagle jaśniejsze. Zaskoczona zatrzymała się,

mrugając intensywnie powiekami... Za sobą słyszała mlaszczący dźwięk zbliżającego się wciąż potwora.

Nagle dobiegł ją wysoki, nagły głos:

— Linda! Tędy! Szybko!

Był to głos Paula.

Rzuciła się do przodu. W ciemnościach ktoś złapał ją za ramiona i przycisnął do ściany. W uszy uderzył ją ogłuszający ryk. Odwróciła się i dostrzegła Paula, kierującego bluzgającą ogniem dyszę w stronę zbliżającego się potwora. Jęzor ognia — tak jaskrawy, że patrzenie na niego bezpośrednio stawało się niemożliwe — pomknął w głąb korytarza i owinał się dookoła ścigającego ją prześladowcy.

Przez chwilę wydawało się jej że stwór wciąż idzie, ale po paru krokach zatrzymał się i wydał przeraźliwie wysoki, odbierający zmysły dźwięk — przypominało to wrzaski palonych żywcem ludzi.

Paul bez przerwy utrzymywał potwora w piekle płynnego ognia. Cały korpus płonął już jaskrawym płomieniem, a białe mięso zwijało się od żaru, wydzielając ohydny smród...

Przenikliwy dźwięk stał się jeszcze przeraźliwszy, a po chwili stwór odwrócił się i próbował uciec. Nie odbiegł jednak daleko. Po paru krokach przewrócił się i leżał drgając, podczas gdy płomienie stawały się coraz wyższe. W końcu znieruchomiał, a dźwięk zamarł.

Ten, który przez cały ten czas trzymał ją w silnym uścisku, wykrzyknął:

— Nie żyje! Dostaliśmy to! — zorientowała się, że był to Mark. Puścił ją i podszedł do Paula. Gdy ten wyłączył wreszcie miotacz, Mark podniósł pochodnię wyżej oświetlając poczerwiałe resztki potwora.

„Nie podchodź bliżej! To żyje! To tylko sztuczka!” — chciała wykrzyknąć Linda, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Oparła się bezwładnie o ścianę i próbowała zwalczyć falę znużenia, która zalewała jej umysł.

— Uważaj... to się rusza! — ostrzegł nagle Paul. Obaj mężczyźni odskoczyli do tyłu. Lecz stwór nie poruszał się w żadnym określonym kierunku, jak się tego obawiała Linda, lecz drżał i bulgotał — zapadając się w siebie.

Cała trójka obserwowała w niemym zdumieniu, jak spalone ciało rozpuszcza się i zmienia w kałużę czarnej mazi, sycząc przy tym jak przebita dętka. Nagle mąż zaczęła się poruszać...

Ruszyła prosto na nich.

Paul ponownie uruchomił miotacz. Płonący jezor zalał poruszający się horror. To coś zatrzymało się, ale nie płonęło. W końcu uformowało długi wąż, który wijąc się zaczął pełznąć po podłodze, oddalając się w głąb korytarza. Wkrótce roztopił się w ciemnościach.

— No cóż, przynajmniej daliśmy temu czemuś do myślenia — powiedział słabo Paul. — Oświetlaj podłogę, Mark, to może jeszcze wrócić — wyłączył miotacz i odwrócił się ku dziewczynie. — Nic ci nie jest? Co się stało? Gdzie pozostali?

— W piekle — odparła słabo Linda. Zaczęła osuwać się na podłogę i była to ostatnia rzecz, jaką pamiętała.

14.

Shelley unosił się tuż nad dnem nieskończonego obszaru czarnej pustki. Ukrywał się. To go szukało.

Shelley wiedział, że jego szanse na przeżycie kurczą się zastrasząco szybko. Wszyscy już odeszli. Pozostał sam.

To, w swym rozwoju, wspięło się na niepokojąco wysoki poziom. Tak jak się tego obawiał, rzeczywiście wchłaniało osobowość swych ofiar w taki sam sposób, w jaki przejmowało ciała. I podczas tego procesu stawało się coraz bardziej inteligentne. Używało doświad-

czeń swych ofiar, ich myśli i wspomnień, by budować nową świadomość wokół prymitywnego umysłu rekina. W jakiś niezrozumiały sposób DNA/RNA Feniksa łączyło czystą inteligencję z niesamowitą wprost zdolnością adaptacyjną...

A w dodatku ta inteligencja była bez wątpienia zła. Jako naukowiec, Shelley nie cierpiał określenia „zły”, ale w tym wypadku nie miał wyboru. Była już wystarczająco zła mając w sobie jedynie prymitywną umysłowość rekina — samą w sobie wrogo nastawioną przeciwieństwu do otoczenia — lecz dopiero świadomość Alexa wniosła z sobą pierwiastek czystego zła do ewoluującej wciąż inteligencji...

Shelley wzdrygnął się przypominając sobie rzeczy które wyrabiał Alex, gdy przez krótki jedynie okres miał kontrolę nad grupowym ciałem. Ta biedna dziewczyna... Shelley wszedł przypadkowo w kontakt z umysłem Alexa i stwierdził, że jest wprost niewyobrażalnie odrażający. Pełen był bezrozumnej nienawiści i pragnień zadawania bólu dla samej przyjemności. Być może i miał trudne dzieciństwo, ale dla Shelleya było zupełnie przerażające, że istota ludzka może nawet myśleć w ten sposób.

Jednak najbardziej przerażała go myśl o wchłonięciu przez ten organizm. Wtedy on także stanie się częścią tego kotła wrzących bezustannie emocji. A Alex stanie się częścią jego...

Gdy Linda ocknęła się spostrzegła, że znajduje się w kuchni. Leżała na rozłożonym na stole materacu. W różnych punktach pomieszczenia jasnym płomieniem paliły się lampy naftowe, ale jak na jej gust było stanowczo za ciemno. I zimno. Lodowato zimno...

Paul pomógł jej usiąść. Chociaż ramię miała ciasno owinięte bandażem, bolało jak diabli. Bolały także plecy, które Alex poranił jej swymi szponami.

— Jak się czujesz? — zapytał Paul.

— Kiepsko. Moje ramię...

Wręczył jej parę tabletek i szklanę soku.

— Środki przeciwbólowe. Weź je. Nastawiłem *cif* ramię najlepiej jak potrafiłem ale obawiam się, że po zejściu na ląd będziesz musiała dać je nastawić ponownie.

Posłusznie przełknęła pigułki popijając je sokiem. Zwróciła uwagę na sposób, w jaki powiedział: „Po zejściu na ląd”. Zabrzmiało to tak, jakby nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Kochany, stary Paul. Wciąż taki krzepiąco pewny siebie. Mark, jak zauważyła, wyglądał na zupełnie załamane. Siedział w pobliżu trzymając obok siebie miotacz ognia i próbował rozglądać się we wszystkich kierunkach równocześnie.

— Ten stwór...? — zapytała słabo.

— Nie widziałem go od chwili bitwy na korytarzu!

— odpowiedział jej Paul. — Ale gdy tylko poczujesz się na tyle dobrze, aby chodźć, wyjdziemy stąd. Zdecydowaliśmy, że pójdziemy na dach. Na zewnątrz jest wciąż jeszcze sztorm, ale będę czuł się znacznie bezpieczniejszy na otwartej przestrzeni. Są tam także generatory. Być może uda nam się nawet jeden z nich uruchomić, jeżeli znajdziemy odpowiednią ilość paliwa, i

— Jestem gotowa — powiedziała stanowczo. Lecz gdy pomógł jej wstać musiała się go z całej siły uchwycić. Nagły zawrót głowy sprawił, że wydało się jej, że pada. — No, może jeszcze nie w tej chwili... — zachwiała się na nogach.

Paul pomógł jej podejść do krzesła.

— Odpocznij chwilę, a potem spróbujemy jeszcze raz — powiedział. — A tymczasem mogłabyś nam opowiedzieć, co stało się z pozostałymi.

— To ich dostało... — zaczęła, ale przerwał jej na głośny okrzyk Marka:

— Nie! Nie wierzę w to! To nie mogło dostać!

Chris! — zerwa! się na równe nogi i podszedł do Lindy, zostawiając na podłodze miotacz. — Wiem, że niej nie jest. Zgubiła się gdzieś, to wszystko. Musimy ją odnaleźć...

Paul schwycił go za koszulę i potrząsnął.

— Posłuchaj, głupcze! Wracaj i zajmij się tym cholernym miotaczem — powiedział szorstko. — Wydawało mi się, że stoisz na warcie. Taka właśnie głupota powoduje, że ta rzecz chwyta nas jednego po drugim. Kiedy, idioto, zdasz sobie wreszcie sprawę, z czym naprawdę mamy do czynienia? — pchnął go silnie do tyłu.

Zachmurzony Mark podniósł broń i mruknął:

— Mam gdzieś to, co mówisz. Chris wciąż jeszcze żyje. Ta rzecz jej nie schwytała.

— Wydaje mi się, że jednak to prawda — powiedziała zmęczonym głosem Linda. — Przykro mi, Mark, ale tak właśnie powiedział mi Alex...

— Alex? — zdziwił się Paul.

Opisała im wszystko co wydarzyło się, gdy zostawiła ją samą z Rochelle:

— To dostała ją pierwszą, potem Alexa, a potem... Chris. To było przez cały ten czas razem z nami w kabinie jako Ro i nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

— A więc Alex także — Paul pokiwał w zamyśleniu głową. — Można się było tego spodziewać. Prawdopodobnie czuje się tam jak w domu, dzieląc ciało do spółki z rekinem ludojadem. Dobrana para.

— Nie sądzę — odparła Linda. — Co prawda Alex był pod kontrolą, ale tylko chwilowo — opisała im, jak się zachowywał, zanim zamienił się w tego stwora. — Wyglądało, jakby coś go nagle zaatakowało. Było to potworne. Cokolwiek przejęło teraz kontrolę nad tą rzeczą, z całą pewnością nie jest to Alex.

— To dobrze — odparł z przekąsem Paul. — Wo-

lę spotkać się z chodzącym rekinem, niż z pozbawionym wszelkich zahamowań Alexem.

— Ja nie chciałam się spotkać z żadnym z nich — wzdrygnęła się Linda. — Ale czy zauważyłeś, Paul, że za każdym razem ten stwór wyglądał troszeczkę inaczej? Nie był teraz taki sam jak ten, który zaatakował nas w pokoju rekreacyjnym.

— Tak, masz rację. Wygląda na to, że przechodzi ciągłą metamorfozę. Oprócz okresowych zmian kształtu wydaje się, że pierwotny rekin wciąż ewoluuje.

— Ewoluuje w co?

— Wolę się nawet tego nie domyślać — skrzywił się Paul. — A jak ty się teraz czujesz? Możesz chodzić?

Wstała. Co prawda w dalszym ciągu kręciło się jej w głowie, ale była zdecydowana nie korzystać już z pomocy Paula. Nie chciała ich opóźnić. Nie czuła się bezpiecznie w tej kuchni. Wydawało się jej, że kątem oka wciąż dostrzega w mrocznych zakamarkach jakiś ruch. Czy była to tylko wyobraźnia, czy...

— Sądzę, że moglibyśmy dostać się na dach schodniami zewnętrznymi — powiedział Paul. — Nie uśmiecha mi się wędrować w górę wewnątrz tych wszystkich segmentów.

— Ale czy będziemy w stanie wydostać się na zewnątrz? — zastanawiała się Linda. — Nie ma prądu, a więc może te wszystkie automatyczne drzwi pozostaną zamknięte.

— Jeżeli będą zamknięte, użyjemy tego — Paul podniósł w górę trzymany w ręku M-16. — Ostatecznie są wykonane ze zwykłego szkła. Weź miotacz i bądź gotowy do użycia go w każdej chwili — dorzucił pod adresem Marka.

— Nie — odparł Mark. — Nie idę z wami. Muszę odszukać Chris.

— Mark, wbij to sobie wreszcie do głowy, że jej już nie ma — rzucił brutalnie. — I to wyłącznie twoja

wina. Zostawiłeś ją samą, aby wziąć tę cholerną szprycę. A teraz jest już za późno, aby jej pomóc.

— Nie mów tak! — wykrzyknął Mark. — To nieprawda! Ona żyje!

— Właściwie to nawet miałbym ochotę cię tutaj zostawić — powiedział Paul, patrząc na niego z obrzydzeniem. — Ale Linda i ja potrzebujemy twojej pomocy, więc idziesz z nami.

Mark z uporem potrząsnął głową.

— Nie. Ja jej nie zabijem. Kocham Chris. Muszę ją odnaleźć. Wiem, że gdzieś tutaj jest...

— Jestem tutaj, Mark.

Na progu kuchni ukazała się Chris. Była rozczochrana i najwyraźniej zmęczona, ale oprócz tego wyglądała całkiem normalnie.

— Chris, dzięki Bogu! — wykrzyknął z ulgą Mark.

— Wiedziałem, że żyjesz... — cisnął na ziemię miotacz i miał już podbiec w jej kierunku, ale Paul był szybszy. Doskoczył do niego z boku i uderzył go prosto w spłot słoneczny kolbą karabinu. Gdy Mark, jęcząc z bólu zgiął się w pół, skierował lufę w stronę Chris.

— Nie zbliżaj się! — ostrzegł.

Chris zatrzymała się jak wmurowana.

— Paul — powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

— Uspokój się. To przecież ja.

— Jasne. A ja jestem Harrison Ford. Wiemy, że prawdziwa Chris padła ofiarą tej rzeczy. Mam rację, Linda?

— Tak powiedział Alex — przytaknęła Linda, wpatrując się w Chris z pełną grozy fascynacją. Ona — to — wyglądało tak rzeczywiście...

— Alex kłamał. Znacie go przecież. Udało mi się przed nim uciec, ale on oczywiście nigdy się do tego nie przyzna.

— Nie — powiedziała powoli Linda. — Wydaje mi się, że tym razem powiedział jednak prawdę. Opowie-

dział wszystko ze szczegółami... jak byłeś już martwa, gdy cię dostał... że przeżyły tylko fragmenty twojej osobowości.

— To przecież śmieszne — powiedziała Chris. — Jak mam was przekonać, że to wszystko nieprawda? — spojrzała na Marka, który wciąż zgięty w pół walczył desperacko o oddech. — Mark, powiedz im. To przecież ja.

Paul podniósł lufę karabinu.

— Przykro mi, ale nie możemy ryzykować... — lecz zanim zdążył nacisnąć spust, Mark rzucił się na niego z dzikim okrzykiem przewracając go na podłogę. M-16 wypadł mu z ręki. Linda dostrzegła w oku Chris błysk triumfu i po chwili dziewczyna ruszyła do przodu.

Zdesperowana Linda podbiegła do karabinu i podniosła go zdrową ręką. Krzywiąc twarz z bólu, oparła lufę o sztywne lewe przedramię i niezdarnie nacisnęła spust. Chris była nie dalej niż dwa metry, więc strumień pocisków z M-16 dosłownie przeciął ją na pół. Jej ciało zatańczyło wściekle i runęło na ścianę, zupełnie jakby pociągnięte do tyłu za niewidzialne sznurki.

— Nie! — wykrzyknął Mark. Puścił Paula i rzucił się w stronę leżącego nieruchomo ciała. — Zabiłeś ją!

Paul zerwał się na nogi i pobiegł za Markiem. W ostatniej chwili zdążył złapać go za ramiona.

— To nie jest Chris, idioto! — krzyknął, odciągając szarpiącego się Marka do tyłu. — Spójrz na nią!

Z jej otwartych ust wysunęła się lśniąca, czarna macka, podnosząc się jak głowa ohydneho węża. Obserwująca to Linda poczuła nagle, jak ogarniają ją mdłości.

Mark przestał się wreszcie szarpać. Patrząc, jak ciało Chris zaczyna zapadać się w sobie, wykrzyknął coś z rozpaczą.

— Szybko! — rzucił ponagляjąco Paul. — Ruszaj-

cie się! Zanim to zdąży nas zaatakować! — popychając przed sobą oszołomionego Marka, podbiegł do porzuczonego miotacza ognia. Podniósł go i polecił Markowi, aby przyniósł jedną z pochodni.

— Pod drzwiami, Linda! — polecił. — Pośpiesz się!

Przez parę sekund Linda, nieomal zahipnotyzowana patrzyła, jak z rozpuszczającego się gwałtownie ciała Chris wypływać zaczynają długie macki czarnego śluzu. Gdy jedna z nich sunąc zaczęła w jej kierunku, drgnęła i uciekła.

Ponownie biegła ciemnym korytarzem, lecz tym razem przynajmniej nie była sama...

Gdy przebiegli pięćdziesiąt jardów Paul krzyknął, aby się zatrzymali. Zapalił miotacz, odwrócił się i bluznął krótkim płomieniem w głąb korytarza. W blasku drgającej, czerwonej poświaty nie dostrzegli ani śladu stwora.

— W porządku — powiedział Paul. — A teraz spróbujmy dostać się na dach... — odwrócił się w stronę Lindy. — Jak się czujesz? Będziesz w stanie tam dotrzeć?

Linda chciała jedynie położyć się gdzieś i zasnąć na sto lat, ale odpowiedziała:

— Tak, czuję się dobrze... Uważaj!

Jednak jej ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Mark zamachnął się trzymaną w dłoni pochodnią i uderzył nie przygotowanego Paula w bok głowy, przewracając go na podłogę.

Gdy Linda podbiegła aby mu pomóc, Mark odwrócił się i odbiegł w ciemność.

Nie mógł już tego dłużej znieść. A więc to wszystko było prawdą — Chris odeszła i to w dodatku z jego winy. Nie potrafił żyć z tą świadomością, nie bez kolejnej dawki białego proszku. I to wielkiej dawki...

Kierował się w stronę kabiny Alexa. Paul odebrał

mu te trzy paczuski heroiny, a więc musi zdobyć pozostałe, pozostawione w pasie. Miał jedynie nadzieję, że wciąż spoczywa bezpiecznie pod materacem. Jeżeli bowiem zniknął, będzie to już koniec wszystkiego.

Biegł poprzez ciemne korytarze, nawet nie rozglądając się na boki. Nie dbał o tego stwora. Nie dbał już o nic. Jego myśli zaprzątnięte były wyłącznie białym proszkiem. Proszkiem, który wygna wszystkie napastujące go demony. Który otworzy drzwi w świat, który jest cichy i bezpieczny...

Gdy wpadł do kabiny, podniósł pochodnię wyżej i jednym szarpnięciem zrzucił materac na podłogę. Pas wciąż leżał na swoim miejscu.

Schwycił go i pobiegł do swojej kabiny, po ukrytą tam strzykawkę i łyżkę. Następnym celem była łazienka. Zamocował nieruchomo pochodnię i nie zwlekając przystąpił do przygotowań. Rozpuścił trochę białego proszku w łyżce wody i podgrzał nad płomieniem zapalniczki. Drżącymi dłońmi napełnił strzykawkę i podwinął rękaw koszuli. Owinął ciasno przedramię pasem i wbił igłę w największą z wystających żył.

Wcisnął tłok aż do końca i rozluźnił pas. Jego ciało zareagowało prawie natychmiast — ogarnęła go fala przyjemnego odrętwienia usuwając z umysłu wszystko, za wyjątkiem błogiego uczucia ciszy i spokoju. Przypominało to natychmiastową narkozę...

Mark westchnął głęboko, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Strzykawka wypadła mu z ręki i ze stukotem upadła na podłogę.

Ten właśnie dźwięk sprawił, że otworzył oczy. Wtedy to zobaczył.

Początkowo nie zorientował się, co to właściwie jest — długa, czarna nitka na suficie. Ciągnęła się aż od ciemnego wylotu wentylatora i kończyła dokładnie tuż nad jego głową.

Gdy do jego oszołomionego narkotykiem umysłu

dotarła wreszcie prawda, było już za późno. Gdy otworzył usta by krzyknąć, czarna maź spadła prosto mu na głowę kompletnie zakrywając twarz, wypełniając nozdrza i wciskając się w głąb gardła.

Gdy stwór zawładnął już ciałem rozkładając je na podstawowe składniki chemiczne, jego świadomość penetrowana była w podobny sposób przez psychiczną obecność, którą wyczuwał jako zimną i nieopisanie złą. Mark miał nieokreślone wrażenie, że w otaczających go teraz ciemnościach porusza się gwałtownie coś białego i śliskiego. Jego umysł zadrżał, gdy to coś zaczęło rozdzierać na strzępy jego odsłoniętą i bezbronną jaźń...

— To bez sensu — rzucił zniecierpliwiony Paul. — Nigdy go nie odnajdziemy. Chodźmy lepiej na dach.

— Nie możemy go przecież tak zostawić — zaprotestowała Linda.

— Ja mogę. A zresztą na wszelką pomoc jest już najprawdopodobniej za późno. Jestem już tym wszystkim zbyt zmęczony. Po prostu chcę się stąd wydostać.

Jednak szukali Marka przez przeszło dwadzieścia minut. Sprawdzili jego kabinę i parę pozostałych, ale bez żadnych rezultatów.

— To przecież twój najlepszy przyjaciel — nalegała Linda. — Nie możesz tak po prostu, aby ten stwór...

— To był mój najlepszy przyjaciel. Teraz jest narkotycznym czubkiem, który sprzedałby nas za garść białego proszku. I nie zapominaj, że to on jest winien śmierci Chris.

— Wiem, ale... — przerwała nagle, wskazując jednocześnie na coś ręką. — Spójrz tam. Jakiś blask.

— Widzę. Wydaje się, że dochodzi z jednej z łazienek.

Podeszli ostrożnie w stronę drzwi. To, co zobaczyli wstrząsnęło nimi ponownie, nawet pomimo tych

wszystkich przerażających rzeczy, których byli świadkami w ciągu ostatnich ośmiu godzin.

— Boże... — wyszeptała wstrząśnięta Linda.

— Ostrożnie. Pamiętaj, że to porusza się bardzo szybko — ostrzegł ją Paul zapalając miotacz.

Lecz rzecz na podłodze nie poruszała się. W końcu Paul z wahaniem postąpił parę kroków bliżej, aby przyjrzeć się temu dokładniej.

Część tego wciąż rozpoznawalna była jako Mark — tuż obok leżało zresztą jego ubranie — lecz z groteskowej masy organicznej materii wystawały także części zupełnie innych ciał. Dostrzegł ramiona, nogi, głowy, całą górną część kobiecego korpusu i różne części zwierząt.

Pierwszą myślą Paula było, że ta cała nieprawdopodobna masa jest martwa, lecz nagle dostrzegł, że parę z tych koszmarnych przydatków wciąż się porusza. Nagle jedna z głów — na całe szczęście nie mógł jej rozpoznać — otworzyła oczy i spojrzała na niego obojętnie. Po chwili oczy zamknęły się ponownie...

— Co to jest, na miłość Boską? — zapytała stojąca bojaźliwie w drzwiach Linda. — W co przetwarza się to teraz?

— Nie wiem — powiedział bezradnie Paul. Nagle dostrzegł leżącą na podłodze strzykawkę i rozdartą paczuszkę z białym proszkiem. A więc Mark najprawdopodobniej podawał sobie właśnie narkotyk, gdy ta rzecz go dopadła.

W zamyśleniu wpatrywał się w leżącą na podłodze ohydłą masę, z wystającymi częściami ludzkich i zwierzęcych ciał. Nagle uśmiechnął się lekko, a po chwili wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Co ci się stało, Paul? — zapytała zaskoczona Linda. — Dobrze się czujesz?

Spojrzał na nią błyszczącymi z podniecenia oczyma.

— Właśnie się domyśliłem, co przytrafiło się naszemu maziowatemu przyjacielowi. Czy uwierzysz? Ten drań jest po prostu naćpany...

15.

Linda była ponownie w domu. Był niedzielny poranek i razem z Paulem znajdowali się w ich niewielkim mieszkaniu w Islington, w północnym Londynie. Zamierzali właśnie wybrać się z parą przyjaciół, młodym małżeństwem o imionach Greg i Sheila, do pobliskiego pubu.

Dzień był niezwykle gorący i pub był już zatłoczony po brzegi, usiedli więc w ogrodzie z tyłu lokalu. Zamówili piwo. Linda wreszcie czuła się odprężona i szczęśliwa. Cieszyła się, że ponownie znalazła się w tak dobrze znanym sobie otoczeniu, patrząc na znajome, uśmiechnięte twarze. Czuła się bezpieczna.

Potrzebowała tego uczucia. Nie pamiętała zbyt dokładnie, co właściwie wydarzyło się na tej platformie ale wiedziała, że przypominało to przeraźliwy nocny koszmar...'

Ale na szczęście wszystko skończyło się i zostało zapomniane. Dostrzegła figlarne spojrzenie Paula i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem i podniósł do góry szklankę. Stuknęła się z nim i pociągnęła łyk...

Prawie natychmiast musiała go wypłuć. Smakowało to po prostu okropnie. Spojrzała do szklanki i dostrzegła, że zamiast piwem wypełniona jest jakąś czarną cieczą. I w dodatku ta ciecz się poruszała, usiłując wypełznąć ze szklanki.

Odrzuciła szklankę i zerwała się na równe nogi.

— Paul! — wykrzyknęła.

Lecz on pozostał nieruchomy, wpatrując się w nią

pustym spojrzeniem. Nagle otworzył usta, z których natychmiast wyciekać zaczęła taka sama czarna ciecz, jaka była w szklance. Krzyknęła ponownie i odwróciła się w stronę Sheili i Grega. Oni jednak także przechodzili właśnie tę potworną transformację. Z ich ust wyciekała czarna maź, a oczy były czarnymi dziurami sięgającymi w głąb pustki, gdzie czaiło się już coś czekając na nią, nienazwane...

Próbowała uciekać gdy nagle spostrzegła, że wszyscy w ogrodzie wyglądają tak samo. Ruszyli w jej kierunku, otaczając ją. Znalazła się w pułapce.

Zaniknęła oczy i krzyknęła.

— Linda!

Coś potrząsało nią za ramiona. A więc jednak to ją dostało. Krzyknęła głośniej.

— Linda, to ja, Paul! Miałaś tylko zły sen, uspokój się!

Otworzyła oczy i dostrzegła pochylającego się nad nią Paula. Znajdowała się w niewielkim pokoju oświetlonym blaskiem pojedynczej pochodni. „Gdzie ja jestem...?” — zastanawiała się ze zdziwieniem. Nagle przypomniała sobie wszystko...

Westchnęła. A więc ten koszmar wcale się nie skończył. Wciąż znajdowali się na platformie.

— Linda? Wszystko w porządku?

Usiadła na łóżku. Ten niewielki ruch sprawił, że złamane ramię zareagowało piekielnym bólem.

— Chyba tak. Która godzina?

— Prawie szósta rano. Powinniśmy już ruszać. Chcę sprawdzić, co stało się z tym stworem.

Przypomniała sobie wydarzenia sprzed paru godzin. Odnaleźli tego potwora w stanie śpiączki, gdy leżał bezwładnie na podłodze łazienki. Paul powiedział wtedy, że to musi być pod wpływem narkotyku jaki zażył Mark, • zanim został zaatakowany. Podniecony

stwierdził, że być może zupełnie przypadkowo wpadł na pomysł, jak pozbyć się tego stwora na dobre...

— Gdyby była to trucizna — mówił. — To ta rzecz z pewnością wytworzyłaby jakiś sposób na zneutralizowanie jej działania. Ale ponieważ nigdy nie miała do czynienia z heroiną to wygląda na to, że jest na nią podatna.

— Pięknie — powiedziała niecierpliwie, próbując nie patrzeć na rozciągnięty na podłodze koszmar. — Ale jak to może pomóc nam? Przecież w końcu i tak to przezwycięży.

— Ale nie wtedy, gdy podamy mu rzeczywiście dużą dawkę! — wykrzyknął Paul. — Kto wie, być może nawet zginie, zanim zorientuje się, co się naprawdę dzieje. A przynajmniej przez parę dni będzie zupełnie oszołomione, co da nam wreszcie szansę na ucieczkę z tej cholernej platformy!

Spędzili prawie pół godziny rozpuszczając heroinę i wstrzykując ją w leżącego stwora. Lub raczej Paul wstrzykiwał, Linda bowiem nie mogła się zmusić, aby podejść bliżej. Już samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z tą ohydłą masą z której wystawały części ludzkich i zwierzęcych ciał, było dla niej wystarczającym koszmarem.

Ostatecznie zużyli dwie trzecie całego proszku. Paul postanowił zatrzymać resztę w rezerwie.

— Wrócimy rano — powiedział. — Jeżeli będzie martwe, to wspaniale. A jeżeli nie, to wstrzykniemy w to resztę i pójdziemy na dach...

— A dlaczego nie teraz? — zapytała.

— Myślę, że możemy zaryzykować trochę snu w jednej z kabin. Oboje potrzebujemy odpoczynku — a szczególnie ty.

— Naprawdę jesteś pewien, że możemy zaryzykować? — zapytała niepewnie.

Modliła się, aby odpowiedział twierdząco. Nie była w stanie myśleć o niczym, za wyjątkiem odrobiny snu.

— Tak. Myślę, że mamy teraz okazję. Ta niewielka ilość narkotyku w ciele Marka unieruchomiła to na całkiem długi okres, a więc to, co w niego wpompowaliśmy powinno rozłożyć go przynajmniej do rana.

— Obyś miał rację — powiedziała słabo Linda. Spojrzała na leżącą nieruchomo na podłodze rzecz i wzdrygnęła się.

A teraz, pięć godzin później, czuła się tak samo zmęczona i obolała, jak przed drzemką. Senny koszmarr wciąż wydawał się trwać...

Jej pierwsza próba wstania z łóżka zakończyła się niepowodzeniem. Na domiar wszystkiego, była niezwykle zdrętwiała. Spojrzała na swe gołe nogi i aż westchnęła. Pokryte były sińcami i długimi zadrapaniami — efekt spotkania z przetransformowanym Alexem.

Złapała zdrową ręką za leżące tuż obok dżinsy i zaczęła je nieporadnie wciągać. Gdy już się z tym uporała stwierdziła, że śmierdzą, jej bluzka także.

— Muszę się wykapać — mruknęła.

— Musisz iść do szpitala — powiedział Paul. Był już kompletnie ubrany i mocował do pleców miotacz ognia. Zauważyła, że te parę godzin snu nie miało większego wpływu na jego stan. Wyglądał kiepsko. Miał dwadzieścia sześć lat, lecz w tej chwili wyglądał na trzydzieści sześć. Wiedziała, że te niesamowite wydarzenia ostatnich paru dni pozostawią trwałe ślad na nich obojgu.

Gdy była już gotowa Paul polecił, aby wzięła pochodnię. Sam dźwigał miotacz płomieni i M-16. Po wyjściu z kabiny skierowali się do łazienki, w której pozostawili stwora. Lecz gdy weszli do środka, przeżyli kolejny szok.

Łazienka była pusta.

Na podłodze leżało jedynie puste ubranie Marka.

— Och nie — westchnęła Linda. — Kiedy wreszcie skończy się ten koszmar?

— Nie wierzę w to — rzucił gniewnie Paul. — Wpompowaliśmy w to tyle heroiny, że uśmierciłaby stado słoni.

— A więc musiało się w jakiś sposób do tego przystosować. Wyczuło, że heroina jest formą trucizny i gen Feniksa wytworzył natychmiastowy środek zaradczy...

— Chyba masz rację — westchnął Paul. — Tego drania po prostu nie można zabić.

— I co teraz zrobimy? — zapytała rozglądając się nerwowo dookoła.

— Idziemy prosto na dach. Pośpiesz się.

Koszmar stał się jeszcze bardziej wyrazisty, gdy Linda szła za Paulem poprzez mroczne korytarze. Wydawało się jej że uciekają przed tym potworem przez całe lata — przez całą wieczność. Czy to się kiedykolwiek skończy? A może przeznaczony jest im taki sam los, jaki stał się udziałem pozostałych? Może to się tylko tak z nimi bawi? Jak małe, sadystyczne dziecko, które wyrwa muchom skrzydełka a potem okaleczone wypuszcza na wolność?

W końcu Paul przyznał, że się zgubił. Lecz szybko wziął się w garść i ruszyli dalej.

— To już niedaleko — powiedział. — Komora powietrzna prowadząca do zewnętrznych drzwi powinna już być w następnym korytarzu.

— Chyba tak — odparła niepewnie. Byłoby cudownie, móc ponownie odetchnąć świeżym powietrzem. Odkąd wyłączyło się zasilanie, atmosfera wnętrza platformy stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. I ten smród...

Skrećali właśnie w korytarz prowadzący do komory powietrznej, gdy niespodziewanie otworzyły się jed-

ne z drzwi i stanął w nich mężczyzna. Ubrany był w rodzaj kombinezonu i dzierżył w dłoni latarkę. Linda krzyknęła.

Paul zareagował natychmiast. Odwrócił się w stronę nieznajomego, unosząc równocześnie lufę broni. Mężczyzna zdążył przebyć zaledwie jeden krok, gdy Paul wystrzelił.

Nastąpiła powtórka tego, co wydarzyło się, gdy Linda zastrzeliła „Chris”. Seria pocisków wystrzelonych z bliska rzuciła mężczyznę do tyłu, w otwarte drzwi. Zniknął w ciemnościach.

— Szybko! — wykrzyknął Paul, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem ciała. — Ruszajmy, zanim to zdąży się zmienić.

Pobiegli wzdłuż korytarza i wkrótce natknęli się na drzwi prowadzące do komory powietrznej. Na szczęście szklane drzwi były otwarte.

Po chwili otworzyli drzwi prowadzące na zewnątrz i wyszli na płaski dach jednego z segmentów platformy. Linda zamrugała gwałtownie powiekami po wpływie uderzenia szarego światła, zimnego wiatru siekącego deszczu. Wpatrywała się z fascynacją w oświetlane, rozkołysane morze.

— Sztorm ma się już ku końcowi! — wrzasnął Paul przekrzykując świst wiatru. — Ale fale są wciąż zbyt duże...

Linda skinęła głową. Masywne fale wspinały się w górę dźwigarów, wdzierając się nieomal na pierwszy pomost.

— Musimy wejść na sam szczyt! — wrzasnął Paul. — Dasz radę?

— Tak — odpowiedziała. — Chodźmy...

— Idź pierwsza. I uważaj. Stopnie z pewnością są śliskie jak diabli.

Miał rację. Wspinanie się w górę schodni pomagając sobie tylko jedną ręką było niezwykle ryzykowne.

Parę razy nieomal spadła, trafiając na schodek, który był śliski jak lód.

Paul, dźwigając miotacz ognia i M-16 miał także spore problemy. W końcu jednak udało im się osiągnąć przedostatni poziom przed szczytem. Linda wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie wspiąć się po wąskiej drabince, ale na szczęście Paul odnalazł kolejną schodnię. Prowadziła na lądowisko śmigłowców, które było dokładnie nad nimi.

— Z lądowiska przedostaniemy się bezpośrednio na dach — powiedział Paul. — Być może uda mi się znaleźć jakieś flary, albo coś podobnego...

Gdy dotarli wreszcie na lądowisko, Linda była przemoczona i przemarznięta na kość. Lecz nagle dostrzegła coś, co sprawiło, że wszelkie myśli o dokuczającym jej zimnie stały się nagle nieważne.

Pośrodku lądowiska stał śmigłowiec.

Pomalowany był na żółto, z dokładnie widocznymi insygniami kompanii Brinkstonea.

— Paul! — wykrzyknęła. — Jesteśmy uratowani.

Paul pokonał wreszcie parę ostatnich schodków i stanął obok niej bez słowa. Przez chwilę wpatrywał się w śmigłowiec z wyrazem ulgi, ale już po chwili zachmurzył się ponownie.

— Co się stało? Nie rozumiesz? — zapytała widząc nagłą zmianę na jego twarzy. — Jesteśmy uratowani!

Podbiegła w stronę ogromnej maszyny i przez przeszkłone drzwi zajrzała do środka. Jednak ku jej ogromnemu zaskoczeniu, śmigłowiec był pusty.

— Nikogo tam nie ma! — krzyknęła w stronę zbliżającego się Paula. Wyglądał na zatroskanego.

— Chciałbym wiedzieć, jak się pilotuje taką rzecz — powiedział w końcu.

Spojrzała na niego marszcząc brwi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego reaguje tak dziwnie.

— Co się z tobą dzieje, Paul? Przecież nie musisz tego pilotować. Od tego jest pilot.

— Właśnie — odparł. — Ten człowiek w kabinie. To był pilot, Linda. I właśnie go zastrzeliłem...

16.

— Nie! To nie był pilot! — wykrzyknęła wstrząśnięta Linda. — Zastrzeliłeś tego stwora!

— Chciałbym, aby tak było — powiedział gorzko. — Ale pomyśl sama — ten facet miał latarkę. Ta rzecz nie miała czegoś takiego. I dlatego te drzwi były otwarte — on po prostu wszedł przez nie do środka pokława głową. — Nie. To była osoba z krwi i kości. Właśnie popełniłem morderstwo...

— Ale przecież nie wiedziałeś... i wciąż nie możemy być pewni, że to rzeczywiście był pilot. Możesz się mylić.

Zamknęła oczy. A ratunek był już tak blisko... To byłoby zbyt okrutne.

Paul wspiął się do kabiny śmigłowca i zaczął rozglądać się po jej wnętrzu. Linda stała bezradnie na zewnątrz czując, jak poprzez rozdartą bluzkę wiatr dotyka ją lodowatymi palcami. Nigdy poprzednio nie doświadczyła tak przejmującej rozpaczki, jak obecnie. Przez chwilę rozważała możliwość rzucenia się z dachu platformy w morze.

— To Sikorski S-76 — dobiegł ją nagle dochodzący z wnętrza kabiny głos Paula. Jest całkiem nowy. Świetna maszyna.

— No cóż, to fantastyczne — mruknęła z wyraźnym sarkazmem. Postanowiła dołączyć do niego w kabinie. Tam przynajmniej z pewnością będzie cieplej.

— Wiesz tak dużo, Paul — powiedziała, gdy już wspięła się do środka. — Jesteś pewien, że nie potrafisz tym latać? Może przynajmniej udałoby ci się prze-

transportować nas w pobliże innej platformy. Moglibyśmy wodować.

Jeżeli zauważył w jej głosie sarkazm, to nie dał tego po sobie poznać.

— Znam co prawda podstawy pilotowania śmigłowca — odparł poważnie. — Lecz minęły już całe lata, odkąd po raz ostatni byłem w środku takiej maszyny. A w dodatku pogoda jest paskudna. Nawet doświadczony pilot miałby z nią kłopoty. Gdyby warunki były idealne, być może udałoby mi się podnieść ten śmigłowiec nie rozbijając tylnego rotom w drzazgi, ale i tak nie dałbym za to głowy. A przy takiej pogodzie? Zapomnij o tym.

— No więc co zrobimy? — zapytała.

— Nie wiem — odparł głucho. Lindzie nie spodobał się ton jego głosu. Brzmiał, jakby załamał się ostatecznie. Z niepokojem obserwowała, jak usiadł na jednym z foteli pilotów i z widocznym wahaniem zaczął dotykać rozmaitych przyrządów. Jak długo jeszcze potrwa, rozmyślała, zanim ta rzecz przyjdzie tu po nich na górę?

Przysunęła się bliżej Paula, zaglądając mu przez ramię na tablicę kontrolną. Nagły widok sprawił, że jej serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Zanim usiadł, podniósł z fotela hełm pilota i przeniósł go do tyłu. A teraz na tylnym siedzeniu widniały dwa hełmy.

Kurczowym chwytem zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Paul, tu jest ich dwu! Dwóch pilotów! Spójrz na hełmy!

Spoglądał na nie przez dłuższą chwilę a potem odwrócił się. Jego oczy były ponownie pełne zycia.

— Masz rację, Linda! — wykrzyknął. Podniósł się z fotela i zaczął wychodzić za kabiny. — Szybko, musimy go odnaleźć, zanim t o go dopadnie...

— Wracamy tam? — wykrzyknęła z przestrachem.

Już sama myśl o ponownym błąkananiu się pośród ciemnych korytarzy napawała ją lękiem. — Nie. Nie mogę. Nawet mnie do tego nie zmuszaj.

— Dobrze. A więc zaczekaj tutaj — przecisnął się obok niej i wyskoczył na lądowisko.

— Poczekaj!

— A więc idziesz, czy nie? — zapytał niecierpliwie.

Sama nie wiedziała, co zrobić. Nie chciała iść do środka, ale równocześnie nie chciała pozostawać tu sama. Miała przeczucie, że jeżeli straci teraz Paula z oczu, to już nigdy więcej nie zobaczy go żywego. Wzięła głęboki oddech.

— No dobrze — powiedziała niechętnie. — Idę z tobą.

— A więc pośpiesz się — pomógł jej wydostać się ze śmigłowca i ruszyli ku schodni.

— Wejdziemy przez drzwi na poziomie pierwszym — powiedziała, gdy schodzili w dół. — Jeden z tych pilotów musiał od razu zejść na sam dół, podczas gdy drugi z pewnością przeszukuje wszystkie poziomy od góry.

Jego przewidywania okazały się słuszne. Gdy zeszli po schodni i weszli do wnętrza pierwszego segmentu przekonali się, że drzwi prowadzące do komory powietrznej stoją otworem. Przebiegli przez korytarz, ale nigdzie nie natknęli się na żaden ślad pilota.

— Musi już być na niższym poziomie — wydyszał Paul.

Oczywiście, pomyślała gorzko Linda z bijącym mocno sercem. Podejrzała, że nie obędzie się bez kłopotów. Platforma nie chciała ich stąd wypuścić tak łatwo.

Lecz na kolejnym, niższym poziomie także nie znaleźli nikogo.

Zeszli na następny... i prawie natychmiast natknęli się na Shelleya.

Prawie zderzyli się z nim, gdy skręcali w zakręt korytarza. Shelley zataczał się lekko, zupełnie jakby był pod wpływem alkoholu. Gdy ich zobaczył, przywarł plecami do ściany i w obronnym geście wyciągnął przed siebie ręce.

— Nie strzelaj! Musisz mnie wysłuchać...!

Paul szybkim ruchem podrzucił w górę M-16, lecz w ostatniej chwili wstrzymał ogień. Linda zgadywała, że po przypadkowym zastrzeleniu pilota mógł mieć opory przed ponownym użyciem broni, nawet przeciwko temu stworowi.

— Nie marnuj czasu na gadanie! — warknął. — Ty nie jesteś Shelley. To kolejna sztuczka. Jesteś Charlie, czy Feniks, czy co tam jeszcze, a ja mam właśnie zamiar...

— To nie sztuczka! — wykrzyknął Shelley. — To ciągle ja... Jestem tu już ostatni z nietkniętą świadomością... lecz nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się tu ukrywać. Musisz mnie wysłuchać, to niezwykle ważne...

— Nie wierzę ci — powtórzył z uporem Paul, ale nie wystrzelił.

— To umiera — szepnął Shelley. — Odnieśliście sukces, podczas gdy my, naukowcy, z całym naszym zapleczem, ponieśliśmy klęskę.

— O czym ty mówisz? — zapytał podejrzliwie Paul.

Shelley miał wyraźne trudności z utrzymaniem się na nogach. Trzęsły mu się kolana, wyglądał jak ktoś w ostatnim stadium śmiertelnej choroby. Lindzie przypominał się Mark, który wyglądał podobnie, zanim...

— To heroína — powiedziała wreszcie Shelley. — Twój pomysł, aby wstrzyknąć temu stworowi heroinę, był mistrzowskim posunięciem.

— Ale to przecież wcale tego nie zabiło. To wciąż... ty wciąż żyjesz.

— Tak, ale to umiera. Powoli, ale z całą pewnością. I nie może wytworzyć przed tym żadnego antidotum.

— Dlaczego? — zapytał Paul. — Myślałem, że to potrafi ochronić się praktycznie przed wszystkim.

— Tak, ale... — Shelley mruknął coś niezrozumiale i powoli osunął się na podłogę. Gdy w końcu odezwał się ponownie dostrzegli, że mówi z wyraźnym wysiłkiem:

— ... Ale podając mu tak kolosalną dawkę heroiny uczyniliście go zupełnie uzależnionym od narkotyku. Postępujące objawy przedawkowania staną się w końcu śmiertelne. A nie może wytworzyć żadnych środków defensywnych, ponieważ w tej chwili stał się swym własnym wrogiem. Feniks ulega samodestrukcji... jego własne ciało ginie, a on nic na to nie może poradzić... — zamknął oczy.

— Nie wierzę w to — powiedział Paul po dłuższej chwili milczenia.

— A jednak to prawda — ponownie otworzył oczy. — Jediną rzeczą, która mogłaby utrzymać go przy życiu, jest kolejna dawka heroiny. Zostało wam coś jeszcze?

— Nie — odpowiedziała szybko Linda. Shelley rzeczywiście mógł mówić prawdę — w większej części była o tym przekonana — lecz jeżeli nie, z pewnością głupotą byłoby mówienie temu stworowi o niewielkiej ilości narkotyku, którą Paul przezornie ukrył w kieszeni. Sam Shelley prawdopodobnie także potrzebował kolejnej dawki. Ostatecznie dzielił ciało z tym stworem.

— Zużyliśmy już wszystko — poparł ją Paul. — Ten twój stwór będzie musiał przebyć naprawdę długą drogę, aby otrzymać kolejną działkę.

— To dobrze — westchnął Shelley. — A więc jest skończony. Udało nam się wreszcie zniszczyć demona, którego tak nieodpowiedzialnie stworzyliśmy sami. —

Nagle jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne drgawki, a twarz stała się lekko rozmyta. Lecz już po chwili atak minął.

— To już nie potrwa długo — powiedział z wysiłkiem Shelley. — Zaczyna rozsypywać się od wewnątrz.

— Jak długo potrwa, zanim...? — zapytał Paul.

Na wargach Shelleya pojawił się cień uśmiechu.

— Zanim umrę?. Być może parę minut. Ale niech wam nie będzie z tego powodu przykro. Czekam na śmierć z prawdziwym utęsknieniem. Przynajmniej nie podzieliłem losu moich przyjaciół i kolegów... pozostałem sobą do końca. Nie zostałem... przejęty... przez ten koszmar. To zdołało zabrać mi ciało, ale nie duszę...

— Mam jeszcze tylko jedno pytanie — rzucił pośpiesznie Paul. — Czy ten stwór jest tylko jeden?

Shelley ledwie dostrzegalnie skinął głową.

— Tak. Tylko jeden. On nie potrzebuje się reprodukować. Nie ma nawet takiej możliwości...

— Nie rozumiem — przyznał Paul. — Dlaczego?

— Już ci to powiedziałem — on po prostu nie potrzebuje się reprodukować. Gatunki reprodukują się wyłącznie po to, aby przetrwały ich geny. Innymi słowy geny same niejako zmuszają gatunki do reprodukcji, aby zapewnić sobie szanse na przetrwanie. A ponieważ organizm noszący w sobie Feniksa jest w zasadzie nieśmiertelny, lub przynajmniej był do tej pory, nie musiał wytwarzać w sobie takiego mechanizmu.

— Samolubny gen — mruknął Paul.

Wargi Shelleya ponownie wykrzywił cień widmowego uśmiechu.

— Widzę, że przeglądałeś moje taśmy, młody człowieku. A więc musisz się upewnić, aby dotarły do rąk właściwych ludzi. Należy podjąć odpowiednie kroki, aby nic podobnego do Feniksa nie zagrażało już ponownie światu. Obiecujesz?

Paul skinął głową.

— Proszę się o to nie martwić. Już my się postaramy, aby ta cała historia dotarła tam, gdzie trzeba.

— Dobrze — westchnął Shelley i po chwili głowa opadła mu na ramię. Rysy jego twarzy zaczęły się roztopiać, zmieniać. Rozległ się syczący dźwięk i nagle z pomiędzy jego warg wysunęło się coś czarnego.

— Cofnij się! — wykrzyknął Paul odpychając Lindę do tyłu. Zaczęli wycofywać się w głąb korytarza, wysoko uniesioną pochodnią oświetlając wciąż zmieniającą się na podłodze rzecz. Dopiero teraz Linda z przerażeniem spostrzegła, że miotacz ognia pozostawili na lądowisku śmigłowców.

Shelley znikł gwałtownie, a w jego miejsce pojawiła się znajoma, lśniąca kałuża czarnej mazi. Lecz tym razem była inna. Jej powierzchnia wrzała i bulgotała. Nagle rozbłysła wysokimi jęzorami ognia. Korytarz wypełnił gryzący dym.

Paul i Linda zaczęli gwałtownie kaszleć i odsunęli się do tyłu.

— Co się dzieje? — zapytała zduszonym głosem Linda.

— Mam nadzieję, że wreszcie umiera — powiedział Paul.

Obserwowali to przez około piętnaście minut. W końcu z całej kreatury zostało jedynie parę wysuszonych, czarnych łusek. Paul podszedł bliżej i dotknął jednej z nich lufą karabinu.

— Ostrożnie — ostrzegła go Linda.

— W porządku. Została jedynie kupka popiołu. To wreszcie nie żyje.

— Ale czy możemy być tego naprawdę pewni? — rozpaczliwie chciała wierzyć, że to w końcu prawda, ale podejrzliwość pozostała. Ta istota już tyle razy wyprowadzała ich w pole...

— Nie możemy być tego absolutnie pewni — przyznał Paul. — Ale ja jestem o tym przekonany w

dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, a jak na mnie, to wystarczy.

— Modlę się, abyś miał rację. A więc co teraz zrobimy?

— Musimy odnaleźć tego drugiego pilota — powiedział Paul, zarzucając M-16 na ramię.

— A skąd możemy wiedzieć, że on nie jest już tam? — wskazała gestem na poczerwiałe łuski. — Ta rzecz mogła go przecież zaatakować, gdy byliśmy jeszcze na dachu.

— Nie sądzę. W stanie, w jakim znajdował się ostatnio bardzo wątpię, aby mógł zaatakować kogośkolwiek. Jestem pewien, że znajdziemy tego pilota całego i zdrowego.

Ruszył zwawo w głąb korytarza.

Linda podażyła za nim żałując, że sama nie potrafi zdobyć się na tak beztroski nastrój. Miała niejasne przeczucie, że ich kłopoty nie są jeszcze zakończone.

17.

Znaleźli go w końcu na zewnątrz. Mieli właśnie zejść po schodni na najniższy poziom, gdy zjawił się niespodziewanie tuż przed nimi. Na ich widok zatrzymał się zaskoczony. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, dobiegającym do trzydziestki. Nosił krótko obcięte włosy i taki sam rodzaj kombinezonu, jaki Paul dostrzegł u pierwszego pilota.

— Kim jesteście, do diabła? — wykrzyknął, gdy podeszli bliżej. Linda dostrzegła malujący się w jego oczach strach. Wyglądał, jakby zupełnie niedawno zobaczył coś potwornego i nie zdążył jeszcze przyjść po tym do siebie.

— Nazywam się Paul Latham, a to Linda Warner. Nasz jacht zatonał i przypadkowo dostaliśmy się na tą platformę parę dni temu.

— Co tu się do diabła wyrabia? Gdzie się wszyscy pochowali? — zapytał z silnym, amerykańskim akcentem.

— To długa historia — odparł Paul. — Po prostu mi uwierz gdy ci powiem, że oprócz nas nie ma na tej platformie nikogo żywego, a my powinniśmy wynosić się stąd jak najprędzej.

Pilot zmrużonymi oczami spojrzął na przewieszony przez ramię Paula M-16.

— Jeżeli ty pozostałeś tu jako ostatni to oznacza, że to ty zastrzeliłeś Mike'a... — sięgnął dłonią w dół i Linda dopiero teraz zauważyła, że przy pasie miał przytroczoną kaburę.

Lecz zanim zdążył ją rozpiąć i wyjąć rewolwer, Paul wycelował już w niego lufę swego M-16.

— Nie rób tego! — wykrzyknął Paul. — Rzuć swój rewolwer na bok!

Przez chwilę mężczyzna zawahał się, najwidoczniej rozważając swe szanse na rzucenie się na Paula, zanim ten zdąży wystrzelić. Doszedł w końcu do wniosku, że nie ma żadnych, bowiem z wyraźnym grymasem obrzydzenia wyjął powoli rewolwer z kabury i odrzucił go na bok. Z donośnym brzękiem odbił się od paru stopni i zniknął w morzu.

— To ty zabiłeś Mike'a, prawda, ty morderczy sukinyśnu? — warknął w stronę Paula.

— To był... wypadek — powiedział bezradnie Paul.

— Naprawdę? — parsknął pogardliwie mężczyzna.

— Powiesz to sędziemu. Odpowiesz za to, chłopcze. Tam, skąd pochodzę, wciąż mamy jeszcze karę śmierci...

Linda poczuła nagle, jak ponownie powraca znajome uczucie bezradności i desperacji. Nawet gdy uda im się ująć stąd z życiem, zostaną oskarżeni o morderstwo, pomyślała zrozpaczona. A kto przy zdrowych zmysłach uwierzy w ich wersję wypadków? Nie ma

przecież żadnych dowodów, za wyjątkiem pustych ubrań i garstki popiołu. Nagle przypomniała sobie o kasetach video...

— Paul — powiedziała z podnieceniem. — Musimy zabrać kasyety Shelleya. Inaczej nikt nam nie uwierzy.

— Masz rację — odparł. — Powiniennem być pomyśleć o tym wcześniej — odwrócił się do obserwującego ich uważnie pilota. — Posłuchaj, rzeczywiście zastrzeliłem twego przyjaciela, ale to był wypadek i jest mi naprawdę cholernie przykro. Musiałem to zrobić, ponieważ... no cóż, tutaj działy się tak okropne rzeczy... — pokiwał bezradnie głową. — Chciałbym to wyjaśnić ale obawiam się, że w tej chwili nie ma już na to czasu. A w dodatku zabrzmiałoby to zupełnie zwariowanie... Po prostu na razie musisz mi uwierzyć na słowo, że miałem słuszne powody aby podejrzewać, że twój przyjaciel mógł być niebezpieczny. Dla ciebie także. Ale nie jestem mordercą!

Pilot najwidoczniej postanowił zmienić taktykę. Z niedowierzaniem, którego mimo wszystko nie potrafił ukryć, powiedział:

— Dobrze, dzieciaku. Powiedzmy, że na razie ci wierzę. Ale pozwól mi wrócić do mojego wiatraka, abym mógł wezwać przez radio jakąś pomoc.

— Nie — odparł szybko Paul. — Przykro mi, ale nikogo nie będziesz wzywał. Jeszcze nie. Przedtem musimy zabrać coś z jednego z pomieszczeń. Idziesz z nami. I ostrzegam cię, jeden fałszywy ruch, a będę zmuszony strzelać. Postaram się cię nie zabić, ale nie mogę tego gwarantować mając w ręku coś takiego.

Pilot zbladł i uniósł w górę ręce.

— Uspokój się, chłopcze. Niczego nie będę próbował, masz moje słowo.

— Dobrze. A więc chodźmy — rzucił Paul, wskazując kierunek lufą karabinu.

Chociaż wiedziała, że stwór jest już martwy — lub przynajmniej była tego prawie pewna — ponowne wejście w ciemny labirynt pomieszczeń było najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiła w życiu. Ponownie wróciło uczucie, że nigdy nie zobaczy końca tych cholernych korytarzy — że resztę życia spędzi błakając się w czarnej mgle.

Gdy odnaleźli w końcu pokój kontrolny, przez długą godzinę sortowali kasety, próbując znaleźć tę jedną, najważniejszą. Bez możliwości ponownego odtworzenia nie mogli być pewni wyboru, więc zabrali w końcu tyle, ile udało im się zmieścić w zwiniętej koszuli Paula.

Przez cały ten czas pilot zmuszony został do leżenia nieruchomo na brzuchu, trzymając zaplecione z tyłu głowy dłonie. Nie przeszkadzało mu to jednak w bezustannym stawianiu pytań.

— Może byś mi tak wreszcie powiedział, co tu się kurwa dzieje? — brzmiało pierwsze.

— Już ci powiedziałem — odparł Paul. — Że to długa historia, a w dodatku i tak byś w nią prawdopodobnie nie uwierzył. Dlatego właśnie potrzebujemy tych kaset. Aby to wszystko udowodnić.

— A co stało się z wszystkimi pracującymi tutaj ludźmi?

— Zginęli. Zostali zjedzeni, jeśli chodzi o ścisłość.

— Co takiego? Zwariowałeś?

— A widzisz. Mówiłem przecież, że mi nie uwierzysz. — Paul sprawdzał kasety w mdłym blasku pochodni, próbując odnaleźć znajomy symbol kodowy. Na szczęście niektóre z kaset wciąż jeszcze leżały na konsoli i jak powiedział Lindzie, miał pewność, że ta najważniejsza — z nagraniem Shelleya opisującym rozgrywające się tutaj wydarzenia — znajduje się wśród nich.

— A co takiego ich zjadło? — zapytał po dłuższej przerwie pilot.

— To trochę trudne do wyjaśnienia — odpowiedział mu Paul. — Było to coś, nad czym pracowali zgromadzeni tu naukowcy. Wiedziałeś przecież o badaniach tutaj, prawda? W przeciwnym wypadku nie byłoby cię teraz tutaj.

— Jestem tylko pilotem. O niczym nie wiem.

— Nie gadaj bzdur — roześmiał się gorzko Paul.

— Wiedziałeś, że ta platforma to tajne laboratorium badawcze. Wiedziałeś także, że przeprowadzane tutaj badania, są zupełnie nielegalne.

— Naprawdę? — zdumienie w głosie pilota wyglądało na zupełnie autentyczne. — A więc powiedz mi, co tu się stało. Co znaleźliście, gdy przybyliście na tę platformę?

— Przeczytasz to w gazetach — odparł Paul zawiązując rękawy koszuli, w której umieścił przeszło dwadzieścia kaset. — To wszystko — odwrócił się w stronę Lindy. — Idziemy stąd. Tym razem na dobre.

Linda doznała niewyobrażalnego wprost uczucia ulgi, gdy śmigłowiec oderwał się wreszcie od płyty lądowiska i wzbił się w górę. Chciało jej się płakać i śmiać równocześnie. Wreszcie opuszczali to potworne miejsce...

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie pozwalasz użyć mi tego cholernego radia — powiedział wreszcie pilot. — W bazie z pewnością wszyscy są już zaniepokojeni.

— Trudno — odparł Paul. — Nawet nie dotyczą radia — siedział tuż obok na fotelu drugiego pilota, lufę M-16 trzymając na wysokości jego głowy. Linda siedziała za Paulem. Kabina była całkiem przestronna i z powodzeniem pomieściłaby dziesięciu pasażerów.

— Tak? A co zrobisz, jeżeli go dotknę? Zastrzelisz mnie?

— Właśnie.

Pilot roześmiał się chrapliwie.

— Wątpię. Mogłeś mnie zastrzelić, gdy byliśmy jeszcze na platformie, ale teraz jestem wam potrzebny. Zastrzel mnie, a całe to żelastwo spadnie z nieba na łeb.

— Nie spadnie. Wiem, jak to pilotować.

— Blefujesz.

— Być może. Chcesz się o tym przekonać?

Pilot nie odpowiedział. Nie wykonał także żadnego ruchu w stronę radia.

— Dokąd właściwie lecimy? — zapytał Paul.

— Mniej niż trzydzieści kilometrów na wschód jest kolejna platforma Brinkstone'a. Udajemy się właśnie tam.

— Tym razem jest to prawdziwa platforma, czy jedno z kolejnych przedsięwzięć pana Brinkstone'a?

— Najprawdziwsza z prawdziwych, chłopcze. I będziemy tam za około 20 minut.

— Nie, nie będziemy — odparł ponuro Paul. — Nie mam najmniejszego zamiaru spotykać się z tymi ludźmi w ten sposób. Wiemy zbyt wiele nieprzyjemnych rzeczy o panu Brinkstone. Twój szef z pewnością nie pozwoli, abyśmy podali to wszystko do wiadomości publicznej. Najprawdopodobniej po prostu znikniemy...

Pilot roześmiał się ponownie.

— Uspokój się wreszcie. Jesteśmy kompanią naftową, a nie jakąś cholerną mafią. Naprawdę sądzisz, że starszerek poleciliby was zabić? Jesteś chyba szalony.

— Naprawdę? A ty? Jeżeli jesteś takim zupełnym niewiniątkiem, to dlaczego miałeś przy sobie broń? I dlaczego mieliście na tej platformie tak duży zespół doskonale uzbrojonych strażników?

— To zwykłe środki bezpieczeństwa — odparł krótko pilot.

— Akurat — parsknął Paul. — No cóż, ale my zabezpieczymy się na własną rękę. Skieruj maszynę w stronę wybrzeża. Wylądujesz na jakimś polu w pobliżu miasta.

Pilot spojrział na niego wyraźnie zaskoczony.

— W stronę wybrzeża? To przeszło dwieście kilometrów. Nie mam tyle paliwa.

— Pokaż mi wskaźnik — polecił Paul, naciskając lekko lufą w policzek pilota.

Po chwili wahania wskazał na jedną z tarcz na pulpicie kontrolnym. Paul spojrział na nią uważnie.

— Masz dość paliwa, aby przelecieć jeszcze 600 kilometrów — powiedział. — Mówiłem ci, że znam się na śmigłowcach. Wystarczy tego, aby dolecieć do Aberdeen. A więc tam polecimy. Weź mapę i sprawdź kurs — polecił, ponownie szturchając go lufą.

— Wciąż myślę, że blefujesz — powiedział pilot, ale posłusznie sięgnął po mapę. Gdy wykreślił już nowy kurs, zapytał: — A co zrobisz, gdy już tam wylądujemy?

— Zorganizuję konferencję prasową i oddam te kasety właściwym ludziom. Upewnię się, że wszystkie fakty zostały ujawnione. I upewnię się także, że podjęte zostaną odpowiednie kroki, aby już nigdy nie powtórzyło się to, co wydarzyło się na tej koszmarnej platformie.

— Ale co się właściwie tam wydarzyło? Teraz możesz mi powiedzieć, mamy sporo czasu.

— Naukowcy pracujący tam dla twojego szefa przypadkowo stworzyli nową formę życia. W dodatku niezwykle niebezpieczną i praktycznie niezniszczalną. To prawdziwy cud, że w końcu udało nam się go unieszkodliwić.

Pilot uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Powiedziałaś: „praktycznie niezniszczalną”, a jednak udało wam się ją zabić? Wybacz, ale brzmi to trochę zbyt dziwacznie. Ale co to było dokładnie?

— No cóż... — zawahał się Paul. — Był to stwór, który mógł niejako zmieniać swój kształt. Stworzony przy pomocy inżynierii genetycznej organizm, który był w stanie zaadaptować się do wszystkiego, co mu zagrażało. Czasami wyglądało to jak człowiek, a innym razem jak kałuża poruszającej się mazi...

— Bzdura — parsknął pilot. — Jeżeli powiesz o tym komukolwiek, to natychmiast zamkną cię u czubków. Nikt ci w to nie uwierzy.

— To nieważne, czy ty mi wierzysz czy nie — odparł ze złością Paul.

— Och, ale kiedy ja wam wierzę — powiedział spokojnie pilot, zdejmując hełm.

Linda krzyknęła. Z tyłu jego głowy wpatrywało się w nią okrągłe, rybie oko.

18.

— Zastrzel to, Paul! — krzyknęła histerycznie Linda. — Zabij to!

— Nie radziłbym tego robić — odparł szybko „pilot”. — To byłoby niewygodne dla nas wszystkich. Zanim udałoby mi się przetransformować ciało, pozbawiony chwilowo kontroli śmigłowiec z pewnością runąłby do morza. Oczywiście ja uratowałbym się, ale obawiam się, że wy nie. I ja wiem, Paul, że blefowałeś mówiąc, że potrafisz pilotować. W końcu wiem o wszystkim, o czym wiedzieli twoi przyjaciele...

Paul spojrzął na niego z wahaniem. Co prawda odsunął się od pilota, ale lufę wciąż trzymał wymierzoną prosto w jego głowę.

— Chryste! — wykrzyknął — A więc jest was więcej, niż tylko jeden! Shelley kłamał!

— Shelley? Kiedy rozmawiałeś z nim po raz ostatni? — zapytał pilot tonem swobodnej konwersacji. Jego głos nie zmieniał się — gdyby nie to koszarne trzecie oko z tyłu głowy, Linda mogłaby przysiąc, że to wszystko jest przywidzeniem.

— Pytałem, kiedy ostatni raz rozmawiałeś ze Shelleyem — przypomniał. Twarz skierowaną miał bezpośrednio przed siebie. Nie patrzył na Paula i wydawał się nie zwracać uwagi na wycelowaną w siebie lufę M-16. Linda dostrzegła, jak palec Paula zaciska się na spuście, lecz wciąż nie strzelał.

— Zanim spotkaliśmy... ciebie — odparł Paul. — Powiedział, że jest tylko jeden stwór. I że nie musisz się reprodukować, ponieważ nie musisz.

Pilot zachichotał. Przez moment brzmiało to jak obleśny śmiech Alexa. Linda chciała krzyknąć i rzucić się na tego stwora wbijając się w niego paznokciami, ale jedyne co mogła zrobić to siedzieć sparaliżowana, zmrożona spojrzeniem pojedynczego, wpatrującego się w nią beznamiętnie oka.

— Obawiam się, że to nie był Shelley. To byłem ja. Lub raczej ten inny ja. Shelley miał nieprawdopodobną siłę woli. Wytrwał o wiele dłużej, niż pozostali, lecz w końcu załamał się i poddał. To było nieuniknione.

— A więc jest was całe mnóstwo? — zapytała bojaźliwie Linda.

— Nie. Jeszcze nie. Teraz jestem tylko ja. Lecz to, co mówiło wam moje inne „ja”, podczas gdy imitowało Shelleya, jest prawdą. Lub raczej było prawdą. Rzeczywiście nie posiadałem organu reprodukującego, lecz gdy odkryłem, że ten narkotyk mnie zabija, natychmiast wytworzyłem pewien rodzaj potrzebnego mi mechanizmu. Rezultat był okrutny, ale jak sami to widzicie, efektywny — ponownie zaniósł się obscenicznym chichotem. — I w pewnym sensie to wy jesteście

odpowiedzialni za tę nową linię w moim cyklu rozwojowym.

— A więc dostałeś jednak tego pilota — powiedział gorzko Paul. — Przejąłeś go...

— Nie w sposób, o jakim myślisz — przerwał mu stwór. — W takim przypadku nic nie zostałoby uratowane. Byłoby nas po prostu dwóch, umierających z przedawkowania narkotyku. Zamiast tego wstrzyknąłem mu niewielki zestaw nowo wytworzonych komórek — embriona, jeżeli wolisz — lecz zawierającego wszystkie informacje i pamięci przechowywane w starym organizmie. Innymi słowy, miniaturową wersję mnie.

Wewnątrz organizmu nowego gospodarza embrion podlegał błyskawicznemu wzrostowi, pożerając równocześnie organa wewnętrzne gospodarza. Cały proces zajął tylko 27 minut, chociaż obawiam się, że dla gospodarza było to bardzo długie 27 minut — ponowny chichot. — A więc z punktu widzenia gospodarza, moja metoda reprodukcji jest wyjątkowo bolesna. Sami się o tym przekonacie, gdy tylko zakończymy lot.

— My? — zapytał Paul, nie potrafiąc ukryć wyrażonego drżenia głosu. — Dlaczego chcesz się reprodukować ponownie? Przecież teraz już nie umierasz.

— Och, lecz wciąż jestem tylko jeden ja. Już wiem — lub raczej jestem tego pewien na poziomie komórkowym — że muszę kontynuować reprodukcję, aby zapewnić sobie przetrwanie. I jak już wam to powiedziałem, dzięki waszej próbie zabicia mnie, wspiąłem się w rozwoju o krok wyżej. I zawsze tak będzie, ilekroć ludzie podejmować będą próby powstrzymania mnie.

— Ale dlaczego właśnie my? — wykrzyknęła zdesperowana Linda. — Nie mógłbyś nas po prostu wypuścić?

— Idiotka — powiedział beznamiętnie stwór. — Strach czyni cię irracjonalną. A zresztą sprawia mi

przyjemność myśli, że właśnie wy dwoje będziecie nosicielami mego nasienia. Jako osoby, które mnie nieomal zabiły, będziecie asystować w przedstawieniu mego gatunku waszemu światu.

— ' A więc zamierzasz reprodukować się bez przerw? — wykrzyknął Paul. — A co stanie się, gdy...

— To, co zawsze, gdy wyższy gatunek staje do konfrontacji z niższym. Wyższy opanowuje i wykorzysta gatunek niższy — a ja bez wątpienia jestem w tej chwili gatunkiem wyższym. Posiadam połączoną inteligencję wielu z waszych naukowców, tak jak i olbrzymią siłę i wiele innych zdolności fizycznych, o czym doskonale wiecie sami. Jestem organizmem, który może adaptować się w nieskończoność. Jestem zakończonym już procesem ewolucji, ponieważ zawsze będę o krok do przodu przed moimi ewentualnymi konkurentami. A już wkrótce będzie nas dziesięć, a potem sto, tysiąc. Rasa ludzka wkrótce się załamie, a jej resztki pozostaną w wiernopoddańczym stosunku do swego nowego pana...

— Ale dlaczego? — wykrzyknęła Linda. — Sam przecież powiedziałeś, że posiadasz połączoną inteligencję wielu osób. A więc dlaczego istota o tak wielkiej inteligencji chce być naszym wrogiem? Czyż nie powinienes być już ponad tak prymitywny odruch, jak potrzeba przemocy?

Nieruchome oko wpatrywało się w nią przez chwilę, a w końcu stwór przemówił:

— Mylisz czystą inteligencję z bliżej nieokreślonymi wartościami moralnymi. Gdy ktoś jest inteligentniejszy, nie oznacza to automatycznie, że odznacza się sympatią w stosunku do innych żyjących stworów. Taką koncepcją jest wyłącznym wytworem waszej własnej, idealistycznej rasy. Lecz wasz system etyczny jest dla mnie zupełnie bez znaczenia. Inteligencja, którą ja posiadam — psychiczna zawartość umysłów, które zo-

stały przeze mnie wchłonięte — jest dla mnie po prostu kolejnym narzędziem służącym dla mojego przetrwania. Lecz w środku pozostaję tym, czym byłem zawsze, zanim ci wasi naukowcy w egoistyczny sposób nie pozbawili mnie mego naturalnego środowiska i nie zaczęli przeprowadzać na mnie eksperymentów. Mam wciąż te same potrzeby... i ten sam apetyt...

W trakcie tej przemowy jego głos zaczął stopniowo się zmieniać, stając się bardziej chrapliwy i gardłowy. W końcu zaczął zmieniać się także fizycznie. Skóra przybrała nieprzyjemny, szaro-biały odcień, a głowa stała się znacznie bardziej wydłużona. Nagle, gdy po raz pierwszy odwrócił się, aby spojrzeć na Paula Linda dostrzegła, że twarz pilota znikła zupełnie. W gładkim obecnie profilu widziała okrągłe, szklane oczy. Oczy i wysuniętą do przodu dolną szczękę, z której wystawały rzędy trójkątnych, ostrych jak brzytwa zębów.

— Ale dość już tego gadania — powiedziała stwór, spoglądając na Paula. — Miałem z wami wystarczająco dużo zabawy. Łąd osiągniemy za 45 minut i do tego czasu chcę, abyście oboje zakończyli już proces transformacji...

To, co stało się w chwilę potem przypomniało Lindzie pewien program telewizyjny, w którym demonstrowano urządzenie, którego nie można było ukraść. Uruchomione, wystawiało długie, teleskopowe odnóża, które uniemożliwiały złodziejowi ruszenie tego z miejsca. Coś podobnego rozgrywało się właśnie tuż przed jej oczami. Z ciała stwora wystrzeliły w różnych kierunkach czarne macki, które przebiły kombinezon i zaczęły rosnąć w zastraszająco szybkim tempie. Dwie z nich, wyrastające z ramion zaczęły się o dach kabiny, podczas gdy pozostałe zaczęły oplątywać Paula i Lindę.

Linda wrzasnęła gdy trzy macki, które wysunęły się

z pleców stwora, unieruchomiły ją na tylnym siedzeniu.

— Lepiej z tym nie walcz — ostrzegł ją stwór. — Pozostań spokojna i zaakceptuj to, co nieuniknione. Twoja śmierć nie pójdzie na marne — będzie służyła celowi bez porównania wznioślejszemu...

— Ty sukinsynu! — wrzasnął Paul. — Ty po prostu lubisz zadawać ból. To sprawia, że jesteś bardziej ludzki, niż myślisz. Tak, rybia głowo, jesteś skażony złem... Prawdopodobnie w tej chwili jest w tobie więcej Alexa, niż ciebie. Gatunek dominujący, dupku, akurat! Jesteś po prostu jednym z nas!

— Zamknij się i bądź cicho! To delikatna część...

Linda dostrzegła, że z korpusu stwora wysuwa się coś w stronę Paula. Nieprzyjemny, biały i gąbczasty wyrostek. Zakończony był ostrą, podobną do kolca wypustką, z której skapywały krople czarnej mazi. Paul szarpnął się gwałtownie widząc, że zbliża się to w stronę jego obnażonego brzucha, ale cztery grube krępujące go macki skutecznie paraliżowały wszelki ruch.

Skażony? Alex! Te dwa słowa eksplodowały w umyśle Lindy znaczeniem, którego początkowo nie zrozumiała. Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w pas Alexa, biegnący dookoła bioder Paula. Wiedziała już, co powinna zrobić.

— Mamy jeszcze heroinę! — wykrzyknęła dziko. — Możesz ją dostać! Wszystko!

Biała wypustka przestała się poruszać. Zamarła za ledwie parę cali od brzucha Paula.

— Heroina? — zapytał stwór. — Nie. Kłamiesz.

— Jest w pasie. Sam zobacz! Nie zużyliśmy wszystkiego! — krzyczała histerycznie.

— To nie ma już dla mnie znaczenia. Nie potrzebuję jej.

— Ale mamy jej mnóstwo — nalegała. — I to może być wszystko twoje. Pomyśl tylko!

— Nie! — wrzasnął stwór z zaskakującą gwałtownością w głosie. — Nie potrzebuję jej!

Lecz jedna z macek puściła ramię Paula i sięgnęła w stronę pasa. Szczątkowe palce, zupełnie jak u osoby dotkniętej trądem, rozsunęły skórzaną kieszonkę i wyciągnęły parę paczek białego proszku.

Linda pomyślała, że to może się udać. Pamiętała, że pewna narkomanka przekazała symptomy uzależnienia swemu nowo narodzonemu dziecku...

A ten stwór, chociaż odtworzony ponownie, wciąż pozostał uzależniony!

Więcej macek dołączyło do pierwszej, wyciągając z pasa resztę woreczków.

— Nie! — wrzasnął ponownie stwór, lecz nie był w stanie nic na to poradzić. Macki zaczęły wtapiać się w ciało, zabierając ze sobą paczuszki heroiny. A gdy ostatnia z nich zniknęła już we wnętrzu stwora Linda poczuła nagle, jak krępujący ją ucisk zmniejsza się.

— Nie... — powtórzył stwór, tym razem jednak o wiele słabszym głosem.

Nagle potwór przechylił się gwałtownie w swym fotelu, a pozostałe macki zaczęły cofać się i wsiąkać w ciało. Po paru sekundach Linda była wolna. Teraz kolejny krok...

Odpięła swój pas bezpieczeństwa, wstała i wychyliła się przez prawe ramię potwora. Szybko rozpięła jego pas modląc się, aby się nie zaciął.

— Co...? — zaczął Paul.

— Szszsz... Przygotuj się.

Aż do bólu wyciągnęła ramię, próbując sięgnąć do uchwyty przy drzwiach śmigłowca. Ruch ten spowodował eksplozję bólu w jej urażonym ramieniu, ale zmusiła się, aby go zignorować. Jej palce dotknęły wreszcie uchwyty. Przesunęła do tyłu bezpiecznik i przekreśliła uchwyt silnie w prawo.

Paul zdążył już zorientować się, co robi. Szybko

podciągnął nogi i oparł je o bok stwora. Gdy tylko Linda otworzy kabinę...

Lecz ten nagły kontakt, w połączeniu ze strumieniem świeżego powietrza wydawał się mieć ożywczy wpływ na oszołomionego potwora. Gdy jego ciało zaczęło wysuwać się bokiem poprzez drzwi na zewnątrz, ryknął wściekle i wysunął z siebie macki, które zaczęły wić się gwałtownie w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu. Ku przerażeniu dziewczyny, jedna z nich zdążyła zaczepić się o próg kabiny...

Linda wykrzyknęła z rozpaczą. A więc to pokona ich mimo wszystko.

Nagle ogłuszył ją bliski terkot karabinu, gdy Paul otworzył wreszcie ogień. Gdy pociski wbiły się w ciało, głowa stwora eksplodowała czarną mazią.. Przypominał teraz ogromny, czarny pomidor. Ponownie wrzasnął przeraźliwie. Przez długi moment chylił się ku otwartym drzwiom, a w końcu zniknął. Wisiał jeszcze przez chwilę zaczepiony jedną z macek, lecz po chwili zniknęła i ona...

— Sukinsyn! — wykrzyknął triumfalnie Paul. — Dostaliśmy go!

Lecz nie mieli czasu na radość. Śmigłowiec zanurkował gwałtownie, zaczynając wchodzić w niekontrolowany korkociąg. Linda krzyknęła, gdy nagle straciła równowagę i złamanym ramieniem uderzyła o ścianę kabiny. Jak przez mgłę dostrzegła Paula, który chwycił właśnie gorączkowo za stery, próbując wyprowadzić maszynę ze śmiertelnego lotu w dół...

To nieprawdopodobne, lecz w końcu mu się to udało. Po paru wściekłych szarpnięciach śmigłowiec wydawał się lecieć względnie równo. Linda wyprostowała się z wysiłkiem i rozejrzała wkoło. Nic nie było widać, za wyjątkiem paru szarych chmur.

— Paul, co teraz zrobimy? — krzyknęła. Oczywiście

wyobraźni widziała już, jak ich śmigłowiec rozbija się o powierzchnię morza.

— Nawet nie pytaj! — wrzasnął, przekrzykując warkot silnika. — Sam nie wiem. Spróbuj na początek zamknąć drzwi, dobrze?

Z wysiłkiem zrobiła, co polecił.

— Będiesz w stanie tym wylądować?

— Żartujesz? Nawet nie wiem, w którym kierunku właściwie lecimy. Udało mi się wyprowadzić nas z tego korkociągu czystym przypadkiem.

Linda wychyliła się ponad jego ramieniem, aby spojrzeć na tablicę kontrolną. Dostrzegła, że w kurczowym uchwycie trzyma dwie dźwignie, prawą stopę wspierając jednocześnie na jakimś pedale.

— Te pedały na podłodze kontrolują tylny rotor — wyjaśnił. — A przynajmniej jeden z nich. Troszeczkę to skomplikowane. Sądzę, że używa się ich, aby wykonać skręt... ale nie wiem jak, a nie chcę wprowadzić nas w kolejny korkociąg.

— Myślałam, że znasz podstawy pilotażu — zauważyła Linda.

— Częściowo. Wiem, że jeżeli popchniesz do przodu ten dźwizek to obniżymy się, a jeżeli pociągniesz go do siebie, to zaczniemy się wznosić. A jeżeli przesunemy oba w bok, to najprawdopodobniej zakręcimy...

— To po prostu cudowne — byłoby już szczytem ironii, po unieszkodliwieniu potwora zagrażającego całej ludzkości, zginąć w prozaicznej katastrofie lotniczej.

— Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Jakoś z tego wyjdziemy.

— Pewnie. Możemy tak sobie fruwać, dopóki nie zabraknie nam benzyny. Być może dolecimy do tej pory nad jakąś fabrykę materacy — czuła się dziwnie lekko. Co prawda wciąż groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo, ale przecież to odeszło...

— Czy myślisz, że jest nieżywe? — zapytała nagle.

— Prawdopodobnie jeszcze nie. Ale sądzę, że to już nie potrwa długo. Samo sobie zaaplikowało kolosalną dawkę narkotyku. Nie tak wiele, ile myśmy temu wstrzyknęli, ale z pewnością wystarczy. A do brzegu jest przeszło dwieście kilometrów — z pewnością uda mu się otrzymać kolejną dawkę...

— Boże, mam taką nadzieję, Paul. Słuchaj, a jeżeli to jednak nie będzie śmiertelna dawka? Jeżeli mimo wszystko uda się mu dostać na ląd?

Wzruszył ramionami.

— To już zmartwienie rządów. Przekażemy im wszystkie informacje — te kasety — i to już będzie koniec naszej roli.

— Jeżeli nam się uda — zauważyła ponuro.

Przez dłuższą chwilę lecieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Paul:

— Muszę spróbować sprowadzić nas poniżej poziomu tych chmur. Wtedy będziemy przynajmniej widzieli, dokąd lecimy. I wprowadzimy w życie twój pomysł.

— Mój pomysł? A na czym on polegał?

— Aby odnaleźć inną platformę wiertniczą i wodować w jej pobliżu. Ten śmigłowiec wyposażony jest w pływak. A lądowanie na wodzie w moim wykonaniu z pewnością będzie bezpieczniejsze, niż na lądzie.

Prawie im się udało. Paul z trudem obniżył lot maszyny i po pół godzinie rzeczywiście dostrzegli platformę wiertniczą. Przez jeden straszliwy moment Linda pomyślała, że to ta sama, którą opuścili. Lecz gdy podlecieli bliżej z ulgą stwierdziła, że to zupełnie inna konstrukcja. Zamiast na czterech podporach, spoczywała na ogromnym, betonowym słupie.

Paulowi udało się podprowadzić śmigłowiec całkiem blisko. Zatoczył nad platformą koło, aby przygotować jej pracowników na ich przybycie. Potem rozpo-

czął powolne obniżanie maszyny, celując nosem w wodę około 60 stóp od betonowego słupa.

— Trzymaj się! — ostrzegł, gdy znajdowali się 50 stóp nad powierzchnią wody. — Wyłączam silniki. Tylko w ten sposób mogę być pewny, że śmigłowiec nie wciągnie nas pod wodę. Śmigła wciąż będą się obracały wstrzymując częściowo upadek, ale i tak grzmotniemy całkiem zdrowo...

Wyłączył silniki i śmigłowiec zaczął opadać w tempie szybkobieżnej windy. Przez cały ten czas utrzymywali się prawie w pionie. Nagle podmuch wiatru przechylił ciężką maszynę w bok.

W momencie zderzenia z powierzchnią Linda uderzyła o coś mocno głową i na chwilę straciła przytomność. Ocuciła ją dopiero wlewająca się do wnętrza kabiny lodowata woda. Po chwili uświadomiła sobie, że jest już na zewnątrz, podtrzymywana opasującymi ją ramionami Paula.

Kaszłąc gwałtownie spojrzała w górę i dostrzegła kolejny śmigłowiec, krążący tuż nad nimi. Po linie spuszczał się ku nim jakiś mężczyzna...

Szybko znalazł się obok nich i wsunął jej pod ramię gumowe pływaki. Nagle zorientowała się, że sunie w górę. Czuła się zupełnie dezorientowana. Obojętnie wpatrywała się w unoszące się na powierzchni wody głowy Paula i jej wybawiciela. Zauważyła, że po ich śmigłowcu nie pozostało już ani śladu. Najwidoczniej zatonał.

Nagle poraziła ją straszliwa myśl.

Nie czuła silnych dłoni wciągających ją do wnętrza maszyny, ani nie słyszała gorączkowych pytań, zadawanych przez trzech znajdujących się w kabinie osób. Była w stanie skupić myśli na jednej tylko rzeczy.

Gdy dostrzegła puste ręce windowanego w górę Paula zorientowała się, że jej najstraszliwsze obawy sprawdziły się. Stracili wszystkie kasety!

Jaki mają inny dowód na potwierdzenie całej tej historii? A co będzie, jeżeli ten stwór wciąż żyje i płynie właśnie w stronę najbliższego lądu? Bez kaset jako dowodu nigdy nie zdołają przekonać władz o zagrażającym wszystkim straszliwym niebezpieczeństwie. Nie zostaną podjęte żadne środki ochronne przed ewentualną infiltracją... Jego zamierzona inwazja na ludzkość nie napotka na żadną opozycję. Będzie jak lis, który dostał się potajemnie do kurnika^..

Linda siedziała drżąc z zimna na podłodze kabiny, ledwie świadoma ciężaru koca, którym ktoś okrył jej ramiona. Wiedziała, że koszmar wcale się na tym nie kończy. Dopiero zaczyna.

KONIEC

FANTOM PRESS wyda wkrótce następne horrory
Harry'ego Adama Knight'a:

FUNGUS — Naukowcy opracowują rodzaj wysokoproteinowej grzybni, której hodowla mogłaby rozwiązać problemy żywnościowe trzeciego świata. Ekspensywnie rozwijający się organizm wymyka się jednak spod kontroli swych twórców.

WORM — Zmutowany robak przedostaje się do sieci kanałów wielkiego miasta. Niedługo potem jego ofiarami zaczynają padać ludzie.

CARNOSAUR — Zbudzony do życia potwór z odległej przeszłości sieje grozę i terror.

GUY N. SMITH

Brytyjski pisarz horrorów z topu list bestsellerów. Autor cykli „Crabs” i „Sabat” oraz wielu powieści. Doskonałe pomysły, wciągająca akcja, szybkie tempo i zaskakujące finały to walory jego powieści.

Nakładem wydawnictwa „Fantom Press” ukażą się:

DEMON — Umarł sekretarz generalny KPZR. Czy jednak naprawdę? Kremlem wstrząsa

seria tajemniczych zbrodni — w niewyjaśnionych okolicznościach giną członkowie Komitetu Centralnego. Sprawcą morderstw okazuje się zmarły wstąpił przewodniczący zmieniony w upiora.

BLACK FEDORA - Niesamowita atmosfera panująca w czasie dorocznego święta obchodzonego w mitycznym kręgu Stonehage zostaje spotęgowana pogłóskami o zbliżającym się końcu świata. Przebywający w Wielkiej Brytanii polski premier zostaje uznany za zwiastuna apokalipsy...

Błyskotliwie przeprowadzona intryga uwieńczona typowym dla Smith'a nieoczekiwanym finałem.

MKKY ADAM KNIGHT ' |
„... *NOWY STEPHEN KING ...*”
MARKETING BESTSELLER ,*

„ . . J E D N A P O T R Z E B A P O - |
Z O S T A Ł A N A D A L D O M I .
N U J Ą C Ą , T A K J A K B Y .
Ł O T O J E S Z T Z E **W** M O .
R Z U . G Ł Ó D S T O P N I O W O
Z M I E N I A Ł S I Ę **W** P O T W O .
R N Ą , B E Z R O Z U M N Ą Ż Ą .
D Z Ę . P C H A Ł G O P R Z E Z
N I E K O Ń C Z Ą C E S I Ę B I A .
Ł E K O R Y T A R Z E ,
W I Z J Ą R O Z D Z I E R A N E G O
N A S T R Z Ę P Y K R W A W E .
G O M I Ę S A . . . ”